

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Co **Maciej Stuhr** wie o Polakach • Kim są oficerowie FSB • 3000 najbogatszych ludzi świata • Treblinka, czyli powierzchnia reklamowa



WYSOKIE
OBCASY

Co się dzieje
w teatrze
Krystiana Lupy



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

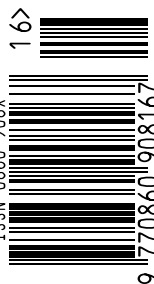
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Influencerzy i patocelebryci

- Kto jest kim na TikToku i YouTube
- O co chodzi z freak fight MMA i Pandora Gate
- Jak uchronić dziecko i samemu nie ulec



Wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



FOT. AKSONOV/ISTOCKPHOTO/GETTY IMAGES

Sobota-niedziela, 20-21 kwietnia 2024 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 93.10587, 1

Nakład 92 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

KRAJ/34312172



www.animalsi.pl

Twoje 1,5% ratuje zwierzęta!

1,5%

KRS 0000069730

OTOZ Animals od 22 lat ratuje zwierzęta. Prowadzi 10 schronisk i przytulisk dla bezdomnych zwierząt oraz 30 inspektoratów. W 2023 r. uratowaliśmy i oddaliśmy do adopcji 6755 zwierząt i przeprowadziliśmy 5348 interwencji dotyczących niehumanitarnego traktowania zwierząt.



Wolność słowa i informacji zagrożona

SLAPP. Tak niszczy się niezależne media

Pozwy mające zakneblować dziennikarzy są naszą zmurą do dziś, choć władza się zmieniała

Imielski



W latach 2015-23 PiS i jego nominaci stworzyli cały system nękania niezależnych mediów tzw. SLAPPami. Pozwy mające zakneblować dziennikarzy są naszą zmurą do dziś, choć władza się zmieniała.

To nie był przypadek. Jeszcze zanim jesienią 2015 r. PiS wygrał wybory, dzisiejszy szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Maciej Świrski publicznie nakreślił scenariusz ataku na wolne media. Podczas debaty w prawicowym Klubie Ronina miał proste przesłanie – „Wyborczą” czy TVN trzeba najpierw odciąć od wszelkich reklam spółek skarbu państwa i instytucji publicznych, a potem zasypać pozwami za rzekome kłamstwa.

W sprawie reklam poszło szybko – to była jedna z pierwszych decyzji rządu Beaty Szydło. Polityczne wyeliminowanie niektórych mediów z rynku ogłoszeniowego i chętnie się tym było wstępem do antydemokratycznych działań PiS, który marzył o zniszczeniu wolności słowa i „Budapeszcie w Warszawie”.

Ze SLAPPami (strategicznymi pozwami przeciwko partycypacji publicznej) poszło wolniej, ale szybko wypracowano skuteczną metodę nękania niezależnych od władzy gazet, telewizji czy portali. W przypadku „Wyborczej” masowo pozywali nas politycy PiS i dzisiejszej Suwerennej Polski, ale też ich nominaci w spółkach skarbu państwa czy instytucjach publicznych.

Oczywiście nie za własne pieniądze, ale nasze, publiczne. Zlecenia dostawały wybrane kancelarie prawne, takie jak Zaborowski i Kopec z Warszawy, które przy okazji miały też umowy na obsługę Orlenu czy Ministerstwa Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

To ważne, bo nie liczono się z wydatkami, skoro złotych nie trzeba wyciągać z własnej kieszeni. Stworzono cały ciąg technologiczny – „zlecenie na media” od polityka czy szefa spółki skarbu państwa szło w parze ze zmianami w sądownictwie. Część spraw rozpatrywali neosędziowie – nawet wtedy, gdy byli w konflikcie interesów i powinni się wykluczyć, bo byli bohaterami naszych negatywnych tekstów. Do tego dochodziła pisowska TVP oraz wasalne media braci Karnowskich i Tomasza Sakiewicza, atakujące niezależne media. Było jasne, że prawie każdy krytyczny tekst czy artykuł śledczy, odsłaniający kolej-

ną aferę PiS, spotka się z prawnym atakiem. Nawet jeśli to publicystyka – czyli opinia, a nie fakt.

Stało się to częścią codziennej pracy dziennikarzy. Czasami sięgając stanów paranoicznych. Minister kultury i dziedzictwa narodowego zażądał kiedyś sprostowania naszego artykułu o urodzinach znanego dziennikarza Roberta Mazurka. Bo „nie miało miejsca żadne zdarzenie, które uzasadniałoby tezę, jakoby wicepremier Piotr Gliński fraternizował się z politykami PO”. I choć zdjęcia z imprezy temu przeczyły, minister chciał publicznie wytłumaczyć się Jarosławowi Kaczyńskiemu z niefortunnego towarzystwa. Przecież ktoś mógłby posądzić go o kolaborację.

Nie liczono się z wydatkami, skoro złotych nie trzeba wyciągać z własnej kieszeni. Stworzono cały ciąg technologiczny – „zlecenie na media” od polityka czy szefa spółki skarbu państwa szło w parze ze zmianami w sądownictwie

Kiedy Zjednoczona Prawica przegrała wybory 15 października, odetchnęliśmy z ulgą. Było jasne, że zmasowany atak się skończy. Ale wciąż ogromna większość SLAPPów, złożonych za czasów PiS, nie zostało z sądów wycofanych, trwają czasochłonne i bezsensowne procesy.

Najwyższy czas, by nowa władza zrobiła z tym porządek.

Roman Imielski

• **Kto kogo nękał i wciąż SLAPP-ami – opisuje Ewa Ivanowa ► 10**

• **Jak położyć kres nękanii osób działających w interesie publicznym** – zastanowią się w czwartek i piątek 25-26 kwietnia międzynarodowi i polscy eksperci na konferencji „Jak Dawid ma wygrać z Goliatem”, organizowanej w Warszawie wspólnie przez Helsińską, Agorę Fundację Praw Człowieka, wspierającą dziennikarzy w Europie i Azji organizację ARTICLE 19 Europe, Prague Civil Society Center i Sieć Obywatelską Watchdog Polska

• Wśród gości m.in. były sprawozdawca ONZ ds. wolności słowa prof. David Kaye, reprezentantka Rady Europy Irena Guidikova i minister sprawiedliwości Adam Bodnar.

Szczegóły na stronie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

Te różne rodzaje broni traktowałem jak zabawki. Ale w kierunku Ukraińców nie oddałem ani jednego strzału. Nie jestem w stanie nikogo zabić

GASTARBEITERZY Z INDI
zwerbowani podstępem do rosyjskiej armii

Więcej ► [Wyborcza.pl/swiat](https://wyborcza.pl/swiat)

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl



Przyjaciele na niby

Dlaczego amerykańskie samoloty bronią Izraela, a nie bronią Ukrainy? Bo Republikanie są odporni na propagandę ajatollahów, a nie są na propagandę Rosjan w garniturach.

• **Analiza Anne Applebaum**
► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

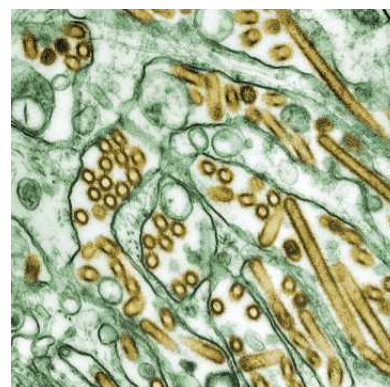
**H5N1
Nadciąga kolejna pandemia?**

W 16 stadach krów w USA wykryto wirusa ptasiej grypy w ciągu raptem dwóch tygodni. W dodatku nie na ograniczonym obszarze, lecz w aż 6 stanach. Naukowcy dokumentowali już wcześniej sporadyczne zakażenia krów wirusami blisko spokrewnionymi z H5N1, ale nie wykrywano powszechnych ognisk tej choroby.

Szczep H5N1 poznano pod koniec lat 90., ale na potęgę – zabijając setki milionów ptaków, dzikich i hodowlanych – rozprzestrzenia się od 2021 r. A w ostatnim czasie zaczął regularnie zabijać ssaki – w lutym znaleziono go na Antarktydzie (co oznacza, że jest już obecny na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Oceanii), gdzie rozprzestrzenił się na słonie morskie i foki, albatrosy, rybitwy, pingwiny białobrewy i pingwiny królewskie.

Co prawda ssaki stają się „przypadkowymi żywicielami” wirusa, który wciąż jest głównie zarazkiem ptasim – ale im więcej gatunków ssaków zakaża wirus, tym więcej możliwości wyewoluowania szczepu niebezpiecznego dla ludzi. I dlatego masowe zarażenia krów w USA to zła wiadomość – w gospodarstwach ludzie mają regularny kontakt z bydłem.

Na farmie w Teksasie H5N1 zlał pracownika. Amerykańskie Centrum Kontroli Chorób i Prewencji pociesza, że wraca do zdrowia, a jedynym objawem grypy był



FOT. CYNTHIA GOLDSMITH

stan zapalny oczu. Ale okazało się, że wirus znaleziony u teksańczyka ma mutację powiązaną ze skutecznym rozprzestrzenianiem się u ssaków. Podobne zmiany w materiale genetycznym ma H5N1 wykryty u lisów i kotów.

Kluczowe jest dojście do tego, w jaki sposób zakażają się krowy. Czy przenosi się z zakażonych osobników na te zdrowe? Na razie wiemy tyle, że najwyższy poziom wirusa występuje w mleku krów.

Czy to możliwe, że spełnia się czarny scenariusz – zjadliwy wirus (spośród kilkuset odnotowanych chorych ludzi w latach dwutysięcznych umarła przeszło połowa) nauczył się transmisji międzygatunkowej? Naprawdę źle będzie – mówią naukowcy – jeśli H5N1 zaczną zarażać się świny, idealny tzw. organizm przechodni. •

• **Więcej w tekście Margit Kos-sobudzkiej ► [Wyborcza.pl/nauka](https://wyborcza.pl/nauka)**

Putin i ajatollahowie

Czym się różni dron od drona

Broń atomowa i przekupstwo. Nie tylko Ukraina wyciągnie wnioski z ataku Iranu i reakcji Republikanów

Applebaum



13 kwietnia Islamska Republika Iranu wystrzeliła pociski raketowe i drony w kierunku Izraela. Również 13 kwietnia, a także 12, 14 i 15 kwietnia, Federacja Rosyjska wystrzeliła pociski rakietowe i drony na Ukrainę – w tym niektóre zaprojektowane w Iranie.

Tylko nieliczne z wystrzelonych przez Iran pocisków i dronów trafiły w cel. To amerykańskie i europejskie samoloty, wraz z izraelskimi, a nawet jordańskimi, zestrzeliły je z przestrzeni powietrznej Izraela.

Dla kontrastu, niektóre rosyjskie pociski uderzyły skutecznie. Ukraina, działająca w pojedynkę i – dzięki republikańskiemu przywództwu w Izbie Reprezentantów – cierpiąca na niedobór amunicji, w tym do obrony powietrznej, nie była w stanie strącić wszystkich dronów i rakiet. 12 kwietnia rosyjskie ataki poważnie uderzyły w zakład energetyczny w Dniepropietrowsku. 13 kwietnia 61-letnia kobieta i 68-letni mężczyzna zginęli w wyniku rosyjskiego ataku w Charkowie. 14 kwietnia bomba lotnicza uderzyła w budynek mieszkalny w osiedlu typu miejskiego Oczeretyne, zabijając jedną osobę i raniąc dwie. 15 kwietnia rosyjski pocisk kierowany uderzył w szkołę i zabił co najmniej dwie kolejne osoby w okolicy Charkowa

Skąd ta różnica w reakcji? Dlaczego amerykańskie i europejskie odrzu-

twóce rzuciły się na pomoc Izraelowi, a nie Ukrainie? Dlaczego Ukraina nie ma wystarczającej ilości zasobów, by się bronić? Jedną z przyczyn jest równowaga sił nuklearnych. Rosja ma broń nuklearną, a jej propagandyści okresowo grożą jej użyciem. To sprawiło, że USA i Europa niechętnie zbliżają się do przestrzeni powietrznej nad Ukrainą. Izrael również ma broń nuklearną, ale wpływa to na kalkulację w inny sposób: oznacza to, że USA, Europa, a nawet niektóre państwa arabskie chcą mieć pewność, że Izrael nigdy nie zostanie sprowokowany na tyle, by użyć jej, lub jakiegokolwiek innej poważnej broni konwencjonalnej, przeciwko Iranowi.

Drugą różnicą między tymi konfliktami jest to, że amerykańska Partia Republikańska pozostaje zdecydowanie odporna na propagandę Islamskiej Republiki Iranu. Czołowi republikanie nie sympatyzują z mullahami, nie mówią o przytaczanych przez nich argumentach i nie starają się ich uspokoić, gdy wysuwają skandaliczne roszczenia wobec innych krajów. Dzięki temu administracja Bidena spieszy z pomocą Izraelowi, ponieważ nie spotka się z żadnym poważnym sprzeciwem.

Dla kontrastu, część Partii Republikańskiej, w tym jej kandydat na prezydenta, sympatyzuje z rosyjską dyktaturą, powtarza jej hasła i stara się uspokoić Rosję, gdy ta najeżdża i okupuje inne kraje. Brak dwupartyjnej solidarności wobec Ukrainy oznacza, że republikańskie przywództwo kongresowe uniemożliwiło administracji Bidena wysłanie na Ukrainę chociażby broni defensywnej i amunicji. Wydaje się, że administracja Bidena ma ograniczone możliwości i nie jest w stanie zapewnić Ukrainie sponta-

nicznej pomocy, którą właśnie zapewniła Izraelowi.

Otwarta sympatia dla celów wojennych Rosji jest rzadko wyrażana na głos. Zamiast tego niektórzy czołowi Republikanie zaczęli w ostatnich miesiącach argumentować, że Ukraina powinna „przejsz do wojny obronnej”, porzucić wszelkie nadzieje na utrzymanie okupowanego terytorium lub całkowicie zaprzestać walki.

Wydaje się, że senator J. D. Vance i kongresmen Eli Crane już widzą siebie w jakimś sojuszu z Rosją

Senator J. D. Vance z Ohio w zeszłotygodniowym esej dla „New York Timesa”, napisanym w sposób, który można opisać jedynie jako wyjątkowo złą wiarę, przedstawił dokładnie taki argument. Podobnie – na przykład – Eli Crane, republikański przedstawiciel z Arizony, który powiedział, że pomoc wojskowa dla Ukrainy „powinna być całkowicie wyeliminowana i zastąpiona naciskiem na rozmowy pokojowe”.

Tyle że Ukraina już teraz prowadzi wojnę obronną. Sprzęt, którego wysłania odmawiają Republikanie, obejmuje – powtórzę jeszcze raz – amunicję obronną. I nie ma żadnych przesłanek świadczących o tym, że odcięcie dalszej pomocy dla Ukrainy zakończy walki lub doprowadzi do rozmów pokojowych. Wręcz przeciwnie, wszystkie dowody wskazują, że zablokowanie pomocy pozwoliłoby Ro-

sji na szybszy postęp, zajęcie większego terytorium i ostatecznie zamordowanie znacznie większej liczby Ukraińców, o czym Vance i Crane z pewnością wiedzą.

Wydaje się, że nie mówiąc o tym wprost, już teraz widzą siebie w jakimś sojuszu z Rosją i dlatego chcą, aby Ukraina została pokonana. Z kolei z Iranem tego rodzaju sojusz nie jest im po drodze, mimo że Iran i Rosja uważają się za partnerów.

Dla reszty świata płyną stąd pewne wnioski. Wiele krajów, w tym być może Ukraina i Iran, wyciągnie pierwszy i najbardziej oczywisty wniosek: broń nuklearna zwiększa bezpieczeństwo. Nie tylko można odstraszać ataki za pomocą tarczy nuklearnej i atakować stosunkowo bezkarnie inne kraje, ale także, w pewnych okolicznościach, można oczekiwać, że inni przyłączą się, aby wesprzeć działania obronne.

Być może inni wyciągną inny oczywisty wniosek: część Partii Republikańskiej – wystarczająco duża, by mieć znaczenie – może być kooptowana, lobbowana lub wręcz kupowana. Można nie tylko zmusić ją do powtórzenia propagandy, ale także do działania bezpośrednio w interesie partii. Nie kosztuje to nawet ułamek ceny czołgów i artylerii, a może być znacznie bardziej skuteczne.

Bez wątpienia wiele osób skorzysta z obu tych lekcji. ●
Anne Applebaum

• Przełożyła Patrycja Eiduka. Tytuł i lead od redakcji
• © 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic”
• All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

Problem z KKRiT

Państwowy organ antypaństwowy

Maciej Świrski przyznał się do pracy na rzecz związku wyznaniowego

Kublik



Jest rażąco stronniczy. I to jawnie. Tłamsi wolne słowo, chyba że służy postponowaniu Tuska. I stoi na straży nierzetelnej informacji.

To Maciej Świrski. Szef organu państwowego, któremu Konstytucja w art. 213 nakazuje „stać na straży wolności słowa, prawa do informacji oraz interesu publicznego w radiofonii i telewizji”.

Świrski nie stoi.

A i ustawę medialną łamie. Bo ta powiada, że Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji ma nie tylko stać na straży wolności słowa, ale „samodzielności dostawców usług medialnych”, „in-

teresów odbiorców”, a także „zapewnia otwarty i pluralistyczny charakter radiofonii i telewizji”.

To, jasne, Świrski stoi po odwrotnej stronie.

Wreszcie, prawo nakazuje na czas pracy w Radzie zawiesić „członkostwo we władzach stowarzyszeń, związków zawodowych, związków pracodawców, organizacji kościelnych lub związków wyznaniowych”.

A Świrski, nazywając sam siebie „talibem PiS”, przyznał się do pracy na rzecz związku wyznaniowego.

Grozi mu Trybunał Stanu i prokuratorskie śledztwo. Za blokowanie pieczęty z abonamentu – od początku roku nie chce dać ani grosza TVP i Polskiemu Radiu, bo – jakby był sądem – orzekł, że ich władze są nielegalne.

Tymczasem on, łamiąc tyle zapisów i reguł, sam na lewo i prawo wydaje wyroki. Karze za krytykę podręcznika „Historia i Teraźniejszość”. Za niewygodną prawdę o Janie Pawle II. Nawet

za błąd wulgaryzm („pierdolałem głupotę”, co było samokrytyką Krzysztofa Daukszewicza po wypowiedzeniu słów dyskryminujących osoby LGTB).

Ale żeby nie było, nie jest przesadnie pryncypialny, bywa wyrozumiały. Bo nie karze za ujawnienie, kto był ofiarą pedofila.

Nie każe za postponowanie Donalda Tuska (co jest bezsporne, bo Jan Pietrzak tak mówił o Tusku: „produkt germanizacji i produktu rusyfikacji”, „to jest może w jednej dziesiątej Polak”, „to jest człowiek wrogi Polsce w zasadzie”).

Jakie tu kryterium obowiązuje? Wedle Świrskiego są media „tożsamościowe” (te, które akurat kontroluje PiS) i „antytożsamościowe” (których PiS akurat nie kontroluje). A kto ma to lepiej ocenić, niż „talib”?

Więc do grudnia media publiczne były dla Świrskiego „tożsamościowe” i karane nie były, a teraz są „antytożsamościowe”, więc karane być muszą.

To wszystko są decyzje samego Świrskiego. Wydaje mu się chyba, że jest szefem pozostałych czterech członków KKRiT, więc może ich dyscyplinować, rozkazywać im, blokować im dostęp do dokumentów. I za nich decydować. W siedzibie KKRiT kazał zainstalować bramki przy wejściu, zatrudnił dodatkową ochronę.

Czy zatem Świrski może zasiadać w KKRiT? Nie. Ale prawo nie pozwala go odwołać.

Na zrzeczenie się funkcji nie liczę. Skazanie przez Trybunał Stanu wątpliwe. Więc?

Platforma Obywatelska obiecała ukarać Świrskiego (i Jacka Kurckiego) za niszczenie mediów publicznych. A Świrski nadal niszczy. Publiczne i komercyjne (te „antytożsamościowe”).

Co zrobi państwo z niepaństwowym organem państwowym? ●
Agnieszka Kublik

TEŻ MASZ TEGO WIRUSA

To jest totalnie uliczny świat. Spory rozwiązuje się przez bijatyki. Przynajmniej o tyle mądrze, że za pieniądze

Z **JAKUBEM WĄTOREM**, DZIENNIKARZEM, AUTOREM KSIĄŻKI „INFLUENZA. MROCNY ŚWIAT INFLUENCERÓW” ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Kiedy przeczytałam twoją książkę, poczułam się niemal fizycznie chora.

JAKUB WĄTOR: – Chora? Jak to?

Influencerzy, których opisujesz, nie są mi obcy, ale w takim natężeniu uzmysławiają, w jakim świecie żyjemy. Bo to nie jest jakiś świat obok, ale i nasz: brutalnej rywalizacji, nieograniczonej konsumpcji, przemocy.

– Powiedziałaś o natężeniu i właśnie taki miałem pomysł na tę książkę, żeby była dynamiczna, nawet przebudżowana, czyli taka, jakie są dziś media społecznościowe. W ogóle internet. Jeden influencer zamieszcza film, za chwilę mamy na niego odpowiedź drugiego influencera. Po drodze jest post na Facebooku, czy TikToku, o którym ludzie dyskutują. Szybkie „stories”, krótkie „tweetsy”. A trzy minuty później nowy temat. Nowa „drama”.

Wierzę, że to może być przytłaczające. Sam tego doświadczyłem, kiedy zacząłem się zajmować tym tematem.

Kiedy to było?

– Dwa lata temu. Pracowałem w serwisie „Spider’s Web”, gdzie z Sylwią Czubkowską napisaliśmy cykl reportaży o influencerach pt. „Zły wpływ”. Wtedy wszedłem w ten świat głęboko i zacząłem poznawać wszystkie te postaci naraz. Na początku mi się myliły, zlewały. Jedna okazywała się dziwniejsza, bardziej skandaliczna albo bardziej fałszywa od drugiej. Uderzyło mnie, że tam nie ma żadnych zasad, ani hamulców. I że, jeśli chodzi o język, kulturę to jest totalnie uliczny świat. Bo na przykład spory rozwiązuje się przez bijatyki. Przynajmniej o tyle mądrze, że za pieniądze.

Masz na myśli „freak fights” organizowane przez takie federacje, jak Fame MMA, czy Clout MMA?

– Tak. To, że tego świata influencingu przez długi czas nikt nie kontrolował, sprawiło, że wszystko w nim było wolno. Na porządku dziennym były oszustwa, sprzedawanie podróbek, kryptoreklamy. Przy okazji padało mnóstwo głupot, bo influencerzy nie zawsze są tytanami intelektu. Na początku ogarnęło mnie poczucie żenady, że w ogóle to oglądam. Walczyłem ze sobą. Ale kiedy przekroczyłem pewien „próg bólu”, to najpierw zaczęło mnie to bawić, a potem się zorientowałem, że w tym świecie jest tyle rzeczy do zweryfikowania i wyprostowania, że to po prostu super dziennikarski temat.

Świat influencerów to w polskich warunkach również świat patoinfluencerów. Nie zastanawiałeś się – jak to możliwe, że filmy, na których pokazuje się libacje, upokarzanie innych, przemoc mają po miliony wyświetleń?

– W ogóle mnie to nie zdziwiło. W latach 90. XX wieku telewizję też oglądały miliony. A w niej brutalne filmy kryminalne, seks. Potem, na początku lat 2000. zaczęły się pojawiać formaty typu Big Brother, który też miał milionową widownię.

„Big Brother” przy tym, do czego dziś jest dostęp w mediach społecznościowych, to nic.

– „Big Brother” się musiał pilnować. Ale, czy myślisz, że gdyby telewizja nie miała ograniczeń, to by nie puszczali wszystkiego, co się tam działo? Awantur, seksu. Poza tym później mieliśmy program „Warsaw Shore” w MTV, gdzie te granice się już przesunęły. Ludzi zawsze ciągnęło do takich treści. Po prostu, w internecie można więcej. W telewizji nie można przeklinać, ale na konferencji Fame MMA jest to wręcz dobrze widziane. Nie pokażesz seksu ze zbliżeniami genitaliów, ale już na OnlyFans – to platforma, na której sprzedaje się treści o charakterze seksualnym – możesz pokazać takie akty.

Kiedy sześć, czy siedem lat temu robiłam pierwszą rozmowę o patostreamerach, „królem subskrypcji” wśród dzieci był Lord Kruszvil znany z upokarzania innych. Wiele z nich kojarzyło też Daniela Magicala, który nadawał na żywo ze swojej meliny. Słyszałam wówczas od ekspertów, że to typowo polski problem, w zasadzie gdzie indziej nieznanym.

– Nie powiedziałbym. Bo, jak nazwiesz to, co zrobił amerykański youtuber IShowSpeed (ponad 20 milionów subskrypcji), który odpalił fajerwerki w domu w trakcie streamingu i prawie spalił mieszkanie? Straży pożarnej, która przyjechała w trakcie tego streamu głupio się tłumaczył, że myślał, że to zabawka. To nie jest patostream? Daniel Magical kiedyś nawiózł do domu kilkaset kilo piasku, na ścianie wyświetlił obrazek morza i z kolegami „walil” drinki z kociółka, że niby są na plaży. OK, pili alkohol, ale o ile to było gorsze od odpalenia tych fajerwerków? Takich przykładów z zagranicy jest wiele.

W „Influency” opisujesz największych influencerów takich, jak Friz – 5,5 miliona subskrybentów na YouTube, współzałożyciel słynnej „Ekipy”, grupy influencerów, która mieszkała w jednym domu; Ewa Zawada – 5,9 mln obserwujących na Tik-Toku, obecnie próbuje swoich sił także jako dj-ka, czy Influencerów związanych z nieistniejącym już „Team-em X” (konkurencja Ekipy). Ale dużo miejsca poświęcasz też własnie patoinfluencerom. Ciekawe zresztą, jak wiele influencerskich karier w Polsce zaczęło się od patotreści. Osoby, jak na przykład Marta Linkiewicz (1,3 mln obserwujących na Instagramie) kiedyś kojarzona głównie z ostrymi imprezami jest dziś w mainstreamie. Aniela Bogusz, czyli Lil Masti (1,4 mln obserwujących na Instagramie) z dawnej „Seksmasterki” proponującej najmłodszym pseudo seksedukację przedzierzgnęła się w przykładną żonę, matkę i bizneswoman.

– Marta i Lil Masti były pierwsze, które poszły tą drogą, więc w pewnym sensie miały najłatwiej. A z drugiej strony najtrudniej, bo musiały przełamać tabu w internecie. W telewizji ono już dawno zostało przełamane. Zrobili to chociażby Frytka z Kenem w „Big Brotherze”, pokazując publicznie swój seks w jacuzzi. Marta zaistniała opowiadając o seksie, który uprawiała z czarnymi raperami w autobusie. Powiedzieć coś takiego w 2015 roku w internecie? Mając 18 lat? W dodatku z czarnymi? O, pani...

Fakt, dziś już nie zrobiłoby to takiego wrażenia.

– A wtedy to była sensacja. Pamiętam, jak wszyscy szukali tego nagrania. Dziś, jak sobie założysz konto na OnlyFans, żeby zrobić coś podobnego, to będziesz jedną z wielu.

Nie budzi to twojego sprzeciwu?

– Ale, że co? Że akurat na tym się wybiły?



Że osiemnastoletnia dziewczyna zbija na tym kapitał? A potem na tym, że w mediach społecznościowych zdaje relacje, jak pije i ćpa. Nie odmawiam tym osobom prawa do przemiany, jednak popularność zyskały na tym, kim były wtedy.

– Wiesz, też bym wolał, żeby największymi gwiazdami w życiu publicznym byli na przykład dziennikarze, którzy piszą świetne reportaże albo eksperci. Jednak zdaję sobie sprawę, że jestem w mniejszości. Marta Linkiewicz czy Seksmasterka trafiają do mas. Bo w internecie nie jest nas pięścioro – ty, ja i kilkoro znajomych – tylko jest tam prawie 30 milionów Polaków i niestety masa ciągnie w dół. Wiem, że nic z tym nie zrobię, więc wolę to obserwować, bawić się tym. Sprzeciw nic tu nie da. Kiedyś oglądaliśmy gole d... w telewizji, dziś w internecie. Co się zmieniło?

Skala. Dostępność.

– To pokazuje tylko, że to, co chcieliśmy oglądać kiedyś, teraz chcemy jeszcze bardziej. Bo można.

Dla mnie ten łatwy dostęp to jednak problem. Kiedyś filmy erotyczne puszczano w telewizji późno. O kasety trzeba się było postarać. Dziś dzieci mają dostęp do Pornhuba, czy OnlyFans za jednym kliknięciem. A i poza takimi serwisami jest masa seksu, wulgarności, agresji.

– O to trzeba apelować do polityków. Przecież żaden twórca strony internetowej, czy portalu nie będzie się sam z siebie ograniczał, bo to dla niego biznes. Właśnie na tym wyrosli influencerzy i patoinfluencerzy. Na bezkarność. Dlatego mogą się dziać takie rzeczy, jak walki „freaków”, a na konferencjach



przed tym walkami mogą padać te wszystkie wyzwiska i groźby. Bo żaden polityk w Polsce na poważnie się tym nie zainteresował.

Co się stało z tymi inicjatywami, które miały ukrócić patotreści? Kilka lat temu ówczesny RPO Adam Bodnar głośno apelował w tej sprawie. Były konferencje, odbył się Okragły Stół. Potem to ucichło. W maju zeszłego roku po tym, jak jeden ojciec na TikToku na żywo podduszał dziecko, Ministerstwo Sprawiedliwości postanowiło „wypowiedzieć wojnę patostreamerom”. W październiku tuż przed wyborami premier Morawiecki, po wybuchu afery Pandora Gate, zapowiedział na Twitterze: „koniec z patostreamerami i internetowymi celebrytami, którzy żerują na najmłodszych”. I co?

– Moim zdaniem realnie niewiele z tego wzmożenia wyniknęło. Politycy się ucieszyli, kiedy w którymś momencie YouTube wziął się za patostreamerów i zaczął zamykać im konta. „Bana” dostał w końcu Daniel Magical, Rafonix (pionier tzw. drunk streamów, czyli transmitowania grania w gry po pijanemu). NitroZyniak (youtuber znany z tego, że na streamach obrażał rozmówców i innych twórców internetowych) dostał nawet dożywotniego „bana”. Blokada nastąpiła dzień po tym, jak jeden z internautów opublikował film analizujący działalność NitroZyniaka, w którym pokazane były jego toksyczne zachowania, wyzwiska, przechwałki, że jest w stanie kupić narkotyki. Film stał się głośny, stąd reakcja. Ale akurat Nitro wcale nie jest największym złem polskiego internetu. Są gorsi, a nie mają „banów” na YouTube.

Gdyby nie obserwovalo go prawie 2,5 miliona osób, tylko na przykład pięć tysięcy, to pewnie konto miałby do dzisiaj.

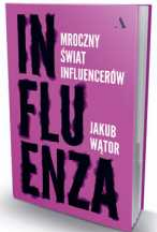
– Może tak. Przecież Daniel Magical bardzo długo streamował swoje imprezy, czasem pijatyki. YouTubeowi było to na rękę, bo dzięki temu więcej ludzi wchodziło na serwis. Jak kanał telewizyjny ma kontrowersyjny program, który przyciąga dużo widzów, to też go nie ściąga, dopóki Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji się tym nie interesuje. Internet długo w ogóle nie był uregulowany, dlatego tak to wyglądało.

YouTube ma regulamin. Tyle że on dobrze wygląda na papierze, gorzej z jego egzekwowaniem. Lista zachowań zakazanych jest długa. To na przykład: nagość, treści erotyczne. Ostatni utwór muzyczny Fagaty, jednej z bohaterek twojej książki (prawie 60 tysięcy skubskrybentów na Youtube, 1,7 miliona obserwujących na Instagramie) go łamie.

– Wiem już tyle o Fagacie, widziałem chyba całe jej ciało, bo ciągle je pokazuje, że nie chce mi się już ani na nią patrzeć, ani tym bardziej słuchać jej muzyki. W dodatku to chyba rap, prawda?

Dam ci próbkę: „Myślisz, że mam żółte papiery a to dwusetki są/ Gdybym miała chuja, to wsadzałabym go wam do mord/ Mój chłopak kłode ma ćwierć metra, no i gruba jest jak dąb/Twój chłopak ma niebieską kartę ale nie gra w Yu-Gi-Oh”. Nie widziałam, żeby to miało oznaczenie „dozwolone od lat 18”. Wszędzie to można obejrzeć.

• **Mateusz „Fit Lovers” i Janusz Kacper „Blonsky” Blonski na gali Fame MMA 12 w Ergo Arena. Gdańsk, listopad 2021 r.**
FOT. KAROL MAKURAT/
REPORTER



• **„Influenza”**
Jakuba Wątora już dostępna - w dobrych księgarniach, na Kulturalnyklep.pl i w formie cyfrowej - jako e-book i audiobook - na Publio.pl

– Jestem z Kielc. Wychowałem się na rapie i na hip-hopie i mnie jej „twórczość” zwyczajnie obraża. Ale co zrobisz? Prawdopodobnie YouTube traktuje to jak utwór artystyczny, więc te granice wolności są przesunięte.

Wymienię, co jeszcze jest zabronione przez Youtube’a: „Promowanie spamu i oszustw”, „Hejt”, „Nękanie”, „Poniżanie, pokazywanie na filmach przemocy, broni palnej, samobójstw lub samookaleczeń.” „Wypowiadanie niektórych słów uznanych za obraźliwe, szczególnie o zabarwieniu rasistowskim i ksenofobicznym”. Także „picie alkoholu na wizji”, „złe widziane są przekleństwa”. Masz poczucie, że YouTube realnie pilnuje przestrzegania tego regulaminu?

– Nie da się tego ocenić zero-jedynkowo, bo wystarczy, że teraz założymy konto na YouTube, wyjdziemy na ulicę, pobijemy kogoś albo ukradniemy coś i zaczniemy to streamować. Czy to wina YouTube’a, że wpadliśmy na taki pomysł?

Nie. Ale już jest jego odpowiedzialnością, że nie ma skutecznych narzędzi, które pozwoliłyby ten materiał natychmiast usunąć.

– Pewnie nigdy się nie uda stworzyć systemu kontroli, który wykrywałby absolutnie wszystko, ale dobrze by było, gdyby był jak najszczelniejszy. Natomiast, póki co, faktycznie każda platforma ma z tym problem. Największym błędem Youtube’a nie jest jednak skuteczność w ściganiu tych, którzy łamią regulamin. Tylko to, że działa reaktywnie, czyli dopiero w reakcji na zgłoszenia wielu użytkowników. Nas, z tym na-

szym nowiutkim kontem patostreamerskim, mało kto by na początku zauważył. Ale jak ktoś ma milion, czy trzy miliony subskrypcji to można założyć, że jego najnowszy film obejrzy bardzo wiele osób, więc może warto go obejrzyć i sprawdzić, czy nie łamie regulaminu. Byłoby miło, gdyby w YouTube pracowały osoby zajmujące się kontrolą największych twórców i regularnym oglądaniem ich filmów. W dodatku oglądaniem w całości, bo te cwaniaki wyciszają na przykład przekleństwa w pierwszych kilku minutach, wiedząc, że YouTube ma tyle rzeczy do sprawdzenia, że skanuje tylko początki filmów.

Nie masz poczucia, że platformy społecznościowe – i nie mam na myśli tylko YouTube’a, ale też TikToka, Instagrama – stanowczo za mało się starają, żeby dbać o tę przestrzeń? Skala jest ogromna, jednak to właściciele platform odpowiadają za to, na co tam pozwalają. – Zacznijmy od tego, że oni się wcale nie chcą starać. Robią to, bo zmuszają ich do tego media tradycyjne, w jakimś stopniu internauci, a w niektórych krajach – politycy, czy Unia Europejska, która ostatnio wypuściła akty o usługach i rynkach cyfrowych próbując jakoś uregulować tę sferę. W Polsce udało się mocno ograniczyć działalność patostreamerów, moim zdaniem, właśnie dzięki mediom. Problem w tym, że tacy szkodliwi twórcy zbanowani na przykład na YouTube, przenoszą się na inne, mniejsze platformy, na przykład na Kicka. Ale rozumiem, że dążysz do tego, czy nie dałoby się jakoś systemowo powstrzymać zjawiska patostreamingu?

W ogóle patoinfluencerki, bo uważam, że na przykład taka Fagata nią jest. – Tylko, że wtedy musielibyśmy powołać jakąś instytucję, która by moralnie oceniała zachowania innych osób. To trochę nieeleganckie.

Dlaczego? – Ja bym nie chciał być takim sędzią. Nie mam podstaw, żeby oceniać czyjeś zachowania pod tym kątem. Może mnie coś szkować, ale to jest tylko moja ocena. Dlaczego czyjś los miałby od tego zależeć? A może komuś innemu podoba się to, co robi Fagata? Jest mnóstwo dziewczyn, które powiększają sobie tyłki, jak ona, bo im się to podoba i czekają na taki „kontent”.

Są też dziewczynki, które by nie pomyślały, że powiększenie tyłka to życiowa konieczność, a karierę można zrobić sprzedając swoje akty na OnlyFans. Dzięki influencerkom podobnym do Fagaty już to wiedzą. – To nie jest zero-jedynkowe. Ciebie to oburza, kogoś innego nie. Ale nie ma i nie będzie takiej instancji, która by powiedziała – to jest dobre, to złe.

Mnie nie obchodzi, co ludzie robią prywatnie. Jednak obchodzi mnie, że dziś mogą zarabiać ogromne pieniądze na takich treściach i wciskać je dzieciom. – Rozumiem. Jak cię przejmuje los dzieci narażonych na oglądanie takich treści, to zapraszamy do Doliny Krzemowej albo do Chin. Niech wreszcie Facebook, TikTok, Instagram, Snapchat wezmą się porządnie za weryfikację wieku użytkowników. Dziś ta weryfikacja to jakiś żart. Klikasz, że masz więcej niż 13 lat i już. Powinien być obowiązkowy skan dowodu tożsamości albo innego dokumentu. Filmy, które są ewidentnie dla dorosłych, powinny być dostępne dopiero po zalogowaniu. Politycy powinni pilnować regulacji i tak dalej. Tu akurat coś się ruszyło. Niedawno wprowadzono na przykład przepis, że duże kanały internetowe nadające treści na żądanie, a takim miejscem jest YouTube, mają się rejestrować w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji i przestrzegać pewnych zasad tej instytucji. Chociażby stosować ozna-

czenia wiekowe. Jeśli masz odpowiednio duże konto, musisz być na tej liście i pilnować tych zasad. Inaczej dostaniesz karę. Już pierwsza taka kara została zresztą nałożona. Na teleturniej „Alkomaster”, zawody w picu alkoholu na żywo. Można to było oglądać w dostępie „pay-per-view”. Organizatorzy muszą zapłacić 150 tysięcy złotych i nie ma od tego odwołania. Ale na przykład federacji „Fame MMA”, która organizuje walki „freaków”, nie ma na ostatniej dostępnej liście nadawców KRRiTV z marca tego roku.

A powinna? – Według mnie tak. Przecież mają miliony wyświetleń.

Mamy jeszcze UOKiK, który w 2022 roku zaczął weryfikować, czy influencerzy oznaczają reklamowane produkty i współpracy. – I to jest egzekwowane. UOKiK prowadzi postępowania w wielu takich sprawach. Dał też pierwsze kary influencerom za niepodpisywanie reklam. Ale i firmie, która je zlecała. Tydzień wcześniej, zanim wprowadzono te rekomendacje, nie nadążałem z robieniem screenów tych kryptoreklam. Ale już miesiąc później nie mogłem znaleźć takich przykładów. Wszyscy te reklamy oznaczali. Co prawda, niektórzy próbowali lawirować – dawali na przykład napis „reklama” w prawym górnym rogu pod swoim nickiem albo białą czcionką na białym tle, ale internauci szybko to wychwytywali i zgłaszali. Co zabawne, sam się teraz na tym złapałem, kiedy na swoim profilu wrzuciłem pierwsze posty o swojej książce bez hasztagu „autoreklama”. Pierwszy raz w życiu coś promowałem. Natomiast ustawy o patostreamingu jak nie było, tak nie ma. Temat wrócił tuż przed wyborami, bo w tym czasie wybuchła Pandora Gate, jednak kiedy nowa władza wygrała wybory, urwał się. Bo jak zwykle są ważniejsze sprawy niż internet.

Jaki był twój pierwszy kontakt z tą aferą? – Najpierw byłem widzem i jak inni, zastanawiałem się, o co chodzi, kiedy Sylwester Wardęga (popularny youtuber. Zasłynął filmem, w którym przebrał psa za papająką i chodził z nim po ulicy. Film dziś ma 184 miliony wyświetleń. Potem zajmował się „commentary”- komentowaniem zdarzeń z influencerskiego świata) jakoś w połowie września powiedział na „livie”, że internauci powinni „połączyć kropki” – pomiędzy tym, że kilka lat temu pewien bardzo znany influencer zniknął z internetu, a różnymi wypowiedziami, że ktoś kogoś kryje. Wardęga sugerował, że może chodzić o Stuu (Stuart Burton, pół-Polak pół Anglik, kiedyś youtuber numer jeden w Polsce, który zaczął od komentowania gier wideo, głównie Minecrafta, następnie współtworzył „Team X”), ale nie wymienił jego imienia. Przytaczał dawne wypowiedzi jego bylej partnerki, czyli Fagaty i rzucał różne insynuacje. Ludzie oczywiście zaczęli przeczesywać internet i przypomnieli sobie, że kiedy Stuu zniknął z internetu kilka lat temu, jego przyjaciółka Justyna Sukanek opublikowała „story” na Instagramie, na którym mówiła, płacząc, że nie pozwoli więcej, żeby pewna zła osoba działała w internecie i była tak podziwiana.

„Nie wiem, jak można zrobić krzywdę dziecku”- powiedziała. – No i internauci zaczęli łączyć te kropki. I przypomnieli sobie też, że Wardęga u Boxdela (popularny youtuber i współwłaściciel organizującej walki influencerów federacji Fame MMA) w programie mówił, że gdyby ludzie znali całą prawdę o Stuu, to by inaczej na niego patrzyli. Śledząc te wszystkie strzępki informacji, doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej chodzi o to, że Stuart dopuszczał się czynów pedofilskich, więc zacząłem to drażnić. Napisałem tweeta, że interesuję się tą sprawą, a wtedy zgłosił się do mnie NitroZygniak z kontaktem do dziewczyny, do której



• **IShowSpeed, amerykański youtuber i streamer** FOT. JAMES PARKER

te dziesięć lat temu Stuu słał różne dziwne wiadomości.

Na przykład taką: „Jak widziałem twoją koszulkę prześwitującą, myślałem, że cię wezmę gdzieś i rozerwę ci ubrania, i cię zjem”. On miał 21 lat, ona – 14. – Zapraszał ją na spotkania. Jak nie chciała lub nie mogła się z nim spotkać, to ją szantażował emocjonalnie. Wyzywał, jak się dowiedział, że wysłała jakieś zdjęcie innemu koledze. Pisał też do niej, że ją weźmie gdzieś na bok i będzie z nią uprawiał seks. To była Ola, czyli Olciak93.

Pojechałeś do niej, jeszcze jako dziennikarz „Spider’sWeb”. – Pokazała mi całą historię rozmów z nim. Opowiedziała wszystko. Kilka dni później nagraliśmy wideo, które zapoczątkowało Pandora Gate. Był koniec września 2023. No, a potem się zaczęła fala hejtu.

Czego dotyczyła? – Tego, że nie docisnąłem Oli, kim jest drugi influencer, o którym wspomniała w wywiadzie, a który miał udostępnić jej seksowne, ale nie nagie, zdjęcie. I że w ogóle źle przeprowadziłem ten wywiad. Potem się jeszcze dowiedziałem, że rzekomo przez ten film inne dziewczyny, potencjalne ofiary, odmówiły podzielenia się swoją historią. Tak twierdzili Wardęga i Konopskyy, którzy później zrobili własne filmy o Pandorze. Konopskyy powiedział wprost: „Wątor, spierdoliłeś sprawę. Wszystkie dziewczyny chciały się wycofać.” Dziś już wiem, że to nieprawda. W Pandorze wycofały albo ograniczyły swoje zeznania co najmniej trzy kobiety, ale żadna przeze mnie. Niedawno do sieci wyciekło nagranie jednej z ofiar, która powiedziała, że zrezygnowała przez Wardęgę, który w swoim filmie obsmarował Boxdela i Dubiela (youtuber, dawny członek Teamu-X i przyjaciel Stuu, freak fighter). Tego ostatniego oskarżył o krycie Stuu, a nawet sugerował współudział. Zresztą Dubiel już go zaciągnął do sądu, Konopskiego też. Boxdel sam się broni w internecie. Do tego jest jeszcze kobieta, która chce się sądzić z Wardęgą, ponieważ udostępnił publicznie materiały z jej korespondencji ze Stuu, bez jej zgody.

W październiku prokuratura przedstawiła Burtonowi zarzuty i skierowała do sądu wniosek o tymczasowy areszt. Poza

Szkodliwi twórcy zbanowani na przykład na YouTube, przenoszą się na inne, mniejsze platformy, na przykład na Kicka.

korespondencją o seksualnym charakterze z nieletnimi fankami, Burton ma na koncie również spotkanie z nieletnią fanką w hotelu, a także upicie nieletniej, która obudziła się z nim w łóżku, niczego nie pamiętając. – Tylko, żeby usłyszeć te zarzuty, Stuu musiałby stanąć przed sądem w Polsce. A w momencie wybuchu Pandory przebywał w Wielkiej Brytanii i tam został aresztowany. Trwa sprawa o ekstradycję, która może trwać długo albo w ogóle się nie wydarzyć. Obstawiam, że Wielka Brytania go nie wyda, to w końcu ich obywatel. Poza tym, Polska po ostatnich ośmiu latach nie ma dobrej opinii w świecie, jeśli chodzi o praworządność i poszanowanie praw człowieka, więc kraje niechętnie zgadzają się na ekstradycję.

Dubiel i Boxdel na pewno stracili wizerunkowo na tej aferze. Z tym że z tych dwóch Boxdel lepiej się wybronił, choć wyszły po drodze inne wątki. Na przykład to, że kumplując się z Wardęgą i mieszkając z nim, jednocześnie zmawiał się na film, który by go oczeruił. A potem zdradził tych, z którymi się zmawiał i film pokazał Wardędze. Nie ma to już wiele wspólnego z Pandorą, jednak pokazuje, jaki ten świat jest od kuchni.

Co tak naprawdę Pandora zmieniła? Poza tym, że film Wardęgi pt. „Mroczna tajemnica Stuu i youtuberów: Pandora Gate” miał prawie 10 milionów wyświetleń, a Konopskyy’ego – pt. „Mroczna przeszłość polskiego youtubera” – 12 milionów. – Dwie rzeczy. Po pierwsze, influencerzy dostali nauczkę, że nie są nietykalni. Po drugie stało się jasne, że totalnie nie mogą sobie nawzajem ufać. Myślę, że przez to staną się jeszcze bardziej czujni, jeszcze bardziej paranoiczni. Ale najbardziej pozytywną konsekwencją tej afery jest to, że otworzyła oczy odbiorcom, którzy przestają „łykać” wszystko to, co mówią influencerzy. I wierzyć, że influencer wygląda i zachowuje się tak, jak się prezentuje w necie. Internauci stali się bardziej krytyczni. Choć trzeba pamiętać, że ta ich krytyka jest specyficzna. Oburzą się, kiedy jakiś influencer będzie prowadził samochód jednocześnie pijąc drinka. Ale już niekoniecznie, kiedy nagra filmik, że podszedł do swojego hejtera na ulicy i uderzył go w twarz. A ty byś się pewnie oburzyła.

Mnie oburza, kiedy influencerzy i influencerki pokazują swoje dzieci, nie licząc się z ich prywatnością, kiedy traktują je jak wieszaki na reklamowane ubrania. – Więc widzisz, są różne kodeksy. Wiele internautów pokazywanie dzieci nie oburza.

A moim zdaniem, powinno. To kolejna rzecz do uregulowania w internecie. – Tu akurat mamy jakieś przepisy, tylko trzeba je egzekwować. Wspomniawsz o reklamowaniu produktów przez dzieci influencerów – żeby dziecko przed ukończeniem 16. roku życia mogło pracować, musi mieć zgodę inspektora pracy, który sprawdzi, czy to jest praca dla niego, czy ma zapewnione odpowiednie warunki, i tak dalej. Tylko że prawie nikt tego nie zgłasza, a Główny Inspektor Pracy nie kontroluje.

Influencerzy często twierdzą, że mają zgodę dziecka na użycie ich wizerunku... – ...zwłaszcza tego, które nie mówi, tak. To, że ten temat jest nieruszony, wynika z opieszałości urzędników. Niech zaczną wchodzić na konta tych wszystkich mam instagramowych. Lil Masti teraz szaleje ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, zresztą Friz ze swoją partnerką Wersow – podobnie. Przecież urząd może wysłać do takich rodziców pismo: „Dzień dobry, tu Inspektor Pracy, widzimy, że trzepiecie gruby hajs na wyświetlaniu filmów z waszym dzieckiem, bez przerwy wrzucacie reklamy z jego udziałem. Czy macie na to zgodę naszej instytucji? Bo w tym miesiącu w naszym województwie wydaliśmy siedem takich

zgód i żadna nie dotyczyła pracy w internecie”. Co stoi na przeszkodzie?

W ogóle to miałem pomysł, żeby były takie internetowe patrole, które by pilnowały porządku w internecie, czy to z ramienia policji, czy z jakiejś innej instytucji.

I jakby to miało wyglądać?

– Jeśli jest jakaś akcja, na przykład na „freakach” uczestnicy się umawiają, że jak wyjdą z konferencji, to się pobiją pod hotelem, to taki patrol tam jedzie i sprawdza, co się dzieje. Dyżurny mógłby przeglądać internet i wskazywać, gdzie odwalają podobne numery: na TikToku kogoś biją, a na jakimś „streamie” się nad kimś znęcają, wysyłamy patrol, żeby to przerwać. Nawet jeśli ci ludzie nie łamaliby prawa, to interwencyjnie powinno się tam wejść, bo za chwilę ta granica może zostać przekroczona.

Także dlatego, że przemoc rodzi przemoc. Język i kultura walk typu „freak fight” jest regularnie odtwarzana w podziałówkach.

– Jak ja byłem w podstawówce, to też były solówki między chłopakami za szkolnym winklem. Tylko nikt tego nie transmitował w internecie i nikt nam niestety za to nie płacił. Ani nie nagrywał, bo nie było smartfonów. To zjawisko przyszło z ulicy, z podwórka do internetu, nie odwrotnie.

Mnie chyba bardziej uderza to, że na tych konferencjach zawodnicy wyciągają swoje prywatne sprawy. Na przykład screeny rozmów przeciwnika z jego partnerką, żeby go pogrążyć. Skąd oni mają takie rzeczy? Tam nie ma żadnych świętości. Wjadą ci z butami we wszystko.

Zaproponowano ci udział w takiej gali.

– Dwa razy. I dwa razy odmówilem. Za pierwszym razem zastanawiałem się dwa tygodnie, za drugim godzinę. Kiedy złożyło mi te propozycje, od razu powiedziałem, że nie chcę znać stawki za występ, bo chcę to przemyśleć pod innym kątem. Nie, ile zyskam, ale co mogę stracić.

Co byś zyskał?

– Poza gażą za walkę, pewnie wzrost popularności w mediach społecznościowych, czyli zasięgi. Być może byłyby one tak duże, że mógłbym już zacząć zarabiać w internecie.

A co mógłbyś stracić?

– Wiarygodność jako dziennikarz. I to ostatecznie przeżyłoby.

Jednym z powodów, dla których „freak fighty” są tak popularne jest to, że różne osoby spoza środowiska je uwiarygadniają. W oktagonie biją się nie tylko influencerzy, ale też sportowcy, aktorzy, osoby publiczne. Z kolei firmy oferują „patoinflencerom” produkty do reklamowania, bo ci mają duże zasięgi.

– Też się czasem spotykam z zarzutem, że pisząc o influencerach, sprawiam wrażenie, jakby to było coś ważnego. Odpowiadam wtedy, że beze mnie to zjawisko też będzie ważne. I dalej będzie rosło. A co do „freaków” to już zostało tak uwiarygodnione, że stało się czymś zwyczajnym. Elementem rozrywki, jak każdy inny. A zostało uwiarygodnione pieniędzmi, chciwością, parciem na szkło. Wielkie firmy internetowe sponsorują te gale. Internet wyrósł tak bardzo, że jest w stanie sam się wyżywić – sam sobie zorganizować wydarzenie i sam je zasponsorować biznesami, które w tym internecie powstały. Przecież praktycznie każdy duży influencer ma swoją markę. Sprzedają napoje, ubrania, kosmetyki.

Tak działa kultura zasięgów. Nieważne co pokazujesz. Ważne, ile osób to ogląda, potem to monetyzujesz. Chciałabym cię jeszcze zapytać o Żurnalistę, który też jest bohaterem twojej książki, choć niby nie jest influencerem, a podkasterem. Jednym z najpopularniejszych w Polsce.



• **Aniela „Lil Masti” Bogusz na gali Fame MMA 4. Hala Sportowa w Częstochowie, czerwiec 2019 r.** FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Tak, jest trochę z boku tego świata, a jednocześnie jest jego częścią.

Występują u niego znani politycy, aktorzy, piosenkarze, pisarze.

– Niedawno był Morawiecki.

Pytales ich, dlaczego chodzą do kogoś, o kim wiadomo, że jest winny ludziom pieniądze?

– Pytałem, ale zwykle nie odpowiadają. Choć jest taka grupa, należy do niej profesor Matczak, ojciec rapera Maty, który na to pytanie zadane przez internautów na Twitterze odpowiedział, że nie wierzy w śledztwo dziennikarskie, które przeprowadziłem i które wykazało, że Żurnalista na różnych etapach życia oszukiwał ludzi i jest im winien pieniądze. Inna grupa to ludzie, którzy twierdzą, że o niczym nie mieli pojęcia. A kolejna – to osoby, którym jest wszystko jedno. Tak bardzo chcą zasięgów, a pojawienie się u Żurnalisty to daje, że mają to gdzieś. No, ale są też ludzie, którzy odmawiają, właśnie ze względu na jego wykroczenia. Wspomniany wcześniej Adam Bodnar publicznie powiedział, że do Żurnalisty nie pójdzie, bo dla niego ważniejsze jest zachowanie twarzy.

Jaka jest według ciebie przyszłość tego świata w Polsce?

– Będzie się coraz bardziej profesjonalizował. Influencerzy będą produkowani według sprawdzonych schematów. To już się dzieje. Chociażby u Friza. Po tym, jak się rozpadła „Ekipa”, Friz zrobił casting na nową grupę mieszkającą razem – GenZie – i dziś jej poczynania śledzi na YouTube 2 miliony subskrybentów. Friz zbudował sobie niezłe imperium. Cały czas tworzy nowe projekty z influencerami, których ma pod sobą: a to teleturniej, a to jakiś program, wyprawa na drugi koniec świata. Myśli o tym, żeby mieć lektorów do tych filmów w różnych językach, żeby były oglądane na całym świecie. Do tego ma choćby markę napojów.

Jak słucham różnych wypowiedzi influencerów, to ich plan jest taki: „nachapać” się tyle, ile się da teraz. Potem założyć swój biznes na bazie tego kapitału, który udało się zbić w internecie, a potem nie robić nic. Myślisz, że za 20, 30 lat Friz, Wersow czy Fagata nadal będą aktywni w sieci?

– Nie wiem, ale po nich na pewno przyjdą inni. Może pojawią się nowe platformy społecznościowe. Nowe formy przekazywania treści.

Nie myślisz, że to się skończy?

– Ale co? Zjawisko, że pewni ludzie są w jakiś sposób wyjątkowi i cała reszta chce za nimi podążać? Zjawisko istnienia ludzi popularnych? Ludzie zawsze będą mieli swoich idoli. To się nie zmienia.

Teraz wielu dorosłych się oburza: no skandaliczni są ci influencerzy, trzeba z tym skończyć, w dyby ich dać. Ale te sa-

Internet może sam sobie zorganizować wydarzenie i sam je zasponsorować biznesami, które w tym internecie powstały. Przecież każdy duży influencer ma swoją markę. Sprzedają napoje, ubrania, kosmetyki.

me osoby nie wejdą do środka, żeby zrobić z tym porządek, tylko patrzą na to przez szybę i mówią: ojej, jakie straszne, dupy dawała w autokarze. Ojej, jakie straszne, jak przeklinają na tych konferencjach. Ty le że to jest takie gadanie i patrzeć z góry, z którego nic nie wynika. Mnie to przestało dziwić i przstraszać. Po prostu jestem w tym i się tym ciekawię. To jest znak naszych czasów.

Zapłaciłeś jakąś cenę za te dwa ostatnie lata? Nie masz poczucia, że się trochę odwrażliwiłeś?

– Nie stałem się przez to bardziej cyniczny, czy nieczuły na krzywdę. Mam swój kompas. Nie mówię, że charakter, kręgosłup, czy zasady, bo to wielkie słowa, ale nie zepsuło mnie to... Być może popsuła się nieco opinia o mnie, że się w ogóle zajmuję tym „gównem”, że to jest poniżej mojej godności – dziennikarza, poważnego, dorosłego człowieka. Mogła się też pogorszyć moja opinia u młodszych internautów, którzy uważają, że źle przeprowadziłem ten wywiad z Olą. Ale to są opinie innych, ja o sobie mam jak najlepsze zdanie. Zawodowo jestem w świetnej sytuacji. Znalazłem działkę, która będzie tylko rosła, a którą praktycznie nikt na poważnie się nie zajmuje. No i polubiłem ten świat. Traktuję to trochę jak taki serial dokumentalny. Ci ludzie czasem mnie bawią, a czasem powodują, że czuję dumę, bo jest ktoś, kto łamie zasady, a to wspaniała sprawa. Przekonałem się też, że w tym świecie potrafię być niezależny. Po tym, jak skończyłem pisać książkę, dostałem propozycję korupcyjną.

Od kogo?

– Od jednej z osób influencerskich występujących w mojej książce. Zaproponowała mi, poprzez menedżerów, że jeśli usunę ważny wątek jej dotyczący, to jeszcze w tym roku będę mógł napisać jej biografię, w której znajdą się takie rzeczy, jakich nikt sobie nawet nie wyobraża. „Mówię ci, Kuba” – usłyszałem – „To będą historie mocniejsze od Pandory. I podzielimy się zyskami pół na pół.”

Skusiło?

– Nie. Odpowiedziałem, że ta książka to moje dziecko, do tego pierwsze. I nie chce, żeby chodziło szczerbate. Dodałem też, że je-

śli nie zautoryzują swoich wypowiedzi w książce, to zamienię je na mowę zależną, a na końcu napiszę, dlaczego się wycofał. I będzie gorzej dla nich. Skończyło się na tym, że zadzwonili dzień później i powiedzieli: „Dobra, akceptujemy wszystko”. Pomyślałem sobie wtedy: „kurde, jednak mam jaja”.

Czym jest dla ciebie tytułowa „influenza”?

– Rodzajem wirusa, który się rozprzestrzenia i dotyka już wszystkich. Bo nawet jak nie oglądasz żadnych youtuberów, nie obserwujesz influencerów na Instagramie, nie oglądasz „freak fightów”, to, idąc ulicą Puławską w Warszawie, natkniesz się na wielki baner, na którym Fagata reklamuje płatki śniadaniowe. To już nie jest zabawa dla dzieciaków, to część realnego, dorosłego świata. „Influenza” wypłynęła już daleko poza internet.

Ty mógłbyś być influencerem?

– Powoli wchodzę w świat YouTube’a. Od niedawna mam program typu „commentary”, czyli coś, co robią Konopsky, Gimper i inni. Robię to w ramach swojej nowej pracy, pod banderą „Goniec.pl”. Jak nagrałem pierwszy odcinek, to powiem ci, że ze stresu tak mi coś weszło w plecy, że nie mogłem przekręcić głowy bez bólu.

To nie wiem, czy się nadajesz.

– Właśnie trwa test. Po kolejnych dwóch odcinkach już nic mnie nie bolało. Czy go zdałem, poznam po tym, jak się będę prezentował, czy się oswoję z kamerą, czy będę swobodnie mówił. No i oczywiście po liczbie wyświetleń. Wiadomo, że jak nikt tego nie będzie oglądał, to będzie oznaczało, że moje „rewelacje” nikogo nie interesują. Albo, że inni robią to lepiej.

Nie boisz się hejtu? Miałeś już próbkę przy „Pandoragate”.

– Ten hejt do dziś się ciągnie, choć w mniejszym natężeniu. Po tym, jak wyszedł film NitroŻyniaka pokazujący Wardęgę w złym świetle i napisałem tweeta, że dobrze, że ten film się ukazał, bo można między wierszami wyczytać ciekawe rzeczy, to pierwszy komentarz był taki: „Ty się, k..., nie powinienes wypowiadać, tak zjebałeś ten swój film z Olą”. A tu jest wiadomość z wczoraj, z Instagrama: „zabij się kurwo”. Napisał ją chłopak, który na Instagramie występuje z imienia i nazwiska, pokazuje swoją twarz. Mimo to, przez te ostatnie pół roku nie przyszło mi do głowy, żeby sobie coś zrobić. Ani razu nie pomyślałem, że jestem do niczego. Oczywiście, przyjmuję krytykę od osób, które znam i cenię. Natomiast hejt już nie robi na mnie takiego wrażenia, jak dawniej.

8 kwietnia Wardęga ogłosił, że wycofuje się z internetu. Powiedział: „Chcę na nowo doceniać małe rzeczy, na nowo zjednać się z naturą. W końcu zacząć przeżywać życie tak, jak zawsze chciałem je przeżywać. Zwłaszcza, że zdrowie zaczyna zawodzić. (...) Czas skupić się na sobie i spełniać swoje marzenia. Domek w środku lasu, podróże, rodzina i dzieci.” Co o tym myślisz?

– To nie odejście, lecz ucieczka przed konsekwencjami. Na jaw wychodzi coraz więcej błędów i złych zachowań Wardęgi. Ludzie powoli przestają się bać mówić o tym, ile złego im wyrządził. Przykładem są choćby jego kłamstwa dotyczące filmu „Boobsman” z 2014 roku, pamiętasz? Wardęga biegał w nim po ulicach Warszawy w masce i kolorowym stroju i łapał kobiety za piersi. Potem twierdził, że miał na to ich zgody i że nie miały do niego pretensji. Ogłosił, że odchodzi dosłownie kilka godzin po tym, jak powiedziałem, że kłamał w tej sprawie. Dotarłem już do dwóch kobiet, które z zaskoczenia zaatakował w tym filmie – jedną złapał za piersi, drugiej udało się zasłonić. Obie do dziś wspominają to jako koszmarnie przeżycie. Takich jego obrzydliwych zachowań jest więcej. Dlatego ucieka. ●

A NA KOŃCU WYGRAJĄ SAUDOWIE (ORAZ DEMOKRACJA)

Na Zachodzie panuje większa niechęć do bezpośredniej konfrontacji z Moskwą niż z Teheranem

Z PROF. **YOSSIM MEKELBERGIEM***
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

MATEUSZ MAZZINI: Czy pomiędzy Iranem i Izraelem w niedzielę wybuchła już wojna? A może jednak – oby – będziemy teraz obserwować odwety za pomocą państw i aktorów satelickich?

YOSSI MEKELBERG: Ta wojna już trwa. Momentami przyjmuje formę ukrytą, czasami jest wyraźniejsza, ale to raczej kwestia definicji. Możemy to nazwać „wrogością pomiędzy dwoma państwami”, „wojną podjazdową”, „wojną zastępczą”, „proxy war”.

Alte tym, czego do tej pory nie było, to bezpośredni atak Iranu na terytorium Izraela. Lecz trzeba wziąć poprawkę na to, że Izrael funkcjonuje na zasadzie wiarygodnego zaprzeczania i dlatego zawsze udawało się uniknąć konfrontacji, na zasadzie „my wiemy, że wy wiecie, że my wiemy, i wszyscy wiedzą, ale możemy zachować twarz” – lecz ostatnio ma problemy z tą wiarygodnością. Z jednej strony nie chce prowokować ani Iranu, ani jego sojuszników do odwetu, z drugiej chciałby, żeby świat wiedział, że niektóre działania właśnie on przeprowadza. Jak na przykład – podobnie bezprecedensowy, co irański odwetowy nawał dronów – atak na irańską placówkę dyplomatyczną w Syrii.

Alte pełnowymiarowej wojny – nie, nie ma.

A będzie? Jeśli Netanjahu jednak zdecyduje się na odwet, jak odpowie Iran?

– Powiem panu coś, z czego się pan zapewne zaśmieje, ale... Jeśli Izrael okaże się racjonalny – a to oczywiście stoi pod dużym znakiem zapytania – to odwetu nie będzie. Bo musiałby być odwetem za odwet. Przecież atak Iranu sam w sobie był odwetem. Wielu powie, że nieproporcjonalnym, ale był mimo wszystko odpowiedzią na coś, co zrobił Izrael.

Z tego punktu widzenia Jerozolima nie ma potrzeby przeprowadzać kolejnego ataku. Wskutek tego, co Iran zrobił w weekend, Izraelczycy znacznie poprawili pozycję strategiczną, zwłaszcza względem ostatnich sześciu miesięcy.

Dotychczas pozycja Izraela na arenie międzynarodowej sukcesywnie słabła przez wojnę w Gazie. Zresztą jednym z założeń irańskiego ataku było właśnie przekonanie, że Izrael traci poparcie sojuszników, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Gdy wystartowały drony i rakiety, szybko okazało się, że wcale tak nie jest. Nie tylko USA – kraje europejskie, nawet Jordania, uruchomiły swoje zasoby, żeby powstrzymać atak na Izrael.

Więc Izraelczycy mogą teraz zrobić krok w tył i powiedzieć: cóż, jeśli tak wygląda sytuacja, to czujemy się całkiem bezpieczni. To oficjalnie, a nieoficjalnie – po co denerwować ludzi, którzy stanęli w twojej obronie? Bo przecież Joe Biden i brytyjski minister spraw zagranicznych David Cameron bardzo jasno powiedzieli, że Izrael nie powinien przeprowadzić ataku odwetowego.

Tylko pytanie, czy Izrael zachowa się racjonalnie. Trzeba czytać między wierszami, na przykład wypowiedź Benny’ego Gantza, który jest członkiem wojennego rządu jedności narodowej. A on dał do zrozumienia, że Izrael owszem, odpowie, ale w sposób dla siebie dogodny i w momencie przez siebie wybranym.

A jeśli zabraknie racjonalności?

– Z jednej strony jest Gantz, choć były wysoki dowódca, to centrysta, umiarkowany, z drugiej – skrajnie prawicowa, ultranacjonalistyczna grupa mesjanistycznych fanatyków religijnych. Niech ich pan nazwie, jak chce, mnie się już, szczerze mówiąc, kończą określenia na nich.

Oni mówią do Netanjahu: uderz teraz, na Iran, z ogromną siłą. Itamar Ben-Gvir, minister bezpieczeństwa wewnętrznego, napisał na X/Twitterze, że trzeba uderzyć z całą stanowczością, „jak szaleńcy”. Tyle że to żadna przemyślana, oparta na analizie strategia – to pusta retoryka, żeby skonsolidować własny elektorat. Ci politycy zasiadają w rządzie, wywierają presję, a to od nich zależy, czy Netanjahu utrzyma się przy władzy. Bez ich wsparcia czekają go wybory, które przegra. Z drugiej strony naciskają go nie tylko bardziej umiarkowani w kraju, ale też Waszyngton, Macron, premier Rishi Sunak. Świat stara się zapobiec odwetowi.

Alte jeśli odwet będzie, to też otwierają się różne scenariusze. Kiedy, gdzie, jak? Czy przeciwko Hezbollahowi, czy w Syrii, czy na terytorium Iranu? Jakiś cel o znaczeniu symbolicznym?

Izrael to jedna niewiadoma tego równania, Iran to druga.

– Bardzo ważne jest, żebyśmy zdali sobie sprawę z tego, co o ataku mówi się w samym Iranie. Oni tworzą narrację, że Izrael mocno oberwał, bo te pociski zniszczyły dwie bazy lotnictwa i dokonały ogromnych zniszczeń. Izraelczycy twierdzą, że zniszczenia były minimalne, na wielkie nie ma dowodów. Ale propaganda jest mocna i działa nie tylko na zwolenników ajatollahów. Zaraz po ataku, w niedzielę, zaproszono mnie do programu w Al Jazeera razem z profesorem z jednego z irańskich uniwersytetów. To nie był żaden rzecznik reżimu, ale mówił to, co reżim chciał usły-



szeć – i siedł w zaparte, że oni te bazy trafi-
li, siejąc spustoszenie.

Z perspektywy Izraela to wyglądało zupełnie inaczej. Rozmawiałem w weekend z moją rodziną, która tam mieszka, wszyscy czuliśmy się dziwnie. Nie tyle z realnego strachu, ile z powodu tej choreografii. Wszyscy wiedzieli, kiedy uderzą, ile dronów wyleciało, kiedy doleczą, następnym krokiem było prawie zgadywanie, gdzie sprawcy tego ataku pójdą zjeść kolację i co sobie zamówią.

W normalnej kampanii wojskowej czegoś takiego się nie robi. Nie trzeba być von Clausewitzem, żeby wiedzieć, jak ważny jest element zaskoczenia. Pod tym względem działania Iranu były niemalże surrealistyczne.

Według wielu ekspertów ten atak wzmacnia pozycję Netanjahu, zwłaszcza w polityce krajowej. Póki trwa wojna, wszystko jedno na którym froncie, nie będzie wyborów.

– To uderzenie w Iran w Damaszku, zabicie wysokich rangą oficerów, a potem stworzenie sojuszu, który broni Izrael przed odwetem – to jest spory sukces. Krytyka „Bibiego” narastała, wszystko szło źle – i nagle stał się premierem, który powstrzymał Iran. Jak to brzmi!

A jednocześnie jego zachowanie, to, co robi publicznie, to fatalny przekaz dla społeczeństwa. Większość Izraelczyków nie ma dostępu do porządných schronów z prawdziwego zdarzenia, a on w momencie zagrożenia pokazuje się w domu kolegi, pod którym jest bunkier atomowy.

Netanjahu stracił już kontakt z rzeczywistością, żyje we własnym świecie, więc tylko pogarsza swoją sytuację. Która już od dłuższego czasu robi się podobna do tej, którą widzę w Wielkiej Brytanii.

Czyli?

– Konserwatyści rządzą tu 14. rok, po takim czasie masz już dosyć władzy w rękach tej samej opcji.

Gdyby izraelskie systemy obrony powietrznej w zeszłą niedzielę zawiodły, nikt w Rosji czy Chinach by się na taki obrót spraw nie skarżył



FOT. REUTERS/MAJID ASGARIPOUR/WANA

Najważniejszy w tym wszystkim jest temat zakładników w rękach Hamasu. Po tym, co wydarzyło się 7 października, kiedy wszyscy się przekonali, że Izrael nie jest w stanie obronić własnej ludności, bardzo ciężko będzie wrócić do normalnych stosunków wewnętrznych, udawać, że nic się nie zdarzyło, że system zadziałał. Więc wychodzi na to, że wojna to praktycznie jedyna szansa dla niego, żeby pozostać u władzy. A na dodatek nie wiadomo, kto i co wpływa na jego decyzje.

To naprawdę niecodzienna sytuacja dla Izraelczyków – mieć premiera, który zajmuje się piarem, a nie dba o treść własnej polityki.

To popatrzmy szerzej, poza region. Komu eskalacja byłaby na rękę. Chiny? Rosja?

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś z zewnątrz pchnął Iran do tego ataku, ale na pewno są państwa, które rzucają wyzwanie Zachodowi i całej jego architekturze bezpieczeństwa. Instytucja, która miała stać na straży globalnego porządku, czyli Rada Bezpieczeństwa ONZ, w ogóle nie funkcjonuje. Widzieliśmy to na przykładzie Syrii, Ukrainy, widzimy w Gazie i innych miejscach. Kiedy tylko pojawia się jakaś rezolucja, druga strona mówi, że jej nie obowiązuje – i wojna trwa dalej.

Właściwie nie wiadomo, czy ktokolwiek panuje nad światowym bezpieczeństwem. A jeśli tak, to kto to jest. Wracamy więc do równowagi sił, gry mocarstw. Sir Robin Niblett, mój dawny szef w Chatham House, wydał ostatnio książkę „Nowa Zimna Wojna”.

Wielu poważnych ludzi uważa, że już się w niej znajdujemy. Wszędzie, gdzie pozycja

• **Teheran, jedna z licznych manifestacji radości zwolenników reżimu ajatollahów po ataku powietrznym na Izrael**

i wpływy USA są zagrożone, Chińczykom i Rosjanom jest to na rękę. Gdyby izraelskie systemy obrony powietrznej w niedzielę zawiodły, nikt w Rosji czy Chinach by się na taki obrót spraw nie skarżył. Ale przy tej skuteczności – 99 proc. zestrzelonych rakiet i dronów – wszyscy widzą, że Iran musi wrócić do punktu wyjścia i przeanalizować jeszcze raz swój realny potencjał.

Co w takim razie z Ukrainą? Czy fakt, że Amerykanie musieli znowu skierować uwagę – a wkrótce być może będą musieli zasoby – na Bliski Wschód, oznacza, że Ukraina trwale schodzi na drugi plan, bo Waszyngtonu nie stać już na dwa jednoczesne konflikty? Nawet jeśli stać go gospodarczo, to nie stać politycznie?

– Wiele osób zadaje mi to pytanie – i macie wszyscy rację. Ale jeśli naprawdę chcesz być supermocarstwem o zasięgu globalnym, nie możesz opierać swoich działań na założeniu, że stać cię tylko na jeden konflikt naraz. Nawet mały Izrael nie może sobie na to pozwolić. Co by było, gdyby Izraelczycy powiedzieli: odpuszczamy Hamas, zajmujemy się tylko Hezbollahem?

Po pierwsze, zwykle takie kryzysy są ze sobą powiązane. Wpływają nie tylko na twoją politykę zagraniczną, ale też na sytuację w twoim kraju – widzieliśmy, jak wojna podniosła koszty życia u sojuszników Kijowa. Trudno jedno od drugiego oddzielić.

Różnica pomiędzy tym konfliktem a inwazją Rosji na Ukrainę jest taka, że na Za-

NATO, Unia Europejska, G7 – w tych instytucjach są ci sami przywódcy tych samych państw

chodzie panuje większa niechęć do bezpośredniej konfrontacji z Moskwą niż z Teheranem.

A Unia Europejska? Zapytam wprost, bo mi się ciśnie to pytanie na usta od początku rozmowy. Czy kogokolwiek w ogóle obchodzi, co Bruksela ma w tej sprawie do powiedzenia?

– Myślę, że Unii mimo wszystko nie można ignorować. Ma deficyty, jeśli chodzi o politykę zagraniczną i obronną. Brexit też jej w tym zakresie nie pomógł, ale teraz, przez napasć Rosji na Ukrainę, większość państw europejskich zwiększa wydatki na obronność. Szwecja i Finlandia dołączyły do NATO. Sojusz Północnoatlantycki prawie w całości pokrywa się z Unią. To ważne, nie zapominajmy o tym – bo oznacza, że w tych instytucjach są ci sami przywódcy tych samych państw. Czasem to Unia, czasem NATO, czasem G7 – ale w gruncie rzeczy podobny zestaw.

Jeśli już gdzieś szukać komplikacji, to w ewentualnej prezydenturze Trumpa. Jak ona wpłynie na sojusze, w tym na Unię? Nie do końca wiadomo, ale niech pan spojrzy: w weekend Europa odpowiedziała. RAF wzięło udział w obronie Izraela. To nie jest Unia Europejska, wiadomo, ale Wielka Brytania nadal jest elementem europejskiej architektury bezpieczeństwa. A więc – jasne, Unia stoi przed wyzwaniami, ale nie skreślałbym jej całkowicie.

A państwa arabskie? Stamtąd na razie cisza. Ktoś się wychyli, zaczniesz negocjować? Saudyjczycy? Zaraz wyjdzie na to, że to oni są najbardziej przewidywalni w regionie.

– Zacznijmy od Jordanii. To był bardzo odważny ruch, żeby stanąć w obronie Izraela, ale też poważna deklaracja polityczna.

Natomiast Arabia Saudyjska gra we własną grę, która przez większość czasu jest bardzo wyrafinowana. Po pierwsze, mamy wznowienie relacji dyplomatycznych z odwiecznie wrogim Iranem – również z powodu niepewności, czy Amerykanie zrobiłby dla nich to, co robią teraz dla Izraela.

Czy Saudowie ufają Iranowi? Absolutnie nie. Czy wierzą, że jeśli nadarzy się okazja, to Teheran nie zaszkodzi saudyjskim interesom albo wręcz samej Arabii Saudyjskiej? Nie. Więc prowadzą dyplomację, ale też obserwują, są przygotowani na oba scenariusze. Widzieliśmy, co się stało, kiedy kilka lat temu sojusznicy Iranu zaatakowali rafinerie i infrastrukturę do produkcji ropy, wstrzymali połowę wydobywania, a Amerykanie nic nie zrobili. To też część saudyjskiej kalkulacji.

To wznieśmy się jeszcze wyżej. Jak pan to widzi globalnie? Ukraina, Gaza, Hamas, ataki Rosji, Chiny, teraz Iran – wygląda na to, że nikt nie jest w stanie utrzymać w ryzach państw czy aktorów z, nazwijmy to, „nowej osi zła”. Tymczasem one tworzą alternatywne wobec zachodniego liberalizmu systemy: poli-

tyczne, ekonomiczne, normatywne. To koniec powojennego porządku światowego, już oficjalnie?

– Nigdy nie wierzyłem w teorię Fukuyamy o końcu historii, czyli ostatecznym tryumfie liberalnej, wolnorynkowej demokracji. Kiedy ją opublikował, byłem tylko młodym asystentem na uczelni – i już wtedy, gdy omawialiśmy ten tekst ze studentami, nie byliśmy przekonani, że tam jest wartośćwa treść. Choćby dlatego, że na świecie są i będą siły, które ze sobą rywalizują, bo zawsze były.

A teraz układy gwarantujące bezpieczeństwo w takim kształcie, w jakim powstały po II wojnie światowej, już w ogóle nie mają racji bytu. Porządek światowy, do którego się przyzwyczailiśmy, skończył się, i to jakiś czas temu. Musimy to zaakceptować. To nie znaczy, że tracimy wiarę w nasze demokracje liberalne – przecież macie w Polsce nowy rząd, który w przeciwieństwie do poprzedniego wierzy w taki ustrój, chce być w sercu Europy. Ale to nie jest wiara, którą, jak chciałby Fukuyama, podzielają wszyscy – i to stanowi największe wyzwanie.

Bardzo długo uważaliśmy, że Unia Europejska to świetny pomysł, bo zmniejsza ryzyko wojny, tworzy wspólny rynek i pomaga osiągnąć dobrostan. Ale zapomnieliśmy o potencjalnych, ujawniających się w razie kryzysów problemach, no i te się pokazały: nacjonaści, ci z miast i ci ze wsi, jako odpowiedź na niepewność, złą passę ekonomiczną, obawę przed rozmyciem. Pogląd Fukuyamy przyjął się, bo był po prostu bardzo komfortowy. Taka miła iluzja.

A przecież, powtórzę – wyzwania dla demokracji dalej istnieją i są, choć przebrane w nowe szaty, te same, co zawsze: walczymy o ograniczone zasoby i po prostu o władzę.

Ale niezmiennie pozostało też coś innego – to, że nadal wierzymy w wartości demokracji liberalnej. A to oznacza, że walka nadal trwa i nie jest rozstrzygnięta na korzyść Putina czy Xi. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Yossi Mekelberg

• profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Roehampton, analityk Chatham House, jeden z wiodących europejskich ekspertów w zakresie polityki i stosunków międzynarodowych krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. 1990) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.

Ewa Ivanova

awina pozwów, aktów oskarżenia, wezwań przed sądowych oraz nieuzasadnionych żądań sprostowań od osób i instytucji powiązanych z władzą – tak dla „Gazety Wyborczej” i serwisu internetowego Wyborcza.pl wyglądały rządy PiS w latach 2015-2023. Skala ataków SLAPP (Strategic Lawsuits Against Public Participation) podejmowanych wobec dziennikarzy, redaktorów naczelnych i redakcji „Wyborczej”, była bezprecedensowa. Akcje prawne typu SLAPP przybierały różne formy – cywilne i karne, przedprocesowe i procesowe. Ale ich charakterystyczną cechą było to, że nie służyły dochodzeniu faktycznych roszczeń czy krzywd, ale były formą odwetu za kontrolowanie władzy lub formą zastraszenia, a więc zmierzały do wywołania tzw. efektu mrożącego, czyli autocenzury. Ich celem było także osłabienie „Wyborczej” – finansowe i wizerunkowe. SLAPP godziły przy tym nie tylko w dziennikarzy i redakcję, ale przede wszystkim w opinię publiczną i jej prawo do informacji o nadużyciach czy patologiach władzy lub potężnych korporacji; w przypadku Polski chodziło głównie o spółki skarbu państwa.

Inicjatorami SLAPP wobec „Wyborczej” byli przede wszystkim politycy rządzącej partii, ministerstwa, urzędy centralne, spółki skarbu państwa, fundacje związane z przedstawicielami władzy albo podmioty lub osoby od nich zależne. W sumie w latach 2015-2023 wniesiono przeciwko dziennikarzom, redaktorom naczelnym czy wydawcy „Wyborczej” ponad 140 takich SLAPP-owych pozwów cywilnych (o ochronę dóbr osobistych lub o nakazanie publikacji sprostowania), a także – kilkanaście aktów oskarżenia, w tym o zniesławienie z osławionego art. 212 kodeksu karnego. Dotychczas zakończyło się ok. 80 procesów. Jednakże ok. 60 tego typu postępowań nadal jest w toku. Zdecydowana większość sądowych batalii zakończyła się zwycięstwem „Wyborczej”. Gazeta oprócz procesów musiała się mierzyć z setkami wezwań przedsądowych, nękających pism z urzędów, sądów, prokuratur i policji. Otrzymywała dziesiątki nakazów ze strony prokuratur i sądów o udostępnianie rozmaitych informacji czy też danych osobowych użytkowników serwisów. Jedno tylko Ministerstwo Kultury przysłało w ostatnich latach do redakcji „Wyborczej” ponad 110 wniosków o sprostowanie. Dyscyplinarkami nękano prawnika „Wyborczej”.

Ziobro i jego ludzie

Najwięcej ataków SLAPP wobec „Wyborczej” kierowało Ministerstwo Sprawiedliwości i prokuratura pod rządami Zbigniewa Ziobry. Szczególnie wrażliwy na krytyczne publikacje był sam Ziobro, który zainicjował rekordową liczbę akcji prawnych – blisko 20 rozmaitych procesów cywilnych. Występował czasem jako osoba fizyczna, czasem jako minister sprawiedliwości, a jeszcze innym razem jako prokurator generalny. Wiele wniosków o sprostowanie Ziobry miało absurdalny charakter. Opisując jego proces z sędzią Beatą Morawiec, podawano, że „Ziobro

„WYBORCZA” NA CELOWNIKU

Kancelarie opłacane przez rząd i spółki skarbu państwa
składały pisma procesowe **liczące nawet po kilkaset stron**
z tysiącami załączników

przegrał” proces, ale Ziobro chciał sprostowań, że „przegrał skarb państwa – minister sprawiedliwości”, bo formalnie pozwanym był skarb państwa, a on nigdy nie był stroną procesu, zatem nie mógł go przegrać i nie musi przeproszać sędzi.

Oprócz Ziobry redakcję pozywał były wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta, były minister środowiska Michał Woś. Grupa ta specjalizowała się w sztucznym namnażaniu akcji prawnych. Do jednego artykułu o rejestrze pedofilów „Wyborcza” otrzymała aż sześć pozwów – część wniósł Zbigniew Ziobro, część skarb państwa/minister sprawiedliwości (czyli znów Ziobro), a część wice-minister Kaleta.

„Wyborcza” chętnie atakowała SLAPP neosędziowie, którzy zrobili błyskawiczną karierę dzięki Ziobrze i jego ludziom. Wiele postępowań zainicjowano nam za publikację na temat afery hejterskiej, czyli organizowanych przez sędziów związanych z resortem sprawiedliwości napaści dyskredytujących innych sędziów, tych walczących o niezależność sądów. Wciąż toczą się procesy wytoczone „Wyborczej” przez Konrada Wytrykowskiego z nielegalnej Izby Dyscyplinarnej SN, a także sędziego Pawła Zwolaka związanego z resortem sprawiedliwości. Pozywał nas także Przemysław Radzik, jeden z głównych rzeczników dyscyplinarnych nękających sędziów, spór przegrał.

Pozywający gazetę często wdrażali agresywne strategie procesowe: atakowali pełnomocnika „Wyborczej” lub sędziów. Konrad Wytrykowski w toku procesu wniósł o wyłączenie ze sprawy sędziego z niezależnego Stowarzyszenia Sędziów „Iustitia” (bezsukcesownie). Złożył także do rzecznika dyscyplinarnego radców prawnych zawiadomienie na pełnomocnika „Wyborczej”, bo nie podobała mu się jego odpowiedź na pozew.

Kaczyński i PiS

„Wyborcza” była jedynym medium ostro atakowanym przez PiS. Partia rządząca w latach 2015-2023 skierowała trzy akcje prawne przeciwko gazecie, a jej prezes Jarosław Kaczyński – dwie. Były to zarówno postępowania cywilne o naruszenie dóbr osobistych, jak i sprawy karne z art. 212 kk (zniesławienie).

Najgłośniejsza sprawa dotyczyła komentarza Wojciecha Czuchońskiego o „mafijnym państwie PiS”. Autor ocenił w nim ulaskawienie szefów służb specjalnych Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika przez prezydenta Andrze-

ja Dudę na początku rządów PiS. Sprawa zabrnęła aż do Sądu Najwyższego i zakończyła się rozstrzygnięciem korzystnym dla „Wyborczej”. Postępowanie cywilne o naruszenie dóbr osobistych PiS zainicjował wobec „Wyborczej” za teksty Czuchońskiego i Iwony Szpali dotyczące planów budowy dwóch biurów przez spółkę Srebrna (związaną z PiS). Partia przegrała w obu instancjach sądowych. Trzeci atak PiS był skierowany przeciwko trzem dziennikarom „Wyborczej”: Ewie Ivanowej, Agacie Kondzińskiej i Iwonie Szpali za tekst o naciskach polityków PiS na Andrzeja Seremeta, prokuratora generalnego przed rządami PiS. Politycy ci nalegali, by Seremet wniósł kasację w sprawach rzutujących na sytuację procesową Daniela Obajtka. Autorki otrzymały wezwanie przedsądowe, ostatecznie partia nie wniosła pozwu.

Dwie sprawy wobec „Wyborczej” osobiście zainicjował prezes PiS. Cywilna dotyczyła tekstów o tzw. taśmach Kaczyńskiego. Karne – tekstów o dwóch wieżowcach i spółce Srebrna. Kaczyński złożył zawiadomienie do prokuratury z art. 212 kk, ale warszawska prokuratura okręgowa odmówiła wszczęcia postępowania z powodu braku znamion czynu zabronionego i z powodu braku interesu społecznego w ściganiu przestępstwa prywatno-skargowego.

Spółki kontra „Wyborcza”

Wiele SLAPP wobec „Wyborczej” weszły w zasobne w środki finansowe spółki skarbu państwa oraz telewizja publiczna pod rządami polityka ówczesnej partii rządzącej Jacka Kurskiego. Daniel Obajtek wytoczył „Wyborczej” osiem procesów, a wcześniej wręcz załatwił kilkadziesiąt wnioskami o sprostowania.

TVP wytoczyła siedem procesów cywilnych „Wyborczej”, m.in.

**Zbigniew Ziobro
zainicjował
rekordową liczbę
procesów. Występował
czasem jako osoba
fizyczna, czasem
jako minister
sprawiedliwości,
a jeszcze innym razem
jako prokurator
generalny**

o teksty o astronomicznych wydatkach TVP na organizację rozmaitych imprez. Część żądań dotyczyło sprostowań, a część rzekomego naruszenia dóbr osobistych telewizji. TVP wniosła także prywatne akty oskarżenia z art. 212 kk (zniesławienie) przeciwko Wojciechowi Czuchońskiemu z „Wyborczej”, Renacie Grochal z „Newsweeka” (RASP), Ewie Siedleckiej z „Polityki”. Chodziło o opinie i komentarze dotyczące tego, że Stefana W., który zamordował prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, mogło skłonić do zbrodni oglądanie w więzieniu telewizji państwowej. Wszystkie trzy sprawy TVP prawomocnie przed sądem przegrała.

Taśmowo „Wyborcza” w latach rządów Zjednoczonej Prawicy była zalewana pozwami od Polskiej Grupy Zbrojeniowej, Polskiej Fundacji Narodowej, Narodowego Banku Polskiego, Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, KGHM Polska Miedź, Lasów Państwowych czy Polskiego Holdingu Hotelowego.

Część ataków SLAPP przybierała formę karną: wnoszono prywatne akty oskarżenia lub zawiadomienia do prokuratury podporządkowanej Ziobrze z żądaniem ścigania autorów publikacji. Ataki karne opierały się głównie na art. 212 kk, który przewiduje nawet karę do roku więzienia za zniesławienie (zawiadomienie prezesa PiS wobec dziennikarzy „Wyborczej”), ale zdarzały się także sprawy inne niż z art. 212 kk. Przykładowo wobec Czuchońskiego zainicjowano z art. 226 kk sprawę dotyczącą „publicznego znieważenia organu konstytucyjnego”. Autor opisał, że prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska i jej zastępca Mariusz Muszyński byli „prowadzeni przez służby i zostali ulokowani w TK, by podporządkować go interesom władzy”. Zawiadomienie do prokuratury złożyła Julia Przyłębska. Śledztwo zostało umorzone.

Polscy „Bully Lawyers”?

W atakach na „Wyborczą” aktywny udział brali prawnicy, którzy wręcz wyspecjalizowali się w procesach z niezależnymi mediami. Wielu z nich zbudowało prężnie działające kancelarie na zleceniach usług prawnych ze strony dawnych rządzących czy spółek skarbu państwa. Niejednokrotnie na rozprawy sądowe przeciwko „Wyborczej” ich kancelarie delegowały po 2-3 adwokatów czy radców prawnych. Kancelarie te składały pisma procesowe liczące po kilkadziesiąt czy nawet kilkaset stron z tysiącami załączników. Sama lekatura dostarczanych do redakcji czę-

sto wielokilogramowych paczek dokumentów była dla prawników gazety wręcz mordercza.

Mecenas Maciej Zaborowski i jego kancelaria reprezentowała w sporach z „Wyborczą” Polską Grupę Zbrojeniową, Lasy Państwowe, byłego prezesa Orlen Daniela Obajtka, którego prokuratura Zbigniewa Ziobry oczyściła z zarzutów o oszustwo i łapówkę. Ten sam Zaborowski był jednocześnie także adwokatem ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry oraz członków jego rodziny. Za czasów pierwszych rządów PiS (2005-07) Zaborowski był asystentem ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Ziobry. Doradzał też sejmowej komisji śledczej ds. afery hazardowej. Kiedy w 2015 r. PiS ponownie doszedł do władzy, Zaborowski szybko został jednym z beneficjentów „dobrej zmiany”. Trafił wtedy do kilku rad nadzorczych spółek skarbu państwa, a z resortu sprawiedliwości dostawał zlecenia na obsługę procesową i na sporządzenie opinii do projektów aktów prawnych. W sporach z „Wyborczą” wypracował jako pełnomocnik specyficzną strategię procesową: sztucznie namnażał pozwy w sprawie tej samej publikacji. Raz składał pozew np. w imieniu Zbigniewa Ziobry jako osoby prywatnej, potem w imieniu Zbigniewa Ziobry jako ministra sprawiedliwości. W grudniu 2020 r. Sąd Apelacyjny w Warszawie, oddalając powództwo Ziobry przeciwko „Wyborczej”, nie zostawił suchej nitki na strategii multiplikowania pozwów.

Z kolei w sporach inicjowanych przez NBP, posłankę PiS Krystynę Pawłowicz, Polską Fundację Narodową, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, rodzinę Jacka Kurskiego i z samą TVP występował mec. Artur Wdowczyk. W przeszłości adwokat był pełnomocnikiem wydawnictwa Ringier Axel Springer, potem wyspecjalizował się w obsłudze „dobrej zmiany”.

W postępowaniach inicjowanych przez PiS i Kaczyńskiego występowali zazwyczaj mec. Adrian Salus i Bogusław Kosmus. Sędziów zawdzięczających karierę „dobrej zmianie” często przed sądem reprezentowali prawnicy powiązani z katolicką organizacją Ordo Iuris. W rankingu CASE (koalicji organizacji pozarządowych z Europy walczącej ze SLAPP) Ordo Iuris została zaliczona do „Bully Lawyers” czyli „prawnych agresorów”. Chodzi o prawników lub organizacje prawnicze, które w imieniu swoich klientów stosują najbardziej obraźliwe i napastliwe strategie procesowe.

Istotnym problemem przy SLAPP-ach w Polsce było to, że wiele postępowań sądowych wymierzonych przeciwko mediom trafiało do neosędziów, którzy zawdzięczali awans upartyjnionej neo-KRS złożonej z ludzi ministra Ziobry. Sprawy „Wyborczej” dostawały w warszawskich sądach często do swoich referatów neosędziowie, a w Sądzie Najwyższym – niemal wyłącznie ta grupa. W efekcie dochodziło do absurdalnych sytuacji: spory ministra sprawiedliwości z gazetą mieli rozstrzygać byli protegowani ministra, dawni dyrektorzy w ministerstwie czy prezesi sądów z nominacji Ziobry. Ci sędziowie sami byli nieraz bohaterami krytycznych publikacji na łamach „Wyborczej”. ●

PRAWDZIWI KOMUNIŚCI

Wszyscy młodzi miliarderzy zdobyli swoje fortuny przypadkiem

Kamil Fejfer

Ia sensacja podana przez „Forbesa” odciągnęła na chwilę uwagę wszystkich innych mediów od Ukrainy, strefy Gazy i Taylor Swift: żaden z miliarderów poniżej 30 roku życia nie zapracował na swoją fortunę. Czasopismo biznesmenów, tzw. kapitanów gospodarki i menedżerów nie owija w bawelnę: wszyscy, co do jednego, odziedziczyli majątki. A według banku UBS w roku 2022 miliarderzy zgromadzili większy majątek w drodze dziedziczenia niż w wyniku działalności gospodarczej. Ale kim właściwie są miliarderzy? Ilu ich jest na świecie? Czy naprawdę można być miliarderem self-made-manem? I czy jako społeczeństwa w ogóle potrzebujemy „instytucji miliardera”, skoro szacowna organizacja Oxfam, badająca nierówności i ubóstwo, jest zdania, że „każdy miliarder jest porażką polityki”.

Według „Forbesa” obecnie na świecie jest około 2800 osób z majątkiem wycenianym na miliard dolarów lub więcej. Dzisiaj takich ludzi jest o prawie 150 więcej niż rok wcześniej i więcej o 20 niż w rekordowym roku 2021. Suma majątków wszystkich miliarderów to około 14 bilionów dolarów. Oczywiście takie liczby wykraczają poza wyobraźnię zwykłego śmiertelnika. Spróbujmy je jakoś uziemić, odnieść do czegoś, co uzmysłowi rząd wielkości.

Wpływy budżetowe Polski w 2024 r. mają wynieść około 680 mld zł, czyli – w prostym przeliczeniu – mniej więcej 170 mld dolarów. Majątek około 3000 najzamożniejszych Ziemi jest więc – w bardzo wielkim przybliżeniu – równoważny około 82 rocznym wpływom budżetowym naszego kraju.

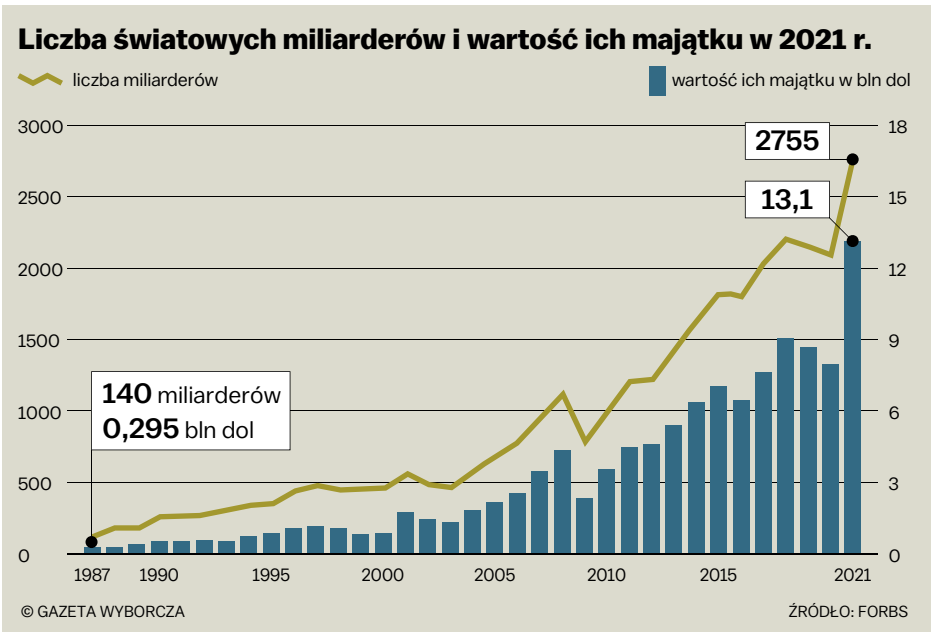
To jeszcze jedno przeliczenie. Szacuje się, że koszt inwestycji, jaką ma być Centralny Port Komunikacyjny, wyniesie około 155 mld zł (inna rzecz, że tego typu projekty niemal zawsze wyskakują poza budżet i to po kilkadziesiąt procent). Owe 155 mld zł to mniej więcej – znów robiąc bardzo proste przeliczenie na amerykańską walutę – niecałe 39 mld dolarów. To oznaczałoby, że za skumulowany majątek miliarderów można byłoby wybudować około... 360 CPK-ów.

Boli państwa głowa od tych obliczeń? Słusznie, ponieważ takie wielkości przekraczają możliwości pojmowania wasze czy moje. Nic dziwnego, że niektórzy efekciarscy publicyści mówią, że miliarderzy żyją w realnym komunizmie – ich fortuny są tak duże, że w porównaniu z nimi w zasadzie wszystkie wyobrażalne dobra i usługi na świecie mogłyby być darmowe.

Oczywiście – słusznie powie część osób – że spora część takich majątków jest „wirtual-



FOT. SELENITTT/GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO



na”. Składowe fortun to m.in. współwłasność firm i akcje. Jeśli nagle któryś miliarder chciałby rozdać całe bogactwo, to okazałoby się, że z samego tego powodu ono topnieje. Taki ruch spowodowałby załamanie wyceny danej spółki, a więc i obniżenie wartości zasobów miliardera. Tu aż prosi się o dopisek – że miliarderzy mają wpływ na aktywa o znacznie większej wartości niż ich „własne”. Z uwagi na pozycję ekonomiczną oraz posiadane zasoby ich decyzje biznesowe oddziałują na całe gospodarki, a więc na życie setek milionów ludzi.

Z drugiej strony – choć skumulowany majątek najbogatszej grupki wydaje się wręcz absurdalny, to nie wystarczyłoby ich „rozkułaczyc”, żeby wszystkim innym na świecie żyło się dostatnio. Zróbnymy jeszcze jedno uproszczone działanie. Podzielmy cały majątek wszystkich miliarderów (14 bilionów dolarów) na liczbę wszystkich ludzi na świecie (8 miliardów). Ile uzyskamy na głowę? Około 1750 dolarów, po kolejnym prostym przeliczeniu 7 tys. zł.

Tak, zdaje sobie sprawę ze wszystkich pułapek tego rozumowania – „rozkułaczanie” miliarderów od razu prowadzi do spadku wartości ich fortun, 1750 dolarów ma inną siłę nabywczą w Szwajcarii, inną w Polsce, a inną w Sierra Leone. Moglibyśmy również dzielić środki nie na wszystkich Ziemi, ale na biedniejszą połowę. Wtedy globalne „janosikowe” (przy założeniu, że taki proces nie prowadziłby do topnienia majątku) byłoby dwukrotnie wyższe.

Rzecz w tym, że w kategoriach dostatniego życia wszystkich lub choćby znacznej części ludzi na świecie to wcale nie jest tak dużo. Nie wystarczy więc po prostu zabrać niewielkiej garstce superbogactych, żeby na świecie zapanował dobrobyt (choć jakaś redystrybucja od najzamożniejszych z pewnością poprawiłaby los setek milionów ludzi).

Choć liczba miliarderów nieco się waha z roku na rok – zdarzają się okresy, kiedy ich ubywa – to jeśli rzucimy okiem na dłuższy trend, widać wyraźnie, że miliarderów jest coraz więcej. Według danych „Forbesa” z 2021 r. liczba osób, które dysponowały wówczas majątkiem wyższym bądź równym miliardowi dolarów, wynosiła ponad 2750 osób.

W roku 1987 było to „zaledwie” 140. Warto tu oczywiście wziąć pod uwagę fakt spadającej wraz z inflacją siły nabywczej dolara. Innymi słowy, osoba dysponująca majątkiem równym miliardowi dolarów 1987 roku była realnie znacznie bogatsza niż dzisiejszy miliarder. Tzw. skumulowana inflacja od tamtego czasu w Stanach Zjednoczonych wyniosła nieco ponad 170 proc. A to oznacza – znów w wielkim uproszczeniu – że ówczesny miliard był wart tyle, co dzisiejsze 2,7 mld (mówiąc o miliardzie z USA, bo w innych krajach skumulowana inflacja miała inną wartość).

1 mld czy 2,7 mld – z perspektywy zwykłej Kowalskiej czy zwykłego Fejfera żadna różnica. Dla nas ciekawsze jest pytanie, czym powinniśmy się zająć, żeby tego miliarda się dochrapać. Skąd właściwie miliarderzy biorą miliardy?

Wiemy już, że ci przed 30. zajmują się wyłącznie byciem dziećmi albo wnuczkami miliarderów. Ale na jakich branżach dorabia się i/lub podtrzymuje status finansowa śmie-

tanka? Wielu z państwa mogłoby pomyśleć, że głównie żyje z technologii. To nie do końca prawda. Takie wrażenie bierze się stąd, że góry rankingów są zdominowane przez „tech bros” – bajecznie bogate osoby tworzące nowe technologie kształtujące (nie zawsze na korzyść) nasz świat. Na myśl przychodzi oczywiście Jeff Bezos, Elon Musk, Bill Gates czy Mark Zuckerberg.

Okazuje się jednak, że największa część miliarderów jest związana z sektorem finansowym. Dla około 14 proc. z nich to główna domena działalności. Dalej znajdują się takie branże jak produkcja (12 proc.). Branża technologiczna znajduje się na trzecim miejscu (również 12 proc.). Dalej są: moda i handel, gastronomia, usługi zdrowotne, nieruchomości, sektor energetyczny i media oraz rozrywka.

Warto jednak pamiętać, że zamożni ludzie inwestują w różne sektory gospodarki. Prawdopodobnie więc osoby zajmujące się nieruchomościami kontrolują firmy z sektora IT, jednocześnie będąc właścicielami pakietów akcji na przykład firm odzieżowych.

A gdzie jest największe prawdopodobieństwo miliarderem? Według portalu Statista.com najczęściej miliarderów w 2022 r. było w – bez zaskoczeń – w Ameryce Północnej, głównie oczywiście w USA (około 1000 osób). Dalej idą... nie, nie Bliski Wschód z naftowymi szejkami. Europa, Azja, Bliski Wschód, Ameryka Łacińska, Afryka i region Pacyfiku.

Nie bez powodu przywołuję kategorię „prawdopodobieństwa” zostania miliarderem. Weźmy Stany Zjednoczony i Chiny. W USA jest około 800 miliarderów, w Chinach około 400. Ale w USA jest 330 milionów ludzi, a w Chinach 1,4 miliarda. Możemy więc potraktować liczbę miliarderów jako pewien wskaźnik – nie tyle jako liczbę osób, ile jako „szanse na zostanie miliarderem”. Wtedy się okaże, że w Stanach Zjednoczonych jest ona ponad 8-krotnie wyższa niż w Państwie Środka!

„Losowość”, jeśli chodzi o genezę bycia miliarderem, jest niezwykle istotna w kolejnym wątku.

Tak dochodzimy do miejsca, które interesuje większość z nas i wokół którego narosło bardzo dużo mitów. Ilu miliarderów doszło do fortuny własną ciężką pracą i zdolnościami? Od razu zdradzę mój pogląd – żaden. Wszystkie te fortuny powstały niejako przypadkiem.

Ale nim przejdę do dowodów, zobaczmy, jak wygląda kwestia „self-made” vs „dziedziczenia”.

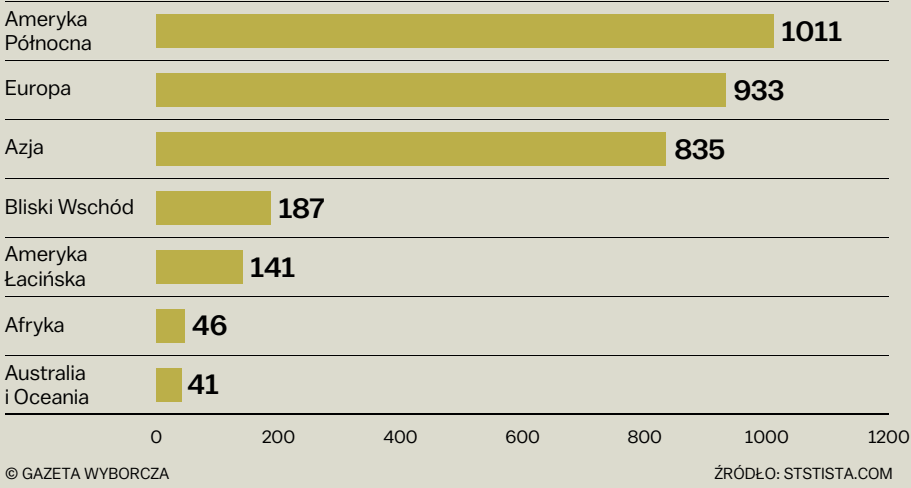
Mamy kilka źródeł, które opisują sprawę w różnych kontekstach. Pierwszym jest niezastąpiony „Forbes”. Jego analitycy wzięli pod lupę grupę Forbes 400, czyli 400 najbogatszych Amerykanów. Aby wejść do tego elitarnego grona w 2023 r., należało dysponować majątkiem co najmniej 3 mld dolarów. Od 2014 r. analitycy przypisują każdemu miliarderowi punkty od 1 do 10. Im bliżej jedynki, tym więcej dziedziczenia, im bliżej 10, tym więcej „tymi rękoma”. Punkty od 1 do 5 oznaczają, że bogacze odziedziczyli większość bogactwa. Od 6 do 10, że dorobili się fortuny samodzielnie.

W 2023 roku około 70 proc. osób z listy Forbes 400 było „self made manami”. Albo – mówiąc bardziej precyzyjnie – nie odziedziczyli większości majątku.

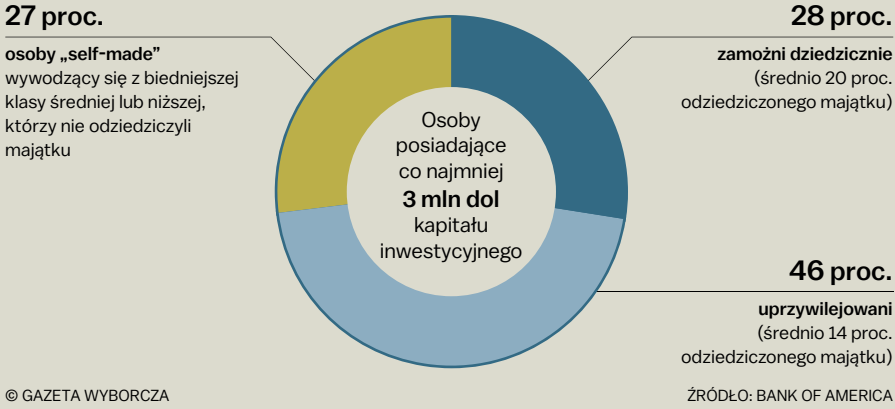
Dla globalnego grona miliarderów dolarowych podobne wyliczenia przedstawia Statista.com. Dane są za rok 2020. Około 60 proc. osób z tego grona jest określanych jako „self-made”. Niemal 30 proc. to osoby, które odziedziczyły wielki majątek i go pomnożyły. Jedynie 10 proc. to ci, którzy dostali miliardy za nic, z powodu urodzenia się w odpowiednim miejscu.

To jednak dane dla ogółu. Bo wszystkie osoby poniżej 30 roku życia swój gigantyczny majątek zawdzięczają losowi. Przy czym należy uczciwie zauważyć, że „wszyscy młodzi miliarderzy” nasuwa skojarzenia z utracjuszami wypełniającymi nocne kluby Monako, Londynu, Bel Air i ekskluzywne cen-

Liczba miliarderów w poszczególnych regionach świata w 2022 r.



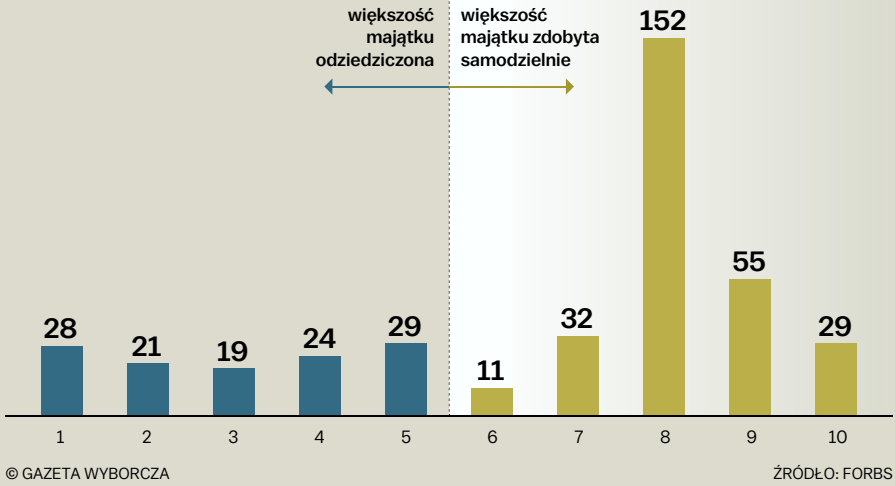
Klasyfikacja zamożnych Amerykanów ze względu na źródło pochodzenia ich majątku



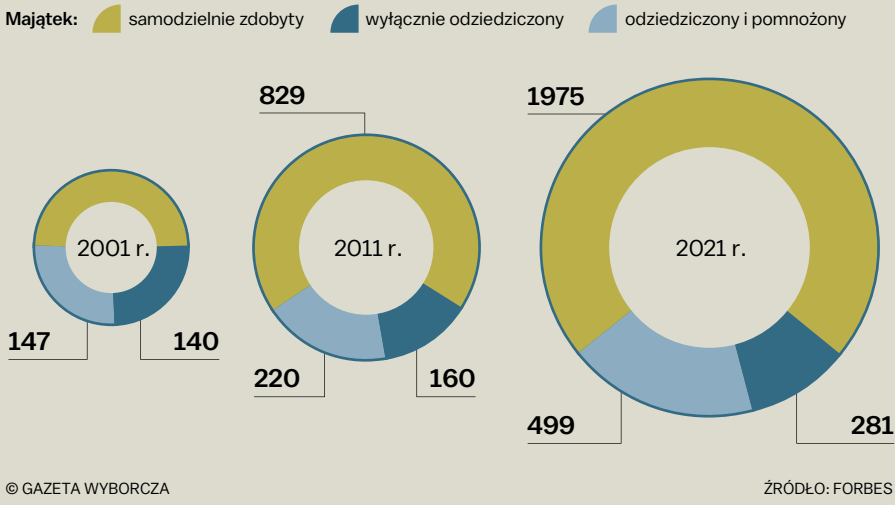
Nie wystarczy rozkułaczyć Bezosa i Muska, żeby wszystkim innym na świecie żyło się dostatnio

Rozkład ilościowy najbogatszych amerykańców z grupy Forbes 400 wg. proporcji majątku odziedziczonego i zdobytego samodzielnie

W skali 1-10 im wyższa liczba, tym większy udział majątku uzyskanego samodzielnie. Dane z 2023 r.



Liczba miliarderów na świecie i źródła ich fortun



tra handlowe Dubaju, tymczasem mówimy o raptem 15 osobach.

Nie jest to zresztą takie dziwne, zgromadzenie tak ogromnych sum po prostu wymaga czasu. Miliardów nie osiąga się w kilka miesięcy albo lat. Najwięcej miliarderów jest w grupie wiekowej między 50 a 70 lat. Najmniej pośród osób poniżej 50-tki.

Co ciekawe, inaczej sytuacja wygląda wśród kobiet: „self made” to jedynie 22 proc. miliarderek, 32 proc. to kobiety, które częściowo odziedziczyły i częściowo. Miliarderki z dziedziczenia to aż 45 proc.

Bank UBS szacuje jednak, że w najbliższych 20-30 latach miliarderów z przypadku przybędzie o około 1000 wybrańców losu. Skąd o tym wiadomo? Mniej więcej tylu miliarderów jest w wieku 70 lat lub więcej...

Co ciekawe, w ostatnich dekadach rośnie! procentowy udział miliarderów „self-made”. O ile w okolicach roku 2000 niecała połowa z tej elity elit „zapracowała” na swoje majątki, tak w roku 2021 było to około 60-70 proc. Skąd ta różnica? Część badaczy stawia tezę, że rozwijająca się branża technologiczna umożliwiła gigantyczny awans społeczny osobom, które być może wywodziły się z uprzywilejowanej klasy średniej i wyższej, ale z pewnością nie były multimilionerami ani tym bardziej miliarderami „z urodzenia”.

To jeszcze jedno badanie, tym razem nie miliarderów, ale osób bardzo zamożnych. Raport Bank of America z 2022 r. grupuje je – przyjmując za próg co najmniej 3 mln dolarów kapitału inwestycyjnego – w trzy kategorie. Pierwsza to „zamożni dziedziczeni”. Znaleźli się w niej ci bogacze, którzy dostali średnio 20 proc. majątku. Druga grupa to „uprzywilejowani”. Bank zaliczył do niej tych, którzy średnio 14 proc. majątku dostali. „Self-made” to oczywiście osoby, które nie odziedziczyły niczego, dorastały bowiem w biedniejszej klasie średniej lub w klasie niższej.

Pierwszych było w Ameryce – a więc badanie nie musi być miarodajne, gdyż dotyczyło tylko USA – 28 proc., drugich 46 proc., trzecich – tych, którzy dorobili się sami – zaledwie 27 proc.

I znów – nie ma w tym nic specjalnie szokującego. Elita ekonomiczna i społeczna ma tendencję do – jakby to powiedzieli socjologowie – reprodukcji. Innymi słowy, jeśli się urodziłeś w zamożnej rodzinie, to prawdopodobnie nie będziesz biedny. Osoby bogate w dużej części po prostu pochodzą z dobrze sytuowanej klasy średniej, z domów przedsiębiorców, inteligentów, popłatnych wolnych zawodów, a więc generalnie wspierających, gdzie istnieje pewien luz w budżecie, ułatwiający start młodym ludziom.

Ale nawet najbardziej rozpieszczeni syn właściciela kilku klinik stomatologicznych czy córka hollywoodzkiej gwiazdorki nie działają na wyobraźnię tak, jak dzieci właścicieli prywatnych wysp i flot odrzutowców. A ich rodzice nie wpływają na świat i życie milionów. Wróćmy więc do superbogaczy.

Spośród 400 krezusów punktowanych na skali „jak się dorobili” „Forbesa”, jedynie 29 osób uzyskało 10 punktów. Można więc założyć, że pochodzili z ubogich środowisk. To 7 proc. całej grupy. Dla każdego Amerykanina szansa na trafienie do grona 400 najbogatszych jest więc niewiele większa niż szansa trafienia w totka – ale dla biednych jest 14 razy mniejsza niż dla osób z klasy średniej i wyższej.

I tu kłania się teza, że wśród miliarderów nie ma prawdziwych self-made manów, a wszystkie ich fortuny „przydarzyły” im się przypadkiem.

Ale jak to? Czy autor aby nie patrzy na rzeczywistość przez ideologiczną, lewicową kłiszę? Zgoda, wśród bogaczy jest sporo farciarzy, utracjuszy i bezwzględnych wyzyskiwaczy, ale jednak całkiem sporo z nich to przecież osoby niezwykle inteligentne, wytrwale, pomysłowe i pracowite?

Bez wątpienia wśród miliarderów jest ogromna nadreprezentacja osób z wyżej wymienionymi cechami. Nie zdziwiłbym się, gdyby wszyscy miliarderzy, którzy nie odziedziczyli majątków, mieli IQ znacznie powyżej średniej. Prawdopodobnie większość jest bardzo pracowita, pomysłowa i energiczna. Ale tu pojawia się to wielkie „ale”. I to nie jedno.

Zacznijmy od porównania dwóch supermocarstw: Chin i USA. Już wiemy, że w USA prawdopodobieństwo zgromadzenia majątku w wysokości miliarda dolarów lub więcej jest ośmiokrotnie wyższe niż w Chinach. Przy założeniu, że w obu populacjach występuje zbliżona liczba osób bardzo inteligentnych, bardzo pracowitych i bardzo pomysłowych, wciąż to pomysłowe, pracowite i inteligentne osoby z USA mają 8 razy większą szansę na fortunę. Tylko i wyłącznie z tego powodu, że urodzili się w USA. Istotne są więc nie tylko cechy poszczególnych ludzi, lecz cały system, które ułatwia bądź utrudnia.

W zeszłym roku na łamach „European Sociological Review” ukazał się artykuł autorstwa Marca Keuschnigga, Arnouta van de Rijta i Thijsa Bola. Badacze przyjrzeni się związkowi kompetencji poznawczych i docho- du 60 tysięcy szwedzkich mężczyzn.

Informacje na temat zdolności intelektualnych badanych pobrali z wojskowych baz danych. Szwedzi w młodym wieku mają obowiązek przebadania się w czymś w ro- dzaju komisji wojskowej; właśnie wtedy są testowane ich kognitywne kompetencje. Co się okazało? Że im wyższa inteligencja, tym w przyszłości większe zarobki. Nie po- winno to chyba nikogo dziwić. Domyślamy się, że mądrzejsi ludzie zarabiają statystycz- nie więcej.

Tu dygresja. Otóż wybitny myśliciel i je- den z fundatorów współczesnej psychologii społecznej oraz ekonomii Daniel Kahneman w książce „Szum” pisał, że w sektorach ryn- ku pracy, gdzie dominuje eksperckość i wy- sokie zarobki, niemal wszystkie osoby są po- nadśrednio inteligentne. Tymczasem roz- strzał zdolności poznawczych w niższych rewirach rynku pracy jest – paradoksalnie – znacznie większy. Dlaczego? Ponieważ w pracach niewymagających dużego wy- siłku intelektualnego poradzi sobie i osoba o bardzo wysokich zdolnościach kognityw- nych, i ta o niższych. Natomiast do „zawód specjalista” osoby z dolnych rewirów rozkła- du mogą się zwyczajnie nie nadać.

Ale jako że właśnie zaczęliśmy otwierać poprawnościową puszkę Pandory, wróćmy do szwedzkiego badania.

O ile ze wzrostem potencjału intelektual- nego rosły również pensje (choć związek ten zaczynał tracić dynamikę w grupach osób zarabiających naprawdę dużo), o tyle w naj- bogatszych 3 proc. rozkładu dochodów dzia- ło się coś dziwnego. W tej grupie najzamoż- niejsi byli nieco, za przeproszeniem, głupszy niż ci nieco mniej zamożni. Wszyscy wciąż byli bardzo lebskimi kobietami i mężczy- znami – lecz dlaczego najzamożniejszy- mi nie byli ci najmądrzejsi? Ponieważ po- wyżej pewnego pułapu zarobków (i mają- tów) to nie inteligencja jest najważniejszą cechą wpływającą na dochód, a zbiegi oko- liczności.

●

Skąd ten wniosek? Choćby nie wiadomo jak człowiek był mądry, nie przewidzi sytuacji społecznej i gospodarczej na miesiące czy la- ta do przodu; nie wyczuje zmian koniunktury, nie przewidzi, czy dany projekt chwyci. Tu wkrada się niemożliwa do okiełznania niepew- ność. I to ona, pewien wbudowany w podsta- wy działania rzeczywistości (nie tylko) gospo- darczej chaos powoduje, że niektóre biznesy naprawdę nieźle chwytają, a innym wiedzie się tak sobie.

Nadal nie jesteście państwo przekonani? Zabawny się w intelektualną grę. Prawdopodobnie niektóre osoby, które pamiętacie z dzieciństwa, odniosły ogromne sukcesy. Może stały się milionerami, może sławnymi naukowcami, może wybitnymi ekspertkami

w swoich dziedzinach. A przynajmniej zna- cie kogoś, kto takie osoby zna.

Wróćcie pamięcią do młodych lat i zasta- nówcie się, czy byście obstawili, że to wła- śnie te osoby będą wybitne? Prawdopodob- nie znalazłyby się w niedużym gronie wyty- powanych, którym z dzisiejszej perspekty- wy wróżylibyście sukces. Ale czy byłyby na- lepszymi kandydatami? Czy to właśnie Ma- rek miał największe szanse na zostanie wy- bitnym karnistą, a nie Ania, która była bar- dziej pilna?

Ten eksperyment ma pewną zasadni- czą wadę; ślepą płamkę naszego patrzenia na świat. Otóż my znamy... przyszłość dzie- ci z przeszłości. A to prowadzi do zjawiska „pewności ex post”. Jeśli wiemy, co się wy- darzyło, nasz umysł bardzo sprawnie pro- dukuje przyczynowo-skutkową narrację. Więc spróbujcie obejść tę pułapkę – i wyty- pujcie na kartce, który z kolegów lub koleża- nek waszych dzieci odniesie sukces za 20 lat. Schowajcie ją i sprawdźcie w roku 2044, czy dobrze obstawiliście.

Co to wszystko ma wspólnego z miliarde- rami? Otóż na świecie są dziesiątki, jeśli nie setki milionów niezwykle utalentowanych, pracowitych, upartych i pomysłowych ludzi. I tylko około 3000 z nich „dorobiło się” mi- liardowych fortun. Rozumiecie już, skąd cu- dzysłów? Nie chodzi jedynie o to, że nie da się pracować 1000 razy ciężiej i 1000 razy wy- dajniej, niż inna osoba. Chodzi o to, że nie da się przewidzieć gospodarczych zmiennych na tyle dobrze, żeby stać się miliarderem. Spośród dziesiątek milionów inteligentnych i pracowitych ludzi, którzy próbują sił w biz- nesie, tylko niewielka część przedsiębiorstw skaluje się do tego poziomu, żeby zostać im- periami.

Ktoś odpowie: no dobrze, ale w takim ra- zie czy sportowcy również nie zasługują na tytuły mistrzów? Przecież robią dokładnie to samo co miliarderzy – są najlepsi w swoich dziedzinach. Usain Bolt jest jednym z najlep- szych biegaczy świata z prostego powodu: otóż jest najlepszy wobec mierzalnych kryte- riów. A Elon Musk jest bardzo bogaty, bo jest najlepszy w bogaceniu się.

Tyle że ta analogia jest fałszywa. Mimo wielu zmiennych (początkowy lut szczęścia, bycie dostrzeżonym, wsparcie sponsora lub państwa, kontuzje), sportowcy rywalizują w bardzo jasnym, sparametryzowanym śro- dowisku. Tymczasem działalność gospodar- cza jest prawdziwym chaosem.

●

Między innymi z tego powodu podnoszona jest kwestia – choć głównie w rozdyskutowa- nych i od niemal samego początku rozdar- tych ideowo między ludowy rynkowy egalita- ryzm a biznesowy elitaryzm Stanach Zjedno- czonych – kwestia, czy miliarderzy w ogóle po- winni istnieć. Nie chodzi oczywiście o lewico- we tylko z nazwy, utopijno-autorytarne pomy- śły „likwidacji” najbogatszych, tylko o takie ich opodatkowanie, żeby nie istniała realna moż- liwość zgromadzenia tak wielkiego majątku.

Przytoczmy kilka argumentów „prze- ciw miliarderom”.

Robert Reich, ekonomista i sekretarz pra- cy USA za czasów Billa Clintona twierdzi, że istnieje tylko pięć sposobów na zgromadze- nie miliarda dolarów i „żaden z nich nie peł- ni uzasadnionej roli w wolnorynkowym ka- pitalizmie”. Jakie to sposoby?

Po pierwsze, monopol: gigantyczne ma- jątki buduje się na monopolizacji całych ga- łęzi gospodarki.

Drugim sposobem jest pozyskanie po- ufnych informacji niedostępnych dla in- nych inwestorów. W ten sposób obchodzi się niepewność. Jeśli ktoś, na przykład dzie- ki koneksjom politycznym, wie o jakichś zmianach regulacyjnych, które będą miały wpływ na cały rynek, może wyciągnąć z tego ogromne korzyści.

Trzecim sposobem, połączonym często z drugim, jest przekupywanie polityków. Na przykład „kupowanie” ustaw, które pozwolą na gigantyczne wzbogacenie się.

Czwartym jest oszukiwanie inwestorów. Najświeższym i efektownym przykładem

jest przekręt firmowany przez Elizabeth Holmes, która pozyskiwała kapitał na prze- łom w diagnostyce medycznej: niewielkie urządzenie dostarczające niemal komplet- nych danych o pacjencie i jego potencjal- nych przypadłościach na podstawie kropli krwi. Choć w pewnym momencie zorien- towała się, że istnieją ograniczenia fizycz- ne, których nie da się przeskoczyć, czyli wie- działa, że nie może się powieść, nadal zbie- rała fundusze.

No a piąty sposób dostania się do grona miliarderów to dziedziczenie.

To rozumowanie ma pewne luki. Wśród niemal 3 tys. miliarderów są tacy, którzy nie łąpią się na żaden w punktów Reicha.

Tymczasem na łamach „Los Angeles Ti- mes” Ingrid Robeyns, filozofka z Uniwersy- tetu w Utrechcie, idzie nawet dalej. Uważa, że górny limit majątku powinien być zawie- szony znacznie niżej. Badaczka jest zdania, że nikt nie powinien mieć majątku większe- go niż 20 mln dolarów. Podejście takie nazy- wa „limitarianizmem”.

Jakie są jej argumenty? Po pierwsze Ro- byens sądzi, że nadmiar bogactwa utrzymu- je biednych w biedzie – jeżeli zbyt wiele tor- tu zjadają (albo chomikują w nieruchomościach, dziełach sztuki, zabytkowych samo- chodach i funduszach inwestycyjnych) naj- zamożniejsi, to nie wystarczy dla tych na sa- mym dole.

To akurat tylko częściowo prawda; choć słynna teoria skapywania nie do końca się sprawdza, to jednak „przyływ podnosi wszystkie łodzie” – bogactwo najbogatszych na świecie rośnie przy jednoczesnym boga- ceniu się biednych. Rosnące nierówności nie oznaczają, że biedni biednieją, tylko że bo- gatsi są coraz bogatsi. Wypada o tym pamię- tać. Prawdą jest natomiast, że większa re- dystrybucja może sprawić, że biedniejsi jesz- cze bardziej skorzystają na ogólnym wzro- ście zamożności. A gdy skorzystają, zaczną konsumować – czyli kupować, używać ży- cia, inwestować w przyszłość swoją i dzieci. A więc „strata” – opodatkowanie – najbogat- szych szybko im się zwróci.

Drugim argumentem filozofki jest to, że najbogatsi mają największy ślad węgło-

Powyżej pewnego pułapu zarobków i majątków to nie

inteligencja jest

najważniejszą cechą

wpływającą na dochód,

a zbiegi

okoliczności

wy. To z kolei jest źle ustawiony przeciwnik. Rzeczywiście, bogaci emitują najwięcej ga- zów cieplarnianych per capita. Lecz w obec- nym mechanizmie generalnie konsumpcja, czy to państwa lub moja, czy Jeffa Bezosa, wymaga energii – a energia jest pozyskiwa- na z paliw kopalnych. Tak więc to nie bogaci są problemem, a reżim wytwarzania energii.

●

Trzecia sprawa to fakt, że wielkiego bogactwa nie da się pogodzić z demokracją. I tę tezę naj- trudniej obalić.

Ludzie niezwykle zamożni to jednocze- śnie osoby niezwykle wpływowe. I nie cho- dzi tylko o to, że używają swoich pienię- dzy bezpośrednio do wpływania na polity- ków. Sama świadomość ich roli, wpływów, możliwości wpływa na procesy decyzyjne na różnych szczeblach gospodarki, admi- nistracji, polityki. Mimowolnie, nawet bez intencji, same z siebie ogromne fortuny unieważniają zasadę „jeden człowiek – je- den głos”.

Lecz skoro sporządziliśmy akt oskarże- nia, wypada zaprezentować głosy w obro- nie miliarderów. Na łamach „Project Sindi- cate” ekonomista i politolog Mecheal Strain dowodzi, że miliarderzy-innowatorzy tworzą ogromną wartość dodaną dla spo- łeczeństwa. Powołując się na wyliczenia in- nego ekonomisty, Wiliama Nordhousa, ar- gumentuje, że tylko niewielki ułamek – oko- ło 2,2 proc. – zysków z postępu technologicz- nego przypada inwestorom, w tym miliar- derom, cała reszta to korzyść ludzkości. Te- zę Straina osłabia fakt, że innowacje są moż- liwe bez miliarderów – innowatorzy istnieli, zanim pojawili się pierwsi globalni miliarde- rzy; to nie miliarderzy wysłali człowieka na Księżyc (choć faktycznie, najpewniej oni wy- ślą go na Marsa); to nie miliarderzy odkryli podwójną helisę DNA.

Strain argumentuje też, że „nagonka” na miliarderów może odwieść część ambit- nych, zdolnych i pracowitych ludzi od się- gania po „najwyższe nagrody”. Jednak rów- nie wiarygodna jest teza przeciwna: tak ogromne dysproporcje powodują, że dla czę- ści zdolnych, pracowitych i ambitnych lu- dzi pewne pozycje wydają się absolutnie nieosiągalne, rezygnują więc oni z udziału w wyścigu.

Wciąż jednak pozostaje pytanie o dziedzic- ców i dziedziczki. Co wnoszą do społeczeń- stwa? Ani nie są innowatorami, ani nie za- pracowali na swoje majątki, w wielu przy- padkach nie są nawet przesadnie pracow- ci czy zdolni.

●

I tu wkracza kwestia opodatkowania, która wisi, choćby niewyrażona wprost, nad każdą dyskusją o miliarderach. Co rusz gdzieś moż- na trafić na opinię, że potrzebne są ogrom- ne podatki od spadków i podatki majątkowe, które nie zlikwidują zjawiska dziedzicznych miliarderów ani nie zniechęcą ludzi przed- siębiorczych (wszak obowiązujący w USA od II wojny do rządów Reagana kilkudzie- sięcioprocentowy podatek od dochodów powyżej kilkuset tysięcy dolarów nie prze- szkodził rozkwitowi powszechnego dobro- bytu), lecz nieco uzupełnią (z korzyścią dla handlu i usług) wspólną kiesę i zachęcą bo- gatych do inwestowania nie w instrumenty finansowe, lecz w wynalazczość, produk- cję czy nowe przedsięwzięcia zdolnych lu- dzi spoza elity.

Czy to nie brzmi jak utopia? Przecież wie- le razy słyszeliśmy, że najbogatszych nie da się opodatkować, bo i tak znajdą jakiś spo- sób na ucieczkę ze swoim bogactwem. Cóż, kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, okazało się, że są sposoby, żeby zamrozić majątki oli- garchów.

To nie sugestia, że wszyscy miliarde- rzy to bandyci i oczajdusze w garniturach i garsonkach. Ta analogia pokazuje, że naj- ważniejsza jest wola polityczna – to zazwy- czaj ona, nie jakieś obiektywne, niezmien- ną prawa rządzące gospodarką, jest ha- mulcem zmian. ●



Musimy
kompletnie
zmienić
system
zdrowia:
płacić za
nieleczenie,
a za potrzebę
leczenia
karać.

KATARZYNA
STASZAK



WOLNA



FOT. UDRA/ISTOCKPHOTO

Pacjentka z przewlekłymi bólami głowy po badaniu i rozmowie z lekarką usłyszała, że powinna zmienić buty. Zamiast obcasów nosić płaskie. Nie właściwa postawa ciała może bowiem powodować napięciowe bóle głowy. Tej porady udzieliła w ramach NFZ Magdalena Krajewska, lekarka rodzinna z Płońska. Jest jedną z najpopularniejszych polskich lekarek w internecie. Jako @Instalekarz ma prawie 100 tys. obserwujących na Instagramie i 145 tys. na TikToku.

A niewiele brakowało, żeby rzuciła medycynę. – Nikt mi nie powiedział, że w szpitalu pacjenta prawie się nie widzi. Po stażu miałam kryzys. Wtedy tata, który skończył trzy specjalizacje, podpowiedział mi medycynę rodzinną. Byłam sceptyczna – wspomina Krajewska.

INFLUENCERKI LUBIĄ POZ

Medycyna rodzinna i przychodnie Podstawowej Opieki Zdrowotnej (POZ), w której przyjmują ci specjaliści, do niedawna uchodziły za najnudniejsze elementy systemu. Miejsce „dla osób pozbawionych jakichkolwiek ambicji. Bo czego potrzeba, by przedłużyć receptę lub wypisać papierek dla pracodawcy?” – napisała inna znana influencerka medyczna w swojej książce „Następny! Kim jest człowiek, który Cię leczy”. Katarzyna Woźniak znana jako @Mama.i.stetoskop w książce rozwinęła skrót POZ jako „pierdolenie osób zdrowych”, które przychodzą do lekarza opowia-

dać o katarze. Jednak po stażu w przychodni Woźniak zmieniła zdanie – zobaczyła, że to właśnie tu może naprawdę pomagać ludziom. Na przykład dostrzec u kogoś objawy depresji. Dziś @Mama.i.stetoskop pracuje w podstawowej opiece zdrowotnej.

– Znam całe rodziny i ich problemy. Lekarz rodzinny powinien zrobić wszystko, żeby pacjent nie zachorował. Pomagam ludziom poprawić styl życia, żeby jak najdłużej byli zdrowi. Lubię tłumaczyć na Instagramie, jak działają leki, ale pacjenci nie zawsze potrzebują ode mnie recepty. Czasem chodzi o rozmowę. Dziś więcej mówi się o znaczeniu psychiki, nastawienie i samopoczucie pacjenta przekładają się na efekty leczenia. Placebo też ma właściwości terapeutyczne. Zdarzyło mi się badać roztrzęsioną pacjentkę w sposób niezgodny z niczym, na kozetce podnosiłam jej jedną nogę, drugą nogę, potem rękę. Wyczułam, że potrzebuje mojej uwagi. Po chwili powiedziała, że już czuje się dobrze – opowiada Krajewska.

Czuć się dobrze jak najdłużej, najlepiej przez całe życie – ludzie zawsze tego chcieli. W starożytnych Chinach lekarz był wynagradzany za utrzymywanie pacjenta w zdrowiu. Gdy pacjent zachorował, zapłaty nie było.

KARA ZA CHOROBY

Medycyna przyszłości będzie naśladować starożytne Chiny. – Musimy kom-



pletnie zmienić system zdrowia: premio-
wać profilaktykę, płacić za nieleczenie, a za
potrzebę leczenia karać. Lekarz podsta-
wowej opieki zdrowotnej ma być coachem
zdrowia, doradzać, jak nie zachorować.
Musimy się nauczyć, że leczenie farmako-
logiczne, pobyt w szpitalu, zabieg, to osta-
teczność – przekonuje prof. Katarzyna Ko-
lasa, dyrektorka Centrum Zdrowia Cyfro-
wego na Akademii Leona Koźmińskiego.
Tłumaczy, że do nadzorowania zdro-
wia można wykorzystać telefon. – System
powinien premiować lekarzy rodzinnych,
którzy zdalnie komunikują się z pacjenta-
mi – uważa.

Taką formę kontaktów preferuje np. Ju-
tro Medical, przychodnia działająca w ra-
mach NFZ. Lekarze dostępni są online
przez aplikację. Można też umówić się
na wizytę stacjonarną w jednej z 11 pla-
cówek w różnych miastach. Jutro Medi-
cal chcą korzystać z danych dostarczanych
przez urządzenia, które monitorują zdro-
wie w domu.

Widać więc dwie rewolucje, które cze-
kają system zdrowia:
1. zmiana celu – musimy przestawić się
z leczenia chorób na aktywne zapobiega-
nie chorobom;

2. wykorzystywanie technologii, które
dostarczają danych o zdrowiu pacjentów
– trzeba umożliwić pacjentom korzysta-
nie z zakładanych na ciało czujników, apli-
kacji itp.

W Polsce trwa jeszcze jedna dyskusja:
czy kształcenie większej liczby lekarzy na
nowych, słabo przygotowanych kierun-
kach to zagrożenie dla pacjentów. Były mi-
nister edukacji i nauki Przemysław Czar-
nek złagodził wymagania dla uczelni. Mo-
że jednak większym problemem jest to, że
studenci prestiżowych uczelni też nie uczą
się tego, co jest im najbardziej potrzebne?

KREDYT ZA MIESZKANIE
Z RODZICAMI

Czy gdzieś na świecie udało się już tak
przestawić system zdrowia, żeby obniżał
ryzyko chorób? Prof. Kolasa wskazuje Sin-
gapur. Słynie z dobrej opieki zdrowotnej,
a jednocześnie prowadzi politykę dbają-
cą o zdrowie obywateli. Nie można tu re-
klamować napojów gazowanych, za to
przedsiębiorcy z branży spożywczej, którzy
zmieniają swoją ofertę na zdrowszą, mogą
liczyć na państwowe dotacje. Na osiedlach
mieszkaniowych są miejsca do uprawiania
sportu i spotkań. Kto chce mieć samochód,
musi sporo zapłacić za certyfikat dający ta-
kie prawo. Powszechne jest więc korzysta-
nie z transportu publicznego, co wymusza
bycie w ruchu.

Dorośle dzieci, które kupują dom razem
z rodzicami lub w pobliżu nich, mogą li-
czyć na państwowy kredyt. Ma to zachęcać
rodziny do utrzymywania bliskich kontak-
tów i wspierania się. Z poziomu państwa
da się więc dbać o zdrowie na różne sposo-
by. My moglibyśmy zacząć od dzieci – po-
święcać więcej czasu w szkole na mówie-
nie o tym, jak działa ciało i co mu służy.

Według raport firmy doradczej Deloitte
do 2040 r. (a w niektórych krajach nie-
co wcześniej) większa część pieniędzy sys-
temów zdrowia, będzie przeznaczana na
zapobieganie chorobom i promowanie

Szpital jest potrzebny
dla małej garstki ludzi, to XIX-
-wieczny relik. Nawet chirurgia
w przyszłości może przenieść
się do domu pacjenta

zdrowych nawyków. Te wydatki pochłona
w Europie aż 51 proc. funduszy. Teraz zde-
cydowana większość pieniędzy wydajemy
na leczenie chorób. Analizy pokazały, że
każde 1 euro wydane na promocję zdrowia
i zapobieganie chorobom przyniosło go-
spodarce zwrot w wysokości 14 euro.

W wielu miejscach bez dodatkowych
pieniędzy da się od razu poprawić komfort
pacjentów. Wystarczy czytać doniesienia
naukowe i podpatrywać, co się sprawdza
u innych. Innowacja z punktu widzenia pa-
cjenta nie zawsze oznacza zakup drogie-
go sprzętu.

PO OPERACJI ZALECAM
ŻUCIE GUMY

Szpitalom łatwiej pochwalić się zakupem
robota chirurgicznego niż zmianami w po-
dejściu do chorych. Jednak to właśnie po-
zornie drobne rzeczy mogą mieć ogrom-
ne znaczenie. Podam dwa przykłady z pol-
skich szpitali.

Bliska mi osoba przeszła niedawno
operację onkologiczną na oddziale oto-
laryngologicznym Szpitala Czerniakow-
skiego w Warszawie. Wcześniej była le-

czona kilka razy w innym miejscu. Po za-
biegu spodziewaliśmy się tego, co już
znamy – obandażowanej głowy i mini-
mum trzech dni w szpitalnym łóżku. By-
ło inaczej. Pacjenci, o ile nie mieszkają sa-
mi, wychodzą do domu dobę po operacji.
Opatrunek zakłada się nieduży, przezro-
czysty, z „oddychającej” folii, która pozwa-
ła monitorować wygląd rany. Odpada co-
dzienne zmienianie plastrów, które zakłó-
ca proces gojenia.

Do poprawy leczenia można użyć też
gumy do żucia i kawy. Właśnie to dostają
pacjenci Kliniki Chirurgii Onkologicznej,

Transplantacyjnej i Ogólnej Uniwersytec-
kiego Centrum Klinicznego w Gdańsku.
– Przed laty chorzy byli trzy dni głodze-
ni i mieli leżeć w łóżku. Aktualnie chce-
my, aby jelita po zabiegu zaczęły praco-
wać jak najszybciej. Dlatego pacjenci ma-
ją chodzić, jeść, pić kawę i żuć gumę. To
wszystko przyspiesza perystaltykę jelit.
Badania dowodzą, że żucie gumy skraca
czas do pierwszego wypróżnienia – tłu-
maczy prof. Jarosław Kobiela, szef gdań-
skiej kliniki.

To chirurg, więc pytam go o roboty wy-
korzystywane do operacji. Coraz wię-
cej szpitali inwestuje w taki sprzęt. – To
dobre rozwiązanie w odpowiednich ręk-
ach, w odpowiednim ośrodku, w którym
wszystko inne dobrze działa i w którym są
pacjenci pasujący do takich zabiegów. Nie-
stety, w Polskich szpitalach zaczął się wy-
ścig zbrojeń. Sprzęt za publiczne pieniądze
dostają szpitale, które dopiero po rozpa-
kowaniu robota rzeczy mogą mieć ogrom-
ne znaczenie. Podam dwa przykłady z pol-
skich szpitali.

Bliska mi osoba przeszła niedawno
operację onkologiczną na oddziale oto-
laryngologicznym Szpitala Czerniakow-
skiego w Warszawie. Wcześniej była le-

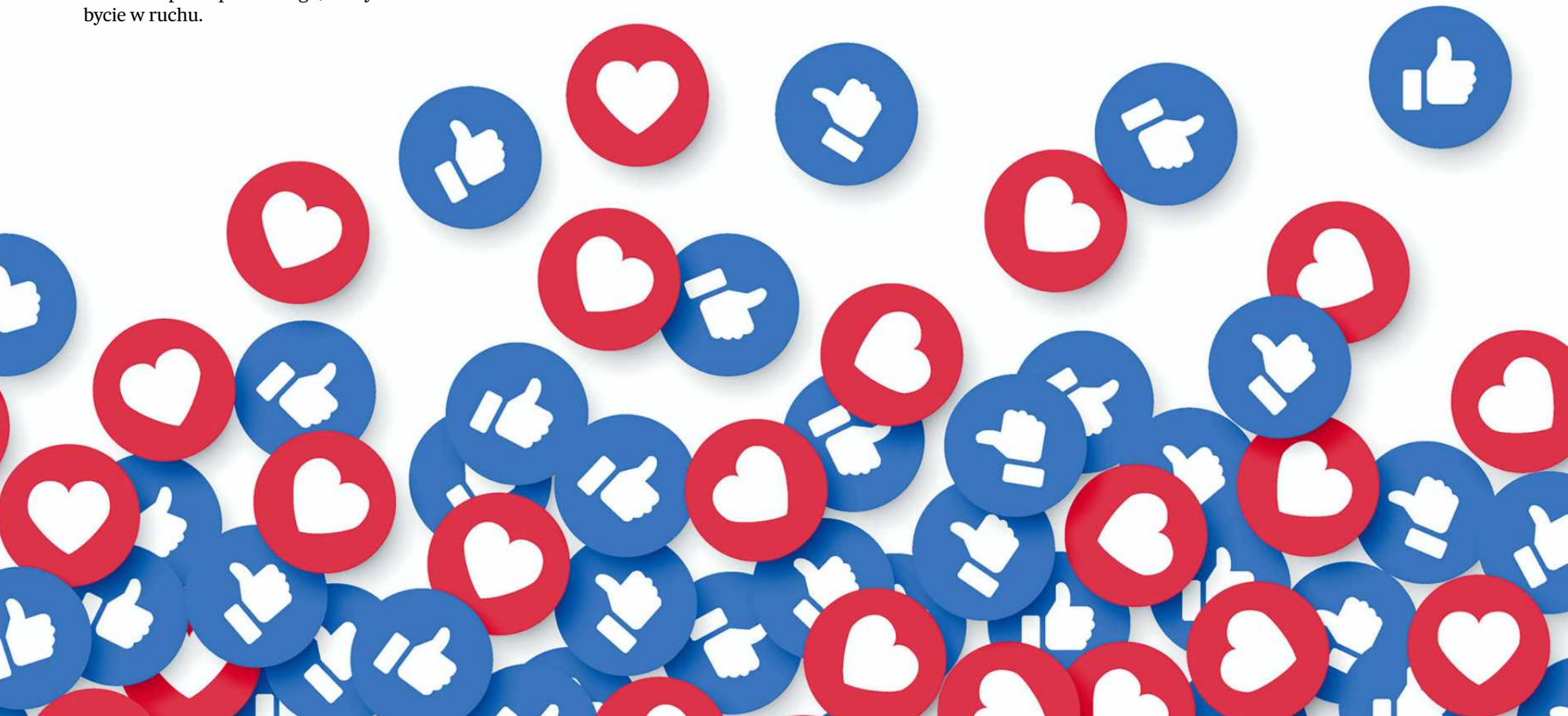
śmy oceniali jakość leczenia w poszczegół-
nych szpitalach.

OPERACJA SIĘ UDAŁA,
PACJENT ZMARŁ

Dzięki cyfryzacji systemu zdrowia i anali-
zie danych będzie można (wreszcie!) oce-
niać jakość usług w poszczególnych szpi-
talach. Każdy chce przecież operować tam,
gdzie lekarze robią to dobrze. Jak dziś wy-
bieramy miejsce, gdy musimy się zopero-
wać? Ufamy swojemu lekarzowi, opieramy
się na doświadczeniach znajomych, prze-
szukujemy wpisy na forach internetowych.
NFZ pozwala wprawdzie zobaczyć, ile ope-
racji wykonał każdy szpitala np. z powo-
du najczęstszych nowotworów, ale w prak-
tyce to dane niedostępne. Do liczb wiedzy
skomplikowana ścieżka niejasnych nazw
dokumentów, odnośników, załączników
i tabel. Nie wiadomo też, czy duża liczba
operacji, czyli doświadczenie lekarzy, idzie
w parze z małą liczbą komplikacji i dobry-
mi posiłkami. A to wszystko ma znaczenie
podczas pobytu w szpitalu.

– Chirurg może wyjść z sali operacyj-
nej z poczuciem, że zabieg mu się udał,
i nigdy nie spotkać pacjenta, czyli nie do-
wie się, czy pacjent jest tego samego zda-
nia. A zgodnie ze starą prawdą, nie można
poprawić czegoś, czego się nie mierzy. Nie
można stawiać się lepszym lekarzem, jeśli
nie analizuje się efektów swoich działań.
Chirurg musi wiedzieć, jakie są wyniki jego
pracy, czy jest dobrym lekarzem, czy nie.
Chirurgia to coś więcej niż sama operacja,
to złożony proces, zabieg jest tylko jego ele-
mentem – wyjaśnia prof. Kobiela.

Wyniki leczenia zależą od samej ope-
racji, ale też od przygotowania chorej osoby
przez zespół specjalistów – dietetyków, fi-
zjoterapeutów, psychologów. Samo niedo-
żywienie zwiększa mocno ryzyko powikłań
pooperacyjnych. – Pracujemy według pro-
tokolu ERAS (enhanced recovery after sur-
ger), który opisuje tę kompleksową opie-
kę okołoperacyjną. To zbiór udowodnio-
nych naukowo zaleceń. Każde z nich osob-
no ma niewielki wpływ na efekt operacji,
ale ich suma decyduje o sukcesie lub po-
rażce. Ponieważ znaczenie poszczególnych
punktów jest małe, może istnieć w szpi-
talach pokusa, by jakiś punkt pominąć. Ja-
kość chirurgii w Polsce pomimo popra-
wy w ostatnich latach nie jest dobra, a wy-



niki leczenia wielu nowotworów poniżej średniej krajów Unii Europejskiej. Niedoskonałość chirurgii jest do pewnego stopnia kompensowana radioterapią i chemioterapią. Gdyby chirurgia była wysokiej jakości, chory miałby szansę uniknąć dalszego leczenia. Nasz oddział nieustannie analizuje swoje działania, monitorujemy powikłania, choć nie jest to na taką skalę wymagane. Chcielibyśmy, żeby wszystkie szpitale operujące raka jelita grubego to robiły i żeby takie rejestry były publicznie dostępne. Pacjenci mogliby wybierać chirurgów na podstawie wyników i jakości leczenia – mówi prof. Kobiela.

100 PYTAŃ NA PIERWSZEJ WIZYCIE

Dzięki analizie danych i nowym technologiom możemy „podciągnąć” jakość leczenia w różnych miejscach w Polsce. Tak uważa dr n. med. Piotr Zwoliński, neurolog zajmujący się padaczką. Są aż 32 rodzaje napadów padaczkowych. To jak 32 różne choroby, dlatego pacjenci długo czekają na właściwą diagnozę i dobranie odpowiednich leków. Żeby to zmienić dr Zwoliński stworzył Neuroterminal, system wykorzystujący algorytmy, które analizują dane i szukają prawidłowości. Neuroterminal zadaje pacjentowi blisko 100 pytań. Np. czy przed napadem miał halucynacje węchowe albo bóle głowy, czy w trakcie napadu stracił przytomność. Na każde pytanie można odpowiedzieć na pięć sposobów: zawsze, bardzo często, zdarza się, rzadko lub nigdy.

Przy tylu możliwych odpowiedziach powstaje ogromny zbiór danych. Algorytmy, łączą odpowiedzi z informacjami wprowadzonymi do systemu przez zespół dr. Zwolińskiego. – Lekarz samodzielnie nie byłby w stanie szybko zinterpretować takiej liczby danych, zajrzeć do tylu ksiąg, ile wpisaliśmy w nasz system. Neuroterminal pomaga postawić właściwą diagnozę – tłumaczy dr Zwoliński.

Im więcej pacjentów odpowiada na pytania, tym mądrzejszy staje się Neuroterminal, bo się uczy. Każdy lekarz, który skorzysta z tego urządzenia, ma szansę dostarczyć pacjentowi opiekę tej samej jakości.

Trzy lata temu w tekście dla Wyborczej dr Zwoliński powiedział mi, że lekarz powinien działać jak McDonald’s. Sieć fast-foodów pracuje według schematów, w każdym miejscu na świecie oferuje ten sam standard i znajduje się wysoko w rankingach jedzenia, którym nie można się zatruć. Dzięki wsparciu technologii lekarze mają szansę lepiej diagnozować i leczyć. A pacjenci mogą oczekiwać, że w każdym miejscu dostaną pomoc podobnej jakości – wyjaśniał dr Zwoliński. Po swojej wypowiedzi często był pytany – z wyrzutem – czy naprawdę chce zastąpić lekarza robotem.

STUDIA Z GOOGLEM NA PAMIĘĆ

– Nie chcę nikogo zastąpić, chcę, żeby ten robot lekarza wspomagał. Żeby młody neurolog nie wchodził do gabinetu, w którym ma tylko biurko i młoteczek do stukania w kolano. Gdy możemy używać metod cyfrowych i biosensorów, które monitorują sygnały pochodzące z człowieka, nikt już nie chce polegać na tym, co lekarz usłyszy przez słuchawki czy zaobserwuje z użyciem młoteczka. Badanie młoteczkiem osoby, która ma np. guza mózgu albo ostukiwanie palcami klatki piersiowej kogoś z chorobą płuc to przecież anachronizm. Wszystko się automatyzuje i medycyny nie może to ominąć – mówi dr Zwoliński.

Uważa, że studentów medycyny niepotrzebnie obciąża się „zapamiętywaniem tego, co jest w Google”. Zamiast tego powinni uczyć się, jak wykorzystywać w pracy inteligentne narzędzia. Podobnie mówi prof. Kolasa. – Elementem studiów medycznych powinna być nauka analizy danych i oceny algorytmów.

Znany neurolog: O tak, bardzo bym chciał zastąpić niektórych lekarzy robotami.

Coraz częściej lekarz będzie pełnić rolę weryfikatora danych czy rozwiązań podpowiadanych przez technologie, będzie na wielu poziomach współpracować ze sztuczną inteligencją.

Problem polega na tym że lekarze nie są na to przygotowani – ani pod względem umiejętności, ani mentalnie. Lekarze często opierają się przed braniem odpowiedzialności za działania oparte na współpracy z technologiami. Niektórzy boją się, że przez sztuczną inteligencję prestiż ich zawodu się zmniejszy. Niepotrzebnie, bo technologie mogą ten prestiż wręcz zwiększyć. Społeczeństwo potrzebuje liderów, którzy będą wdrażać zmiany cywilizacyjne, a jedną z najważniejszych grup, która może zaspokoić te potrzeby, są właśnie lekarza. Pacjenci rozumieją, że mogą bardzo zyskać na unowocześnieniu diagnostyki czy terapii. Z moich badań wynika, że Polacy chcą szerszego wykorzystania sztucznej inteligencji w medycynie, pod warunkiem, że nad ich bezpieczeństwem wciąż czuwać będzie lekarz. Lekarz ma zagwarantować, że technologie przynoszą nam korzyści, ale także dbać o godność pacjentów – wyjaśnia prof. Kolasa.

MISTRZOWIE NIE WIEDZIELI, ŻE NIE WIEDZĄ

Część lekarzy broni się przed używaniem technologii, bo postrzega medycynę jako sztukę. Wspominają mistrzów, którzy dochodzili do diagnozy własną drogą. – Model medycyny oparty na holdzie starych mistrzów jest bardzo archaiczny, bo medycyna jest straszliwą nauką bazującą na błędach. Wiemy, jak bardzo nasi poprzednicy nie mieli racji, bo dopiero współczesne badania pokazały nam, jak coś działa naprawdę. Jak wiele dowiedzieliśmy się w ostatnich latach choćby dzięki rozwojowi genetyki. Możemy podziwiać etyczne podejście słynnych profesorów, ich chęć pomagania ludzkości, ale nie mówmy, że to byli najlepsi lekarze, bo nie mogli nimi być – mówi dr Zwoliński.

A jak bardzo powinniśmy martwić się nowymi kierunkami medycznymi, które powstały w całej Polsce, dzięki reformie ministra Czarńka?

Naczelna Izba Lekarska ostrzega, że absolwenci takich studiów będą źle przygotowani do zawodu.

– Szczerze mówiąc, nawet absolwent najlepszych uczelni z najlepszymi stopniami niewiele umie, gdy zaczyna pracę. Ja nawet wołę przyjąć do kliniki studenta, który nie jest jeszcze zaawansowany w poznawaniu różnych specjalizacji, bo mam znaczący wpływ na jego rozwój kliniczny. Studiowały ze mną osoby, które z trudem dostały się na medycynę, a są dziś wspaniałymi lekarzami. A ci, którzy byli tak zwanymi kujonami, ukończyli studia jako najlepsi, często w ogóle nie pracują w zawodzie – opowiada dr Zwoliński. – Wołę mniej lekarzy za to dobrze wyszkolonych i wyposażonych w maszyny niż zastęp lekarzy, których jedynym atrybutem są skończone studia i pieczętka. Znam tak wielu złych lekarzy, że czasem, gdy kolejny raz słyszę pytanie, czy chciałbym zastąpić lekarzy maszyną, myślę sobie: o tak, bardzo bym chciał zastąpić niektórych lekarzy robotami. Inteligentny algorytm pod nadzorem człowieka może wyeliminować ludzką głupotę – stwierdza twórca Neuroterminalu.

JAK ZAROBIĆ NA DZIECKU

Wciąż słyszymy, że brakuje lekarzy. Sztuczna inteligencja przejmie zadania niektórych lekarzy. Zdjęcia diagnostyczne interpretuje lepiej i szybciej niż radiolodzy. Czy absolwentów medycyny będzie nagle zbyt wielu? Nie zanoszą się na to. Firma Deloitte wyliczyła, że do 2030 r. W Europie zabraknie nawet 4,1 mln specjalistów z zakresu medycyny w Europie. Lekarz zawsze może wybrać pracę, która będzie obok systemu zdrowia – w firmie dostarczającej technologie, sprzęt lub leki; w laboratorium badawczym; w administracji publicznej; w branży wellness (spa, medycyna estetyczna); w branży sportowej.

Dziś mnóstwo szpitali ma wakaty. Czekają nas jednak dyskusja, ile szpitali naprawdę potrzebujemy. – Mamy ok. 900 szpitali, a wystarczyłoby 300. Reszta, według rekomendacji ekspertów od systemu zdrowia, mogłaby zmienić się w tzw. punkty dostępu do opieki medycznej. Zapewne ponad 90 proc. pacjentów mogłoby dostać pomoc ambulatoryjnie.

Szpital jest potrzebny dla małej garstki ludzi, to XIX-wieczny relikw. Nawet chirurgia w przyszłości może w dużej mierze przenieść się do domu pacjenta, na co pozwoli robotyzacja tej dziedziny – ocenia dr Zwoliński.

Zwraca uwagę, że opieka szpitalna może być bardzo kosztowna, czasem celowo jest właśnie taka: – Byli u mnie rodzice z dzieckiem, ze stosunkowo prostą padaczką. Mieli 66-stronicowy wypis ze szpitala. Dziecko przeszło wszystkie możliwe badania. Po co? Bo ktoś postanowił dostać za tego pacjenta więcej pieniędzy z NFZ. Żaden system ochrony zdrowia na świecie nie jest w stanie wytrzymać takich praktyk. Ale u nas wciąż się pozwala sklejać wiele różnych procedur, żeby wyciągnąć więcej pieniędzy.

BYŁAM W SZPITALU, LEKARZA NIE WIDZIAŁAM

Nie tylko system potrzebuje zmiany. Pacjenci też nie zawsze doceniają dobrych lekarzy. Doby to ten, który leczy zgodnie z najnowszą wiedzą, a ta podkreśla znaczenie stylu życia w zapobieganiu chorobom. Znajoma kardiolożka załaziła się, że trudno doradzać osobom po zawale serca zmianę diety i rzucenie palenia. Wciąż są osoby, które nie chcą o tym słyszeć. Nie po to płacą za prywatną wizytę, chcą tylko ominąć kolejkę w NFZ i dostać dobre leki.

Onkolożka, która zajmuje się rakiem piersi na ostatniej wizycie po zakończeniu terapii zaznacza, jak ważny jest ruch. Według badań aż o 55 proc. zmniejsza ryzyko nawrotu tej choroby. To profilaktyka bezpłatna i dostępna dla każdego. Jednak część pacjentek, gdy słyszy o ruchu potrafi powiedzieć lekarce, że ma leczyć raka, a nie zajmować się ich tkanką tłuszczową.

– Dzięki sztucznej inteligencji więcej osób doceni wreszcie rolę diety i ruchu, bo urządzenia monitorujące nasz stan zdrowia pokażą czarno na białym powiązania między stylem życia a stanem zdrowia – zapowiada prof. Kolasa.

Może w przyszłości po zawale nie będziemy dyskutować z kardiologiem o skądliowości kielbasy z grilla? Zalecenia dostaniemy w szpitalnej aplikacji. Czas specjalistów jest przecież zbyt cenny. – Kiedy mieszkalam w Szwecji, znalazłam się w szpitalu w stanie nagłym. Przez pięć dni, ani razu nie widziałam lekarza. Czy byłam

źle leczona? Nie, zajmowały się mną pielęgniarki. Lekarz analizował wyniki, zalecał badania i terapie. Czas lekarza jest drogi, więc nowoczesne systemy wykorzystują go jak najefektywniej – mówi prof. Kolasa.

BEZPŁATNY LUKSUS

– Wraz z rozwojem zdalnej opieki i starzejącym się społeczeństwem, bezpośredni kontakt z lekarzem będzie coraz większym luksusem. W medycynie rośnie więc prestiż rozmowy z profesjonalistą. Rośnie też świadomość zdrowotna pacjentów, chcą żyć dłużej w zdrowiu. Wiele osób chce poznawać sposoby na lepsze życie. Obecnie taka oferta w podstawowej opiece zdrowotnej jest trudna do realizacji, ale może stać się możliwa, zwłaszcza jeśli dodamy do systemu nowoczesne narzędzia. Pozwoliłyby one nie tylko na badanie pacjenta podczas krótkiej wizyty, ale również na ocenę danych zbieranych w dłuższym czasie. Pozwoliłoby to analizować, jak zmienia się jego ciśnienie, poziom glikemii we krwi, a nawet jak codziennie sypia, czy chrapie i ma bezdechy senne. Ten ostatni parametr potrafi ocenić polski czujnik Clebre – mówi dr n. med. Daniel Śliż, prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Stylu Życia.

Towarzystwo podpowiada lekarzom, jak motywować pacjentów do dbania o sen, ruch i dietę. Przekuwa odkrycia naukowe w konkretne porady.

Medycyna stylu życia obniża m.in. ryzyko depresji, nowotworów czy zawału serca. – Zapewnia dłuższe, lepsze i szczęśliwsze życie. To właśnie taką medycynę chciałbym widzieć jako dominującą, naprawianie szkód nie powinno być głównym celem naszych działań, musimy wyprzedzać choroby – podsumowuje dr Śliż.

Towarzystwo, którym kieruje, podpowiada lekarzom, jak motywować pacjentów do dbania o sen, ruch i dietę. Przekuwa odkrycia naukowe w konkretne porady. Przykładem może być rozmowa o zmianie diety.

Dobre odżywianie może zmniejszać ryzyko wielu chorób. Powinno być też elementem leczenia, gdy już chorujemy. Ale jak lekarz ma rozmawiać z pacjentami o jedzeniu? Towarzystwo propaguje m.in. medycynę kulinarną. Zamiast rozmowy o kaloriach, węglowodanach, białkach i tłuszczach, która może być dla pacjentów trudna i nudna, można przejrzeć z pacjentami ich listę zakupów, zapytać, co lubią jeść i gotować. Zupę pomidorową? Super! A jak gotować? Na kostce rosolowej i ze śmietaną?

A czy próbował pan/pani wersji bez kostki i śmietany? Dzięki temu ograniczamy sól i tłuszcz. Smak zupy można poprawić dodatkiem czosnku i ziół. Brzmi to bardziej jak przyjacielska rozmowa niż pouczanie.

IDEAŁU WARTO SZUKAĆ DO SKUTKU

Wciąż niewielka grupa pacjentów w Polsce ma szansę na wizytę u dietetyka. Za to lekarza pierwszego kontaktu ma każdy. Zwolennicy medycyny kulinarnej liczą, że kiedyś będzie ona powszechnym elementem konsultacji. Na razie pacjentom i lekarzom z pomocą przychodzi NFZ – stworzył portal dietetyczny, który podsuwa zdrowe przepisy na wszystkie posiłki i gotowe listy zakupów. Lekarz może odsyłać swoich pacjentów na stronę Diety.nfz.gov.pl. A na konsultację z dietetyczką, psychodietetyczką lub fizjoterapeutą można się umówić bezpłatnie – dowolną liczbę razy – korzystając z telefonu do Centrum Dietetycznego Online. Powstało w ramach Narodowego Centrum Edukacji Żywnościowej. Możliwe są także porady rodzinne – dla par czy rodziców z dziećmi.

Tak, polski system zapewnia bezpłatnie takie „wynałazki”. Do kompletu dodam, że NFZ oferuje też bezpłatne treningi z poradami lekarki, psycholożki i fizjo-

terapeutki. Program nazywa się „8 tygodni do zdrowia”. Instrukcje ćwiczeń znajdziemy w aplikacji z internetowym kontem pacjenta albo na platformie You Tube.

Także tutaj można znaleźć przygotowane przez NFZ programy rehabilitacyjne – ćwiczenia i automasaże na wszystkie odcinki kręgosłupa oraz na stawy – barkowy i biodrowy. Instrukcje z wykładem fizjoterapeutki dostępne są również w formie aplikacji Moje Fizjo+. To zdalna forma kontaktu z fizjoterapeutami, którzy w realu zaleciłiby nam te same domowe ćwiczenia, ale po miesiącach oczekiwania na wizytę.

Za te inicjatywy NFZ zawsze dostaje ode mnie serduszka pod postami na Instagramie. Ode mnie i od moich koleżanek, które do tego namówiłam. Serduszka wysyłają też pewnie pracownicy Funduszu i ministerstwa zdrowia. I tyle, dlatego pod postami często jest tylko osiem czy 15 polubień. Konto naszego publicznego ubezpieczyciela obserwuje niecałe cztery tysiące osób. Smutne, bo jego brytyjski odpowiednik – NHS – ma 567 tys. obserwujących. A też nie jest bez wad. Namawiam: interesujcie się, tym, co NFZ dla was robi, korzystajcie ze swoich lekarzy rodzinnych, bezpłatnych badań i akcji profilaktycznych. Raz w roku każdy po czterdzieście może zrobić duże badania.

O wszystkim, co się nam w ramach NFZ należy, powinniśmy dowiadywać się od lekarza rodzinnego. – Czasem sama informacja poprawia komuś życie. Ludzie nie wiedzą np., że mają prawo do refundowanych pieluch czy sprzętów medycznych, nie wiedzą, gdzie mają się zgłosić – mówi Krajewska.

Idealnego lekarza rodzinnego możemy szukać bezpłatnie do skutku (w każdym roku możemy dwa razy zmienić przychodnię). Nie trzeba jechać do swego POZ, żeby się wypisać, wystarczy zapisać się w nowym miejscu. Można zrobić to przez telefon. W końcu traficie na swojego coacha zdrowia. ●

• **Piszcie!**

Jeśli lubicie swój POZ, znaleźliście lekarkę czy lekarza, którzy pomagają wam dbać o zdrowie, napiszcie o tym do Wyborczej. zdrowie@wyborcza.pl

Biskupi słusznie kalkulują

Spółeczeństwo nie dojrzało do wykurzenia hierarchów z ich pałaców

Magdalena Czyż

Wygłada na to, że po raz pierwszy od 1989 roku, liczba Polaków negatywnie oceniających działalność Kościoła w Polsce jest większa niż tych, którzy oceniają ją pozytywnie.

Katolicka Agencja Informacyjna opublikowała wyniki najnowszych (z początku kwietnia) badań CBOS: obecnie pozytywne (44 proc., od września spadek o 2 punkty procentowe) i negatywne (45 proc., wzrost o 3 punkty procentowe) oceny w zasadzie się równoważą.

Poza zaangażowaniem w praktyki religijne, które ze zrozumiałych względów współwystępuje z pozytywnymi ocenami Kościoła, z aprobatą o działalności tej instytucji wypowiadają się na ogół zwolennicy PiS oraz respondenci mający poglądy prawicowe. W większym stopniu niż przeciętnie to także starsi badani (55+), osoby z wykształceniem podstawowym lub zasadniczym zawodowym, mieszkańcy wsi, rolnicy, emeryci, renciści, a także respondenci uzyskujący niskie i przeciętne dochody per capita (poniżej 2999 zł) oraz źle oceniający własną sytuację materialną.

Krytycznie o Kościele, poza niezaangażowanymi religijnie, częściej niż inni wypowiadają się potencjalni wyborcy ugrupowań rządzących, zwłaszcza Lewicy i Koalicji Obywatelskiej, oraz respondenci identyfikujący się z lewicą.

Negatywnymi ocenami wyróżniają się także badani mający mniej niż 35 lat, uczniowie

i studenci, najlepiej wykształceni, przedstawiciele kadry kierowniczej i specjaliści, pracownicy administracyjno-biurowi, technicy i średni personel, prywatni przedsiębiorcy oraz ankietowani uzyskujący najwyższe dochody per capita (od 4000 zł wzwyż).

Żeby załagodzić niekorzystne dla Kościoła wyniki badań, KAI podało również wyniki popularności instytucji państwowych (porównywalne z ocenami Kościoła), a „Gość Niedzielny” tak namieszał w artykuły na ten temat, że jego czytelnik właściwie nie ma szans zrozumieć, czy Kościół jest przez jego rodaków oceniany dobrze, czy źle.

częściej respondenci pytani o przyczynę negatywnej oceny. Przez wszystkie te lata hierarchowie nie zwracali uwagi na tę tendencję.

Nie powinno się mieć złudzeń, że zwrócą na nią uwagę teraz. Od dawna zachowują się tak, jakby ich życiową filozofią były słowa: „po nas choćby potop”. Byle dożyć do końca w wygodnych, eleganckich pałacach.

I chyba słusznie kalkulują, bo nawet jeśli tempo spadkowe się utrzyma, to trzeba będzie czekać kolejną dekadę, żeby liczba pozytywnie oceniających Kościół spadła poniżej 30 proc.

A nawet wtedy liczba oceniających pozytywnie może okazać zbyt

Negatywnie Kościół oceniają: badani mający mniej niż 35 lat, uczniowie i studenci, przedstawiciele kadry kierowniczej i specjaliści, pracownicy administracyjno-biurowi, technicy i średni personel, prywatni przedsiębiorcy oraz ankietowani uzyskujący najwyższe dochody per capita

Nie będę się wyzłościwiać na formę podania informacji o badaniu CBOS przez media katolickie, bo nie ona jest istotna. Zresztą większość ten wynik przemilczała. Istotny jest fakt pominięcia wniosku z tych badań.

Szała po raz pierwszy przechyliła się na niekorzyść Kościoła, chociaż tendencja spadkowa utrzymywała się już od dekady. Właściwie od czasu, gdy w przestrzeni medialnej zaczęły pojawiać się informacje o tuszowaniu przez hierarchię kościelną przestępstw księży pedofilów. Na ten czynnik wskazują naj-

duża, aby społeczeństwo dojrzało do wykurzenia hierarchów z ich pałaców i przekazania ich nareszcie na cele społeczne, zgodne z tym, czego Kościół naucza.

Chyba dopiero wtedy, gdy hierarchowie zostaną zmuszeni do mieszkania w 40-metrowych kawalerkach, bez szpaleru gospoś, ogrodników i kogo tam jeszcze sobie zażyją, zaczną myśleć konstruktywnie o swojej wspólnotocie wyznaniowej.

Wniosek z tych badań jest taki, że przez najbliższe 20 lat panowie mogą spać spokojnie. I tak właśnie zamierzają. ●

REKLAMA

Kraj/34310817

DLA TYCH,
KTÓRZY CZUJĄ,
ŻE ZNALEŻLI
SIĘ W MIEJSCU,
GDZIE BOLI

Żyjąc na krawędzi musisz nauczyć się balansować. O tym jest ta książka.

MARTA NIEDŹWIECKA

Do ostatniej strony utrzymała mnie w napięciu. Dużo się dowiedziałem o sobie.

MIKOŁAJ GRYNBERG

KOLOROWE, ROZTAŃCZONE, SZALONE

Polska architektura lat 90. to niezwykle budynki, które powoli znikają z naszej przestrzeni. Zobacz nasz nieobiektywny przewodnik po najciekawszych projektach z epoki transformacyjnego przełomu.

Wojciech Szot

Odwiedzałem go podczas każdej wizyty w Bydgoszczy. Miał w sobie „to coś”. Łączył klasyczną urodę z ekstrawagancją. Był elegancki na swój wyjątkowy sposób. Kokietował kolorem. Niestety ktoś zdecydował, że czas go przebudować.

Czy Dom Handlowy Rywał podzieli los wielu budynków, zbudowanych lub zmodernizowanych w latach 90. XX w., które dzisiaj są burzone lub przebudowywane w pozbawione wyrazu szaro-biało-szklane symetryczne bryły?

– Mamy już wizualizacje wnętrz utrzymaną w latach 80. – mówił w jednym z wywiadów Wojciech Lent, prezes Bydgoskiej Spółdzielni Spożywców, która chce uczynić z Rywala swój „flagowy” sklep. Czyli będzie nudno. Rywałowi odjęte zostanie to, co wyróżniało go spośród dziesiątek podobnych projektów.

Kiedy skończyły się lata 90.?

Rywała zbudowano na początku lat 70. Był największym domem handlowym w całym województwie i jednym z najlepiej zaopatrzonych. W niemal niezmiennym formie przetrwał do 2002 r., gdy – jak pisze Anna Cymer, autorka książki „Długie lata 90. Architektura w Polsce czasów transformacji” – dobudowano mu „wysoką szklaną wieżę na planie rombu zwieńczoną żółtym dachem”.

Rok 2002 to nie lata 90. – słusznie może ktoś zauważyć. Jednak, jak zauważa badaczka, style w architekturze nie zmieniają się z dnia na dzień. Budynki projektowane w latach 90. kończono już w XXI wieku, a czasem brak funduszy lub potrzeby inwestora sprawiły, że sięgano po rozwiązania z czasów barwnej, odważnej i budzącej dziś kontrowersje architektury postmodernistycznej.

Nad Wisłą – pisze Cymer – architektura postmodernistyczna stała się „metodą na odejście od architektury, która (...) została uznana za emanację opresji poprzedniego systemu”.

Czym jest postmodernizm w architekturze?

To styl, który „proponował użycie elementów historycznych w formie ich pastiszu, przetwarzanie ich na modłę współczesną, deformowanie, dowolne cytowanie, zestawienie ze sobą elementów zaczerpniętych z różnych epok”. Chodziło o powrót do architektury, która budzi emocje, ale też „daje

coś w rodzaju duchowego bezpieczeństwa” i „poczucie ciągłości historii”.

– Myśmy byli absolutnie przekonani o tym, że architektura nowoczesna była jakimś tam przejściowym momentem w historii cywilizacji, a teraz już zawsze będą gzymsy, tympanony, kolumny i tym podobne – mówił Andrzej Szaroszyk, architekt który karierę rozpoczął w latach 80. XX wieku.

Ta mieszanka historii i teraźniejszości, ambicji i nostalgii, nowych możliwości i nacisku na tanie technologie sprawiła, że polska architektura długich lat 90. idealnie spełniała postulat „architektury dobrych intencji”, o którą apelował jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej Charles Jencks, jeden z najważniejszych teoretyków architektury w XX w. Jencks uważał, że „architektura dobrych intencji” powinna zmieniać świat w miejsce wesele i szczęśliwsze. Przypominająca budowlę z kolorowych klocków wieża bydgoskiego Rywala sprawia, że jest weselej. Czy zastąpi ją smutna szarzyzna?

Architektura lat 90. powoli znikła z przestrzeni polskich miast. Najgłośniejsze było o wyburzeniu Solpolu. Zburzenie powstałego we Wrocławiu na początku lat 90. domu handlowego zostało oprotowane przez tysiące miłośników barwnej architektury postmodernistycznej. Przeciwnicy jednak wskazywali na jego niefunkcjonalność. Kolorowa, „plastikowa” fasada Solpolu budziła u wielu osób zażenowanie.

Cymer pisze, że budynki takie jak wrocławski dom handlowy „wrosły z nastroju, emocji i potrzeb tamtych lat. Gdzie dzisiaj – w trzecim dziesięcioleciu XXI wieku – możemy odnaleźć klimat lat 90.?

W ZUS-ie, od którego zaczniemy naszą wędrówkę po architekturze długich lat 90.

Jelenia Góra, Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Inspektorat w Jeleniej Górze

proj. Leopold Chyczewski
ul. Sygietyńskiego Tadeusza 10.

Już w latach 30. XX wieku inwestycje ZUS-u, jak pisze Cymer, „stanowiły wzór i reprezentowały najwyższą jakość”. Jednak to nie zawsze udawało się w ostatniej dekadzie ostatniego stulecia, gdy Zakład Ubezpieczeń Społecznych stał się jednym z największych inwestorów publicznych w latach 90. Instytucja, która miała zapewnić bezpieczną przyszłość milionom Polaków, musiała pokazać, że w nowej rzeczywistości trzyma rękę na pulsie.

I choć wiele „zusowskich” budynków wyróżnia się architekturą, tak jeleniogórski inspektorat zaskakuje spójnością wizji i doskonałym stanem zachowania.

Czego my tu nie mamy! Walce, ścieżniki i stożki. Brak symetrii podkreślony różnorodną formą okien. I te kolory! Cymer wylicza: „żółte ramy okienne, pomarańczowe kolumny, granatowe wykusze”, a do tego zielone ściany. Jest też – obowiązkowa w architekturze lat 90. – przeszklona klatka schodowa, a w niej spi-

• Solpol był dla miłośników postmodernizmu jedną z ikon wrocławskiej architektury. Mimo to budynek został rozebrany w 2022 r.



• U góry: Centrum Handlowe Park 111 w Gorzowie Wielkopolskim miało łączyć w sobie elegancję i najlepsze cechy współczesnej architektury



• Po prawej: gdy świeci słońce, w holu siedziby Trójki nie da się oddychać



Najwyższy czas zacząć debatę o architekturze lat 90.”, pisze Anna Cymer. Najlepiej „zanim wyburzimy kolejne obiekty będące najlepszym zapisem tamtych czasów

• Trzygwiazdkowy Hotel Panorama znajduje się w pobliżu Puszczy Bukowej pod Szczecinem



ralne, pomarańczowe (!) schody. Do budynku dopasowano również ogrodzenie. Szczęśliwie kolejne renowacje nie zniszczyły oryginalnego projektu Chyczewskiego, który był współpracownikiem Wojciecha Jarząbka przy projektowaniu wrocławskiego Solpolu.

Warszawa. Hol budynku 3 Programu Polskiego Radia

ul. Myśliwiecka 3/5/7

Również media państwowe chciały zaznaczyć przejście od czasów dobrze minionych do epoki dobrobytu. Najbardziej kuriozalnym efektem tych aspiracji jest oczywiście zaprojektowany w 1997 r., a ukończony dekadę później budynek Telewizji Polskiej przy ul. Woronicza. Jednak nie tylko Telewizja chciała nowoczesności. Polskie Radio również.

Do przeszklonego holu budynku przy Myśliwieckiej 3/5/7 można wejść bez żadnych szukan. A jest co oglądać — zarówno forma jak i kolorystyka doskonale oddają aspiracje mediów przełomu wieków. Jest wysoko, szeroko i w granitach. Są też obowiązkowe dla postmodernizmu przeszklone wykusze i trójkątne tympanony. Gdy świeci słońce — w środku nie da się oddychać. Ocieplenie klimatyczne nie było na przełomie wieków jeszcze ważnym elementem namysłu projektantów.

Warto jednak przyjrzeć się samemu budynkowi, który powstał w 1900 r. i przez lata pełnił różne funkcje. Początkowo miał być to maneż — ujeżdżalnia, w której miały prezentować się konie. Dwanaście lat później budynek symetrycznie rozbudowano, a w jego wnętrzach umieszczono Wystawę Sportowo-Przemysłową. Kolejne przebudowy miały miejsce w międzywojniu, gdzie budynek zaadaptowano na biurowiec. Po wojnie odbudowano go, jednocześnie podwyższając o jedno piętro i adaptując na potrzeby Polskiego Radia. Efekt końcowy, który dodatkowo psują szklane tafle bocznych klatek schodowych, w ciekawy sposób „opowiada” historię polskiej architektury użytkowej.

Poznań. Osiedle Stefana Batorego

proj. Mirosława Traczyńska, Małgorzata Matusiewicz
ul. Batorego 57/59

„Feeria barw i kształtów”, pisze Anna Cymer. Budowę osiedla zaczęto w latach 70. XX w. „w technologii prefabrykowanej”. W latach 90. zaczęto dogęszczać zabudowę. Najciekawszy jest zespół cztero- i pięciopiętrowych budynków pod adresem 57/59.

„Główne wejście na jego teren zlokalizowano w założonym na planie półkola frontowym budynku galeriowym”. Domy na osiedlu różnią się od siebie skalą i formą. Znajdziemy tam charakterystyczne dla architektury lat 90. zielone elewacje, niebieskie balustrady balkonów, czy pomarańczowe i żółte ryzality. Osie budynku podkreślono wykuszami i zaokrągleniami, a uroku osiedlu dodaje mała architektura — murki, schodki, podesty, czy kolorowe zadaszenia. Dzisiaj dostrzegamy w tym budynku zupełną niemal niedostępność dla osób poruszających się np. na wózku.

Wrocław. Plomba przy ul. Wybrzeże Wyspiańskiego

proj. Wojciech Jarząbek
ul. Wybrzeże Stanisława Wyspiańskiego 36

Wojciech Jarząbek to z pewnością jeden z najciekawszych polskich architektów doby transformacyjnego szoku. Związany jest z Wrocławiem, gdzie powstało kilkanaście zaskakujących form budynków jego projektu. Być może kiedyś Wrocław będzie się nimi chwalił tak jak dzisiaj Barcelona Gaudim czy Wiedeń domem Hundertwasser. I choć najsłynniejszym z nich jest nieistniejący Solpol, to warto wybrać się na ulicę Wybrzeże Stanisława Wyspiańskiego 36, nieopodal wrocławskiego ogrodu zoologicznego i Hali Stulecia.

Budynek Jarząbka — jak pisze Cymer — „wydaje się pastiszem nie tylko form historycznych, ale i samej idei zabudowy uzupełniającej. Przekolorowana, wyolbrzymiona, karykaturalna stylizacja budynku jest wyrazistą »rozmową« z zabudową z prze-

szłości, a bogactwo zastosowanych form dodatków podkreśla intensywna kolorystyka”, pisze historyczka architektury.

Do szarej fasady budynku Jarząbek dołożył kolorowe ryzality i balony, a przed oczami widzów mienia się odcienie różu, zieleni, granatu i żółci. Całość przypomina ruinę bajkowego statku.

Wrocławskie plomby są fenomenem na skalę kraju. Niestety, jak mówił „Wyborczej” Michał Duda z Muzeum Architektury we Wrocławiu, „nie podlegając żadnej ochronie, zarządzane przez mieszkaniowe wspólnoty i małe spółdzielnie, z każdym kolejnym remontem tracą pierwotne walory, które nadali im ich twórcy, realizujący koncept spektakularnego »powrotu do śródmieścia« po dekadach uprzemysłowionej ucieczki na osiedla”.

Wrocław. Parking wielopiętrowy

proj. Edward Lach, Anna Rumińska
ul. Tadeusza Rejtana 6

Zostając jeszcze na chwilę we Wrocławiu, proszę stanąć naprzeciw fasady parkingu przy ul. Tadeusza Rejtana. Inspirowana zapewne owadziemi szczękoczułkami konstrukcja przypomina nam o tym, że w latach 90. nawet parking mógł zyskać nietypową oprawę architektoniczną. Co ciekawe, od zaplecza, jakby w kontraście do frontonu, fasadę „ozdabiają” dwa olbrzymie przewody wentylacyjne przypominające owadzie odnóża. Parking jako mrowisko?

Jak nie macie dość parkingów, to jeszcze przed wami ten przy ul. Szewskiej 3, który zaprojektowali Stefan Müller i Paweł Jaszczyk. Fasada zwieńczona strzelistą, rozczapierzoną się wieżą budziła kontrowersje już w latach 90. – Wieża przy parkingu jest elementem krajobrazu miasta. Przecież przy Kazimierza Wielkiego mamy całą sekwencję wież — mówił architekt „Wyborczej”, mając na myśli wieże gotyckich kościołów.

Jeśli z Wrocławia wybierają się Państwo w podróż po Dolnym Śląsku, nie możecie ominąć budynku „jednostki ratowniczo-

-gaśniczej”, czyli Straży Pożarnej w Nowej Rudzie. Postmodernistyczna, „rozkawalkowana” bryła budynku w niezwykle sposób kontrastuje ze stateczną, małomiasteczkową zabudową z końca XIX w.

Szczecin. Hotel Panorama

proj. Stanisław Kondarewicz, Andrzej Morawski (Studio S4)
ul. Radosna 60

Może kiedyś szczecińska Panorama trafi do przewodnika po najciekawszych historycznych hotelach? Choć hotel ma urok przydrożnego motelu (powstał koło autostrady), jego ambicje sięgają o wiele dalej. Oddajmy głos badaczce:

„Pomiędzy dwa ustawione względem siebie pod kątem prostym skrzydła wstawiono ukosem część mieszczącą wejście, hol recepcji, restaurację. Monotonię dość długich brył przełamano, dzieląc je na segmenty”. Ponownie ważne są kolory — jasna elewacja przełamana żółtymi, niebieskimi i czerwonymi elementami.

W 1996 r. budynek otrzymał nagrodę w plebiscycie „Najpiękniejszy obiekt architektoniczny 50-lecia polskiego Szczecina”. Kondarewicz współprojektował również szczeciński Dom towarowy Kupiec, który warto zobaczyć ze względu na niezwykłą fasadę.

Gorzów Wielkopolski, Centrum Handlowe Park 111

proj. Autorskie Atelier Mgr. Inż. Architekta Leszka Horodyskiego
ul. Gen. Władysława Sikorskiego 111

„Handel w nowych, kapitalistycznych czasach musiał mieć odpowiednią oprawę”, pisze Anna Cymer. Wśród legendarnych już centrów handlowych czasów transformacji najczęściej wymienia się warszawską Panoramę z pierwszą w Polsce panoramiczną windą, ale warto przyjrzeć się świątyniom handlu spoza stolicy. Wśród nich wyróżnia się gorzowski Park 111.

Ulokowany w centrum miasta, jak można przeczytać w jego prospekcie reklamowym, „łączy w sobie elegancję oraz naj-

lepsze cechy współczesnej architektury” i został zaprojektowany „z myślą o zadowoleniu najbardziej wymagających klientów”. Jak zauważa Cyner, o randze inwestycji świadczy fakt, że Park III otwierali w 2002 r. wspólnie marszałek, wojewoda, prezydent miasta i inwestor. Zabrakło tylko biskupa.

Cymer: „Jego żółtą fasadę przebija przeszklony półokrągły wykusz, a narożnik budynku został zamieniony w nieregularnie zwieńczoną cylindryczną »wieżę«, której trzon osłania dodatkowo odsunięty od niego ażurowy fragment elewacji”.

W Gorzowie Wielkopolskim podziwiać można również budynek poczty (ul. Kazimierza Jagiellończyka 4) zaprojektowany przez Jerzego Suchankę. Gmach z wysuniętą górną kondygnacją, tworzącą arkadowe podcienia i dziesiątkami łuków i półkolistych form architektonicznych łączy w sobie stylistykę pałacu z halami spacerowymi w XIX wiecznych uzdrowiskach.

Katowice, Plac Rady Europy

Miejsce niezwykle choćby z tego powodu, że w jego przestrzeni powstało kilka budynków doskonale oddających charakter transformacyjnych przemian. Mamy tu siedzibę banku PKO, którą zbudowano w 1990 r., mamy „ekspresyjną” siedzibę Banku Rozwoju Eksportu i budynek Biblioteki Śląskiej, którego budowę ukończono w 1998 r. W 2004 r. obok placu powstało centrum handlowe „Belg”, które nie przetrwało do naszych czasów. Już 19 lat po otwarciu świątynia handlu zamieniła się w proch.

Oko turysty przyciąga biblioteka. Jak pisze Cymer: „Nad głównym wejściem do biblioteki architekci rozpięli ażurową geometryczną konstrukcję nasuwającą skojarzenia z klasycznym zdobnym portalem”. Symetryczna i masywna bryła budynku ma symbolizować majestat i powagę instytucji, dla której została zaprojektowana.



• **Kopuła Kościoła Wszystkich Świętych to jeden z punktów orientacyjnych w Białymstoku**

Oprócz budynków okolica placu od lat funkcjonuje jako olbrzymi parking, co przypomina o faworyzowaniu samochodów w urbanistyce lat 90.

Białystok, Kościół Wszystkich Świętych

proj. Michał Bałasz
Antoniuk Fabryczny 45

Najbardziej znanym budynkiem kościelnym doby postmodernizmu jest oczywiście licheńska bazylika, ale warto zajrzeć do Białegostoku, by przyrzeć się zbudowanemu w latach 1999–2003 kościołowi. Mamy tu do czynienia z niezwykłym kościołem. Barokowej kopule towarzyszą elementy zaczerpnięte z renesansu, romantyczne ruiny, a nawet secesja. Detale architektoniczne są wyolbrzymione, a całość dzięki zastosowaniu czarno-białego kontrastu sprawia przerysowane wrażenie.

Bałasz jest również autorem kościoła Zmartwychwstania Pańskiego w Białym-

stoku, będącego kopią późnobarokowego kościoła z Berezwecha na Białorusi. Architekt w styczniu 2024 r. ukończył 100 lat.

— Uważam się za obywatela Wielkiego Księstwa Litewskiego, w którym mieszały się różne kultury i tradycje. Tam, skąd pochodzę, zawsze obok siebie mieszkali: katolicy, prawosławni, Żydzi i Tatarzy. Było z czego czerpać wzorce — mówił podczas jednego z publicznych wystąpień.

Jego projekty zaskakują, jak choćby niewielka cerkiew św. Symeona Słupnika w Orli, gdzie do tradycyjnej, półokrągłej bryły nawiązującej do architektury romańskiej, dostawił głęboki, neoklasycywny portyk zwieńczony trójkątnym tympanonem. Efekt — choć to budynek niewielki — naprawdę szokujący.

Kapitalizm przez różowe okulary

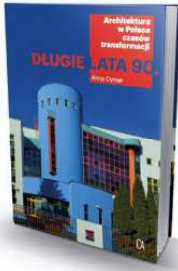
„Najwyższy czas zacząć debatę o architekturze lat 90.”, pisze Cymer. Najlepiej „zanim wyburzymy kolejne obiekty będące najlepszym zapisem tamtych czasów”. W końcu to — jak

podkreśla autorka „Długich lat 90.” — epoka, która „doprowadziła nas do miejsca, w którym jesteśmy”. Wtórzy jej architekt Michał Kempański, choć jak podkreśla w rozmowie z „Wyborczą” „rozumie ludzi, którzy po Solpolu nie płakali”.

Kempański: – Budynki z lat 90-tych mają bardzo trudno i raczej nie mają szans, żeby wygrać z architekturą wcześniejszą lub późniejszą, tą bardziej uznaną albo, praktyczniejszą, łatwiejszą i tańszą w eksploatacji. Ale myślę, że warto byłoby zachowywać z nich jakieś drobne części np. z wytartego parkietu zrobić obrazy czy rzeźby, które mogłyby być wykorzystane w budynkach-następcach.

Póki jeszcze stoi — warto zwiedzać. I nie czuć zażenowania, gdy patrzymy na pstrokate pseudoegipskie piramidki przyczępione do quasibarokowego portalu prowadzącego do pararenesansowego wnętrza w psychodelicznych kolorach jak z disnejowskiej bajki. To w końcu trochę wesołkowata synteza naszego dziedzictwa z czasów, gdy na kapitalizm patrzyliśmy przez różowe okulary. Kupione ze szcęk na bazarze. ●

• Nie wszystkie wymienione przykłady znalazłem w książce Anny Cymer.



Anna Cymer
Długie lata 90. Architektura w Polsce czasów transformacji
Centrum Architektury, Warszawa 2024

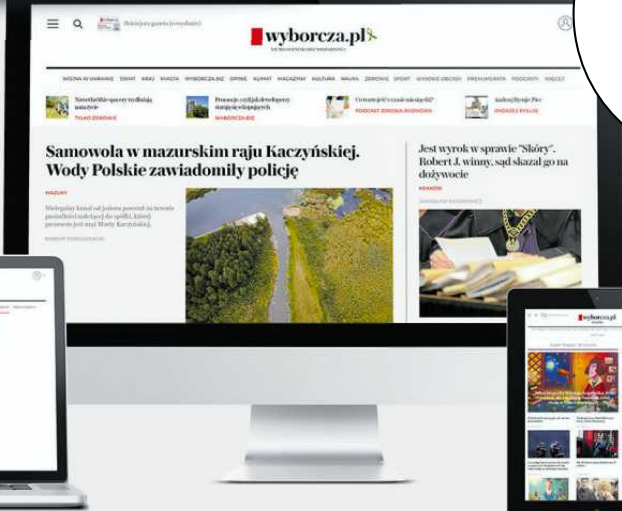
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34311595

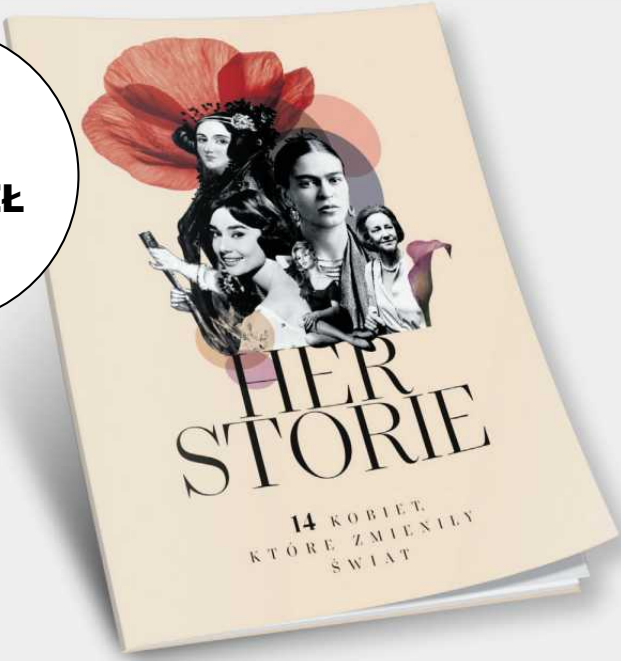
ZAMÓW DO 23 KWIETNIA

PRENUMERATE TECZKOWĄ NA MAJ
W PREZENCIE KSIĄŻKA* ORAZ DOSTĘP DO WYBORCZA.PL**

CODZIENNE



CENA
159,90 ZŁ



* Książka do odbioru od 17 maja w punkcie sprzedaży ** Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej”: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. *** Cena sugerowana

Pogardzajcie dalej

Jaki spin doktor stoi za decyzją, by w pierwszej kolejności debatować aborcję

Marcin Matczak

Jak wiadomo, istnieją różne rodzaje inteligencji: logiczno-matematyczna, emocjonalna, językowa czy przestrzena. U nas po wyborach samorządowych uaktywniła się dodatkowo inteligencja pogardzająca. Ta, która nieco zanikła po 15.10, bo wydało jej się, że świat wrócił do normalności po zaburzeniu rządami partii powszechnie uznawanej przez tęże inteligencję za lumpenproletariacką.

A tu jednak nie jest normalnie – już miał być ten dziesiąty czy dwunasty koniec historii, już miał ten kolek osinowy w piersi partii PiS utknąć na stałe, a tu klops. Wampir wstaje, zombie żyje, straż się grobu miesza.

Inteligencja pogardzająca po wyborach samorządowych zadaje sobie pytanie: „Co jest?”. Zadaje je tonem, jakim reaguje na niedziałający pilot do telewizora, nie chcący zapalić samochód czy niedający się uruchomić thermomix. Tym niedziałającym pilotem, który nie chce włączyć jedynie słusznego kanału, tym samochodem, który nie chce nas wieźć do Europy, tym thermomixem, który nie chce nam przyrządzić lukrowanej przyszłości, jest Polska. Niby wszystko, co trzeba, zrobiliśmy. A ta, cholera, nie chce działać.

Bez TVP, bez propagandy za dwa miliardy, z ujawnionymi aferami PiS ma nadal 33 procent. Szuka więc inteligencja pogardzająca przyczyny. Oskarża dziennikarzy Wirtualnej Polski za to, że dobrze wykonał swoją robotę w sprawie prokurator Wrzosek.

Wyzywa rolników, że głupi, bo 60 procent z nich głosowało na PiS. „Inteligencją, umiejętnością logicznego myślenia ponad połowa z was nie przekracza poziomu przedszkola” – pisze im na platformie X Piotr Maślak, świeżo upieczony (czy raczej powracający po ośmiu latach smuty) dyrektor w TVP. Wszyscy są winni – pseudo-dziennikarze, żydzi i cykliści. Tylko nie ci triumfujący nad prostym chłopem i babą.

Obrońcy wolności wzywają do cenzury, prorocy inkluzywizmu chcą natychmiastowego wykluczenia: z Polski, ze wspólnoty ludzi myślących, za których tylko siebie mają, z rodziny ludzkiej, bo niby dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba, ale przecież nie dla idiotów (takie hasło mógłby zaproponować inteligencji ChatGPT, gdyby poprosił go, by stworzył reklamę Media Markt w stylu Edwarda Stachury). Byłoby to śmieszne, gdyby nie było straszne.

Mistrzem inteligenckiej hipokryzji jest Roman Giertych. Facet występuje rzekomo w obronie wolności słowa, którą uosabia mu Eliza Michalik, uprawiająca od dawna zamiast wyczerpującego dziennikarstwa śledczego, leniwe, fotelowe dziennikarstwo lepperowskie („ja tylko pytam!”). Giertych składa do ministra sprawiedliwości interpelację, krytykując pozew prywatnego wydawcy przeciwko Michalik jako zastraszający (SLAPP). A jednocześnie prosi, by skierować do tego wydawcy całą maszynę prokuratury i porządk nie przetrzepać im tylek!

Robi to jako poseł partii rządzącej, z pozycji siły, przedstawiając siebie jako herolda walki z cenzurą. I zupełnie przypadkowo uderza w redakcję, która właśnie ujawniła fakty niekorzystne dla jego formacji poli-

tycznej. To jest pogarda dla rozumu wszystkich – nie tylko wyborców PiS.

Zaraz po 15.10 pisałem, że jeśli polska arystokracja intelektu nie przestanie uderzać w wartości bliskie elektoratowi PiS, ten szybko wróci. Teraz dochodzi nam uderzanie w wartości bliskie elektoratowi anty-PiS. 15.10 stał się cud, który – jak to cud – wydarza się rzadko. Zdarzył się on dzięki bardzo niepewnemu sojuszowi zróżnicowanych poglądów, który naturalnie się trzęsie, gdy ma promować nie to, co go wewnętrznie spaja (przywracanie praworządności), ale to, co go dzieli (sprawy światopoglądowe).

I jak z tego cudu skorzystaliśmy? Wprowadzając od razu na agendę najbardziej polaryzujący temat – aborcję. Chyba po to, żeby Anna-Maria Żukowska, reprezentująca partię z 7-procentowym poparciem, mogła wszystkim, którzy chcieliby się nad problemem aborcji zastanowić, wykrzyknąć w twarz, jak Hołowni.: „Wyp....ajcie!”.

Jaki spin doktor stoi za decyzją, by w pierwszej kolejności publicznie debatować temat, który ruska propaganda już dawno wybrała jako najbardziej skłócający społeczeństwa i wzmacniający emocje skrajnej prawicy? Decyzję aborcyjną w 2020 r. TK wydał z udziałem dublerów, prawnie więc ona nie istnieje. Obecna prokuratura nie zamierza chyba, jak prokuratura Ziobry, ścigać lekarzy, podejmujących trudne decyzje, gdy zagrożone są zdrowie czy życie kobiety. Sytuacja wydaje się więc kontrolowana.

Ale nie. Zamiast odbierać tlen polityczny partii, która uwielbia wzniecać społeczne emocje do niszczenia państwa, wznieca się je za nią. Lecz czegoż być nie robi, żeby symbolicznie zatrumfować, żeby udowodnić, że polityka nie jest sztuką kompromisu, ale sztuką wzajemnej eksterminacji?

Pogardzajcie dalej. Niech Michalik nadal tylko pyta, czy Ziobro naprawdę jest chory, i czy jak ktoś krytykuje PO, to nie jest czasami szantażowany przez PiS, bo przecież innej motywacji, choćby zdrowego rozsądku, za tą krytyką być nie może. Niech Leszek Miller mówi w wywiadach, że nie wierzy w gadające węże i krzaki – jest przecież na to zbyt mądry, w przeciwieństwie do ludu pracującego wsi. Niech Witold Jurasz głosi, że jak ktoś pisze o wadze katolickich święt, to się „ośmiesza”, bo przecież prawdziwi liderzy, z dziada pradziada w dyplomacji, nie wierzą w nic, nawet w Świętego Mikołaja. I koniecznie dodajcie, że frak leży dobrze dopiero w trzecim pokoleniu. To dowodzi waszego wyrafinowania.

Inteligencja pogardzająca zaczyna przypominać Habsburgów – zdegenerowaną wsobnym chowem myśli arystokrację umysłu, która nie może zrozumieć dość prostego mechanizmu: że 7 milionów ludzi jej nie ufa, bo czuje się przez nią poniżane. Eksponowanie wyższości skończy się dla niej jak rewolucja bolszewików dla caratu.

Bo inteligencja nie rozumie ludzkiego resentymentu – że im bardziej gardzi czyimiś wartościami, tym bardziej pogardzani chcą zniszczyć wszystko, co dla niej cenne. I jeśli tak dalej będzie, spełni się marzenie Żukowskiej – ze świetną, liberalną ustawą aborcyjną będziemy wyp....ć z Unii, z Zachodu, z demokracji, w kierunku zupełnie przeciwnym do oczekiwanego. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „Kraju, w którym umrę”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. A poprzednia – **„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”** – nadal w księgarniach i w wersji cyfrowej na Publio.pl

Horror

Być może Graham Masterton był pod wpływem popularnego w latach 70. serialu „Banacek”. Tytułowy detektyw polskiego pochodzenia cytuje w nim rzekome stare „polskie przysłowia”

Michał Rusinek

Ponieważ zaczyna się właśnie druga cisza wyborcza, zostawmy polityków w spokoju i zajrzyjmy do literatury. W 1995 roku Graham Masterton — brytyjski pisarz, twórca horrorów — opublikował książkę zatytułowaną „The House That Jack Built”. Jeszcze tego samego roku wydawnictwo Albatros wydało polski przekład tej książki, autorstwa Andrzeja Szulca. Polska wersja książki nosi tytuł „Walhalla”, bo tak nazywa się rezydencja będąca miejscem akcji powieści. Prawdopodobnie wydawca doszedł do wniosku, że polscy czytelnicy chętniej sięgną po książkę o tytule nawiązującym do nordyckiej mitologii niż do mało znanej w Polsce rymowanki dla dzieci.

Mało znanej, nie znaczy nieznaney. W dodatku — mającej ciekawą historię. „The House That Jack Built” to wierszyk oparty na strukturze kumulatywnej: każda kolejna strofa zbudowana jest na bazie poprzednich, z dodatkiem (na początku) nowego wersu lub kilku, który powtarzany jest w kolejnych strofach. W anglosaskiej tradycji najbardziej znaną piosenką kumulatywną jest „Twelve Days of Christmas”, którą znają chyba wszystkie dzieci uczące się angielskiego. Prawdopodobnie pierwszy utwór kumulatywny znajduje się w Hagadzie Paschalnej z XIV wieku. Jest to rodzaj wyliczanki o koźlátku („Chad gadja”), śpiewanej podczas sederu w czasie święta Pesach. Nie wiadomo dokładnie, kiedy powstał tekst „The House That Jack Built”, ale James Orchard Halliwell, kolekcjoner i znawca angielskiej literatury dziecięcej był zdania, że pierwsza wersja utworu mogła powstać już w XVI wieku. Z pewnością wierszyk ten był już dobrze znany w połowie wieku XVIII.

W 1937 roku przetłumaczył go na język rosyjski Samuel Marszak, radziecki pisarz, dziennikarz, poeta i tłumacz (między innymi Szekspira) żydowskiego pochodzenia, jako „Dom, któryj postroił Dżek”. Jest to właściwie dość swobodna adaptacja angielskiego oryginału. Adaptację rosyjską zaadaptował następnie — również swobodnie — Jan Brzechwa, pisząc wierszyk „Tom”: „Nad rzeką stoi dom,/ który zbudował Tom.// To jest pies podwórzowy, Burek,/ który szczeka na cały dom,/ który zbudował Tom.// A to jest kot z podwórka,/ który podrapał Burka,/ który szczeka na cały dom,/ który zbudował Tom”. I tak dalej. Krótko mówiąc, wierszyk angielski, do którego nawiązuje w tytule Graham Masterton, trafił do literatury polskiej przez ZSRR, a więc dość okrężną drogą. A że swobodne adaptacje rządzą się swoimi prawami, z oryginału pozostała głównie struktura wiersza kumulatywnego i kilka zwierzęcych postaci, bo fabuła jest już całkiem inna.

Graham Masterton opatrzył swój horror trzema mottami: z Williama Burroughsa (prawdopodobnie z powieści „Delikatny mechanizm”) i Lucie Duff-Gordon (być może z „Listów z Egiptu”). Trzecie motto podpisane jest „Polish poem” i brzmi: „But every beginning is only a continuation/ And the book of fate is always open

in the middle”. Pomijając fakt, że ani Andrzej Szulc, ani wydawnictwo Albatros nie zadali sobie trudu, by ustalić, co to za wiersz i kto jest jego autorem lub autorką, zdumiewa sposób traktowania polskiej poezji przez Mastertona. Określenie „polski wiersz” brzmi nieco jak „polskie przysłowie”. Być może Masterton był pod przemożnym wpływem popularnego w latach 70. serialu „Banacek”. Tytułowy detektyw polskiego pochodzenia cytuje w nim rzekome stare „polskie przysłowia”, na przykład: „Tylko stonoga może usłyszeć wszystkie sto kroków swojego wujka”, „Nawet banknot o nominalie 1000 zł nie może stepować”, „Nawet gdy człowiek posmaruje się pachnącym olejkiem, może skończyć z obitą twarzą”, czy „Wilk, który zje wieśniaka na kolację, prawdopodobnie nie będzie potrzebował śniadania”. Trzeba przyznać, że były one wysoce poetyckie. Polska tradycja literacka jawi się Mastertonowi jak chińska mądrość, która nie ma autora — wystarczy, że jest chińska. Nie wiem, czy to dla polskiej poezji komplement, czy raczej wyraz pogardliwego do niej stosunku: ot, przedstawiciel egzotycznego narodu, zapewne o niewymawialnym, a więc i niewartym zapamiętania nazwisku, napisał coś, co warto użyć jako motto.

Stosunek Mastertona do polskiej poezji to jedna sprawa. Druga — to decyzja tłumacza i wydawcy: czy przetłumaczyć książkę tak, by ten ambiwalentny stosunek autora był widoczny, czy też oddać autorowi przysługę i zidentyfikować wiersz i jego autora lub autorkę. W 1995 roku internet dopiero raczkował, a Wisława Szymborska jeszcze nie zdobyła międzynarodowej sławy, rozumiem więc, że identyfikacja ta nie była sprawą prostą. „Walhalla” wciąż jest jednak dodrukowywana, można by więc było uściślić podpis pod cytatem. Rzecz trzecia i najważniejsza: zamiast tłumaczyć z angielskiego na polski coś, co powstało po polsku, można by po prostu zacytować fragment wiersza „Miłość od pierwszego wejrzenia”.

Fragment ten w oryginale brzmi: „Každy przecież początek/ to tylko ciąg dalszy,/ a księga zdarzeń/ zawsze otwarta w polowie”. Autorem przekładu, z którego skorzystał Masterton, jest Roman Gren, pisarz i scenarzysta, który wyemigrował do Francji i pracował jako tłumacz przy „Trzech kolorach” Krzysztofa Kieślowskiego. Prawdopodobnie Gren przetłumaczył ten właśnie wiersz dlatego, że pojawia się on w filmie „Czerwony” (śpiewa go Zbigniew Zamachowski do muzyki Zbigniewa Preisnera), który miał premierę w 1994 roku. Nie jest to przekład najlepszy, nawet nie jest dosłowny („księga zdarzeń” jest w nim „księgą przeznaczenia” czy „losu”), ale dopiero w tym samym roku, kiedy ukazała się „Walhalla”, opublikowano przekład wyboru wierszy Szymborskiej Stanisława Barańczaka i Clare Cavanagh. Być może Masterton nie miał do niego wglądu. A może by i zresztą miał, gdyby chciało mu się ustalić, kto jest autorką „polskiego wiersza”. Bo wiersze, nawet polskie, miewają autorów.

Polski przekład (Szulca) angielskiego przekładu (Grena) fragmentu wiersza (Szymborskiej) brzmi: „Ale każdy początek to tylko ciąg dalszy,/ a księga przeznaczenia otwiera się pośrodku”. Może i lepiej się stało, że pod tak koślawym zdaniem nie pada nazwisko noblistki. Ale można było (i nadal można, w dodrukach) zacytować oryginał i podpisać, jak należy. Tymczasem wydawca wprawdzie chciał uniknąć posługiwania się w tytule powieści odwołaniami do swobodnych przekładów angielskiego wierszyka dla dzieci, ale niechcący sam wpadł w translatorską pułapkę — i spowodował, że polska wersja książki Grahama Mastertona jest jeszcze straszniejszym horrorem niż oryginał. ●

Może nie są tak efektywni i kompetentni jak Brytyjczycy czy Francuzi, ale mają dwie przewagi: jest ich dużo i bardzo chcą wygodnie żyć

Z DZIENNIKARKĄ ŚLEDCZĄ, BADACZKĄ ROSYJSKICH SPECSŁUŻB **IRINĄ BOROGAN*** ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

WIKTORIA BIELIASZYN: Jak można opisać przeciętnego pracownika FSB?

IRINĄ BOROGAN: – To mężczyzna między 30 a 40 rokiem życia, niezbyt dobrze wykształcony, który wywodzi się albo z rodziny wojskowych, albo funkcjonariuszy FSB czy KGB. To człowiek wychowany w bardzo zamkniętym środowisku, odnoszący się z nieufnością do świata zewnętrznego, nieradzący sobie w warunkach konkurencji i bardzo dobrze zdający sobie sprawę z plusów pracy na rzecz systemu.

Po rozpadzie ZSRR KGB nie doczekało się prawdziwej reformacji ani lustracji. Ludzie, którzy w czasach radzieckich zajmowali się zwalczaniem dysydentów, nie zostali osądzeni i ukarani, kontynuowali działalność w strukturach nowych służb. Putin po dojściu do władzy zaczął wykorzystywać więc ludzi, których sposób myślenia w ogóle się nie zmienił.

Jedyną znaczącą różnicą jest to, że wcześniej kierowali się ideologią komunistyczną, a teraz wyznają ideologię kapitalistyczną – czyli wygodne życie i bogacenie się. Cała reszta się nie zmieniła. Pracownicy służb wiedzą doskonale, że ich głównym zadaniem jest popieranie i wspieranie reżimu na wszelkie możliwe sposoby, a w zamian dostaną od państwa ulgi i przywileje.

Co gorsza, są bezgranicznie lojalni wobec Putina, bo rozumieją, że tylko w stworzonym przez niego systemie są w stanie tak dobrze funkcjonować.

Jaka jest ich mentalność?

– Nawet ci, którzy służą od lat i mają na koncie sześćdziesiątkę, zmienili w pewnych kwestiach sposób myślenia. To już nie jest mentalność sowiecka. W czasach ZSRR służby bezpieczeństwa nie były skorumpowane, funkcjonariusze nie brali na każdym kroku łapówek ani nie zmuszali prywatnych firm do płacenia haraczy, bo zwyczajnie nie mieli takiej możliwości. A teraz jest to na porządku dziennym. I pracownikom służb bardzo się to podoba.

Wiadomo dlaczego. Wystarczy spojrzeć, jak wyglądały aresztowania generałów czy pułkowników FSB. Byli zatrzymywani w dworakach, pałacach, w których zresztą w gotówce przechowywali dziesiątki milionów dolarów.

Skąd tak wielkie pieniądze?

– FSB może wszczynać sprawy karne w każdej sferze i na każdym polu, jeśli tylko uzna, że coś lub ktoś stwarza zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Biznesmeni zdają sobie z tego sprawę, więc starają się zabezpieczyć przed prześladowaniem, płacąc FSB ogromne pieniądze.

FSB odpowiada też za tzw. kuratorowanie zamówień na technikę wojskową. To bezpieczeństwa decyduje, kto wygra przetarg, co również skutkuje wielkimi łapówkami.

Rosyjscy adwokaci często zwracają uwagę, że funkcjonariusze służb bezpieczeństwa żyją ponad prawem.

– Jeśli chodzi o FSB, to należy mówić właściwie o całkowitej bezkarności, bo tych służb absolutnie nikt nie kontroluje. Ani władze, ani prokuratura. Nikt. Nawet gdyby chciały, nie mają takiej możliwości, bo oficjalnie wszystko jest tajne.

Prokuratura, by wszcząć postępowanie przeciwko FSB, ma obowiązek najpierw je o tym planie powiadomić. Jest gorzej niż



Kim są ludzie FSB

DLA OJCZYZNY I PIENIĘDZY



• 28 czerwca 2018, jak co roku Putin zaprosił świeżych absolwentów akademii siłowych - szkół wyższych ministerstw obrony, sytuacji nadzwyczajnych i spraw wewnętrznych, więziennictwa, FSB, Federalnej Służby Ochrony i Rosgwardii (czyli gwardii narodowej) Federalna Służba Penitencjarna na Kremlu w Moskwie, Rosja, 28 czerwca 2018 r.

w ZSRR, bo wtedy KGB było kontrolowane przez partię, która bała się buntu, przewrotu i niełojalności. Dzisiaj nawet Putin nie wie dokładnie, co dzieje się w strukturach FSB, bo mają niezliczone oddziały w całej Rosji, co czyni je niemożliwymi do sprawdzenia. Funkcjonariusze umieszczają w raportach tylko to, co chcą.

I naprawdę na takiej glebie nie ma szans na zrodzenie się jakiegokolwiek oporu wobec władz? Choćby z poczucia bezkarności i chęci sięgnięcia po jeszcze więcej, po pełną władzę?
– Nie, ci ludzie w pełni podporządkowują się Putinowi. Są bezwolni. Oni nie mają własnych pomysłów, a nawet jeśli, to się nimi nie podzielią z innymi. Trudno stworzyć konspirację, spisek, kiedy każdy funkcjonariusz zdaje sobie sprawę, że wyleci z systemu, jeśli zdradzi się, że myśli się inaczej, w jakikolwiek sposób niezależnie. Że nie będzie dla niego miejsca ani w rządzie, ani w służbach.

A – już pomijając to, że potencjalny towarzysz spisku popędzi powiadomić górę, że strachu przed utratą przywileju i w nadziei na awans – skoro za ślepe wypełnianie rozkazów i odgadywanie życzeń przełożonych

jest się sowicie wynagradzanym, po co cokolwiek zmieniać?

To zacznijmy jak w grze, od pierwszych kroków w systemie. Z jakimi planami i ambicjami przyszły etatowy pracownik służb bezpieczeństwa trafia do pracy w „strukturach”?
– Rosyjskie służby to ogromna machina, w której pracują setki tysięcy osób. Nie należy myśleć, że ludzie, którzy tam idą, napędza jakaś specjalna miłość do ojczyzny czy etos. Przyszłych funkcjonariuszy przyciąga perspektywa stabilnej płacy. Ludzie służb mają wysokie pensje i liczne przywileje: leczą się na koszt państwa, jeżdżą do sanatoriów, dostają mieszkania, nie doświadczają żadnej konkurencji na rynku pracy.

90 proc. pracowników FSB i Służby Wywiadu Zagranicznego to osoby, których przodkowie również służyli w rosyjskich lub radzieckich służbach. W akademiach służb nierzadko uczą się trzecie i czwarte pokolenia tych samych rodzin.

Jakie wykształcenie mają ci ludzie?
– Ci, którzy chcą zostać oficerami, kończą najczęściej Akademię Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.



Rosyjskie MSW tworzy milion osób. Sama miejska policja w Moskwie to sto tysięcy funkcjonariuszy.

Do tego oczywiście FSB. A jeszcze jest Rosgwardia, OMON, OMSN i wiele innych

To uczelnia profilowana, trafiają na nią tylko ci, którzy chcą służyć w FSB. Wykładowcami są również pracownicy służb bezpieczeństwa, a sama uczelnia w żaden sposób nie konkuruje z innymi uczelniami wyższymi, co przekłada się na poziom nauczania. Powiedziałabym, że jest dość mierny. Nie to jednak jest największym problemem.

A co?
– Osoby, które decydują się na studia w akademii FSB, są skazane na izolację, bo mieszkają w specjalnych akademikach, nie spotykają studentów innych uczelni. A do tego najczęściej wywodzą się z rodzin pracowników służb, czyli już na starcie są mocno odseparowani od reszty społeczeństwa, bo oznacza to, że ich rodzice, którzy też najczęściej poznali się na studiach albo w pracy, mają wśród znajomych głównie innych funkcjonariuszy albo osoby związane w jakiś sposób z systemem.

Ci ludzie nie znają normalnego życia.

W szeregach można jednak znaleźć się też po zwykłej uczelni?
– Tak, i te osoby są o wiele lepiej wykształcone. Najczęściej nie zgłaszają się same, służby je werbują. Nie należy jednak przywiązywać się do tego radzieckiego mitu, który głosił, że do służb trafiają najbardziej wykształceni i światli ludzie. Władze próbują to wmawiać obywatelom.

I kierują się tylko interesownością? Ani trochę ideologią, w nic nie wierzą?

– Mają ideologię, choć nie można porównać jej znaczenia do wpływu, jaki miała ta radziecka na funkcjonariuszy.

Wtedy, mimo cynicznych nieraz postaw, wciąż istniała wiara może nie w komunizm jako taki, ale w to, że Związek Radziecki mimo wszystko buduje lepszy świat, że w świecie jest alternatywą dla kapitalizmu i Ameryki. Dzisiaj wierzą po prostu w siłę i należną im rolę. W to, że Rosja może i musi dominować na terenach byłego ZSRR, że Rosjanie mają prawo być najważniejsi na tych terytoriach, rozpowszechniać i narzucać swój język oraz kulturę. Że nikt poza Rosją nie może ingerować w ich politykę, a rządy tych państw muszą podporządkować się Kremlowi. Owszem, to jest jakaś ideologia – ale nie idea.

Ci ludzie popierają Putina, bo dzięki niemu mają to, co mają. Nie są w stanie sobie wyobrazić siebie poza systemem, bo to on ich karmi. No to dlaczego mają nie wierzyć, że Rosjanie są lepsi od Ukraińców, Polaków czy innych narodów, skoro ich pozycja, doświadczenie, potwierdza to, co słyszą to od władz? A skoro jedynym gwarantem stabilności i komfortu ich życia jest system Putina, to w ich interesie leży wzmocnianie go.

Ale jeśli miałabym powiedzieć, w co naprawdę szczerze wielu z nich wierzy, to że funkcjonariusze FSB wierzą, że Zachód chce zniszczyć Rosję.

Młode pokolenie Rosjan jest jednak inne od radzieckiego. Ci ludzie wychowali się w dużej mierze na produktach zachod-

niej kultury, część była na Zachodzie. To w żaden sposób nie wpłynęło na młodsze pokolenie funkcjonariuszy, na 30-50-latków?

– Błędne myślenie. W czasach radzieckich wiele osób uważało, że izolacja utwierdza w ideologii. Dzisiaj widzimy, że to nie tak. Spójrzmy na Dmitrija Miedwiediewa, byłego prezydenta i premiera Rosji, który nigdy nie ukrywał, że jest fanem zachodniej kultury i technologii.

Ten sam człowiek dzisiaj jest najbardziej zagorzałym piewcą wojny przeciwko Ukrainie, apeluje o użycie broni jądrowej. Można więc uznać, że kultura w jakimś stopniu wpływa na ludzi, ale nie w sposób kardynalny. Funkcjonariusze FSB zapewne z przyjemnością oglądają amerykańskie filmy, bo to kawał dobrego kina, ale nie przeszkadza im to, by służyć wiernie systemowi.

I nie ma nic, co by im dzisiaj w tym systemie nie pasowało?

– Oni okazują niezadowolenie tylko ze względu na fakt, że niekiedy są wysyłani do strefy działań wojennych albo w tzw. nowe regiony, czyli na okupowane ukraińskie terytoria. Nie na to się pisali. W ich wyobrażeniu pracownik FSB ma siedzieć w gabinecie, pisać raporty, inwigilować opozycję, wsadzać do więzienia, przesłuchiwać, straszać przeciwników Kremla, a nie – ryzykować własnym życiem. Sama wojna im nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, tyle że nie chcą się do niej zbliżać osobiście.

Jasne, nie podoba im się też to, że nie mogą już jeździć do Niemiec czy Włoch, i to już od aneksji Krymu, ale zdają sobie sprawę, że to mała niedogodność, niska cena za komfort.

Ile jest prawdy w opiniach, że do tragedii w Crocus City Hall doszło, bo służby przez lata zajmowały się prześladowaniem dysydentów, a nie zwalczaniem terroryzmu?

– Ten zamach to bardzo zaplątana historia. Jeśli chodzi o islamski terroryzm, to rosyjskie służby dość dobrze sobie z nim radzą. Metody mają dość straszne, bo wykorzystują tortury, ale trudno odmówić im skuteczności. I z łatwością inwigilują podejrzane grupy, bo agenci – a jak nie agenci, to donosiciele – są wszędzie: w meczetach, w szkołach, w ważnych instytucjach. Nie brakuje też osób, które walczyły po stronie tzw. Państwa Islamskiego i wróciły do Rosji rozczarowane.

Na dzień przed zamachem pod Moskwą służby przeprowadziły operację w Kałudze, gdzie rozbiły grupkę terrorystów związanych z tzw. Państwem Islamskim Chorasana, odpryskiem ISIS działającym w post-sowieckiej Azji, co potwierdza tylko, że miały informację o planowanym zamachu.

To co poszło nie tak?

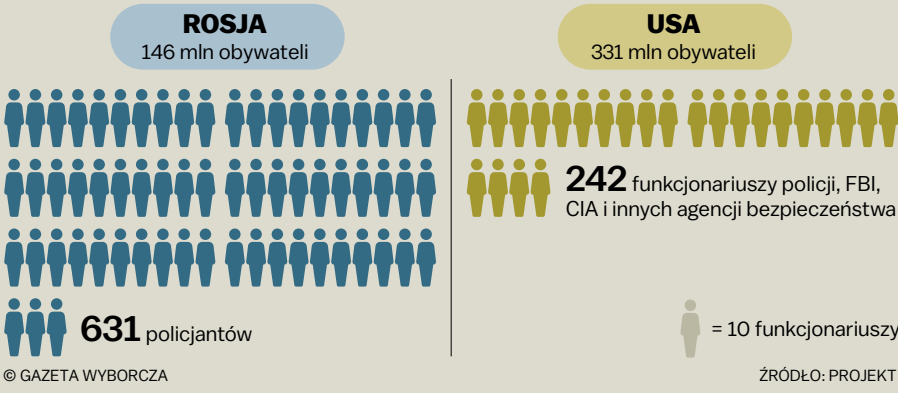
– Kiedy Amerykanie ostrzegli Rosję przed możliwym zamachem, Putin powiedział, że to prowokacja i próba zastraszenia. Wydał taką opinię, mimo że współpraca wywiadowcza w kwestii terroryzmu zawsze funkcjonowała bardzo dobrze, niezależnie od sytuacji geopolitycznej, bo wszyscy zdają sobie sprawę, że zorganizowani dżihadysty są zagrożeniem dla całego świata. Po tej wypowiedzi prezydenta Rosji funkcjonariusze FSB nie mieli wyboru: musieli porzucić robotę.

Tak po prostu, chociaż wiedzieli, że Putin może się mylić?

– A co mieli zrobić? Gdyby dalej węszyli, zostałoby to uznane za sprzeciw wobec prezydenta. Nawet jeśli szeregowy funkcjonariusz z oddziału walki z terroryzmem nie mógł się z tym pogodzić, to co najwyżej zgłosił uwagi przełożonemu. A ten, przy dobrych wiatrach, swojemu. Tylko co z tego, skoro i tak w pewnym momencie głos zabrać musiał generał, który nie mógł powiedzieć nic innego niż: „Zwariowaliście? Nie słyszeliście, co prezydent powiedział? To amerykańska prowokacja”.

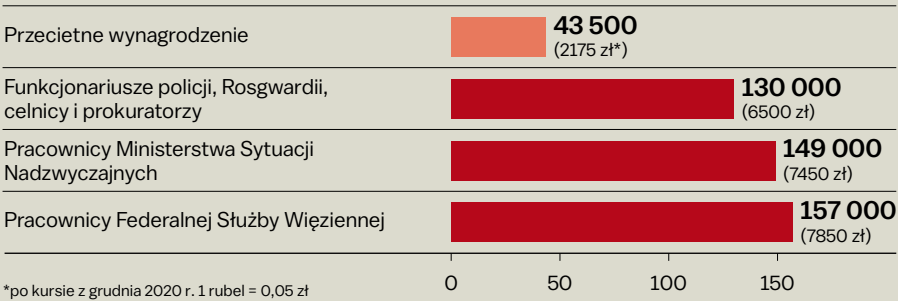
Liczba funkcjonariuszy sił porządkowych w stosunku do liczby ludności

Liczba policjantów na 100 tys. mieszkańców



Relacja wynagrodzenia siłowników do średniego wynagrodzenia w Rosji

Średnie wynagrodzenie roczne w rublach, dane za 2020 r.



Oficjalne dane Rosstatu mogą być mylące. Średnią zarobków zawyżają pensje najwyższych rangą funkcjonariuszy i kierowników, które wraz z premiami mogą sięgać milionów rubli. Iłja Szumanow, zastępca dyrektora generalnego Transparency International szacował w 2020 r., że pensje oficerów FSB nie przekraczają 100 000 rubli. Oprócz pensji szeregowi funkcjonariusze FSB dostają darmowe ubezpieczenie, dodatkowe wynagrodzenie za podróże służbowe, mieszkania i wcześniejszą emeryturę (37-40 lat). Mogą także skorzystać ze specjalnego, państwowego programu kredytów hipotecznych.

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: PROJEKT

Do podobnej sytuacji doszło zresztą na początku wojny, kiedy służby przekazywały Putinowi takie informacje o Ukrainie, jakie chciał usłyszeć. Stąd to jego słynne, ponoć szczere przekonanie, że Ukraińcy będą witać rosyjską armię kwiatami.

Jak to wpłynęło na stosunek Putina do służb?

– Początkowo ukarał Siergieja Biesiedę, dowódcę wydziału piątego Federalnej Służby Bezpieczeństwa, odpowiedzialnej za nadzorowanie operacji wywiadowczych i działań międzynarodowych. Osadził go nawet w areszcie. Ale później go uwolnił i przywrócił do pracy.

To stalinowska metoda. Stalin też uważał, że swoich ludzi trzeba straszać i wsadzać za kraty, a potem ich rehabilitować i przywracać, bo wszelkie reformy, krytyka i kary w czasie wojny są bardziej niebezpieczne od nieefektywnej pracy. Widzimy to też na przykładzie zamachu w Crocus City Hall. Władze nie ukarały żadnego znaczącego człowieka służb.

A jaką rolę odgrywa dzisiaj FSB w systemie rosyjskich władz?

– Służby bezpieczeństwa są głównym narzędziem zastraszania. Kreml wykorzystuje je do podporządkowywania sobie nie tylko zwykłych ludzi, ale i elit, zduszania wszelkich możliwych protestów.

Z tego, co widzimy, na coraz większą skalę.

– Tortury były zawsze stosowane wobec dysydentów oraz tych, którzy mieli cokolwiek wspólnego z działalnością terrorystyczną. Tylko że władze się do nich nie przyznawały. Zawsze, kiedy umierał więzień lub przesłuchiwany, mówili, że albo zmarł na skutek przewlekłej choroby, albo że popełnił samobójstwo. Sytuacji, kiedy zatrzymanemu odcięto ucho, włożono je mu później do ust, a następnie pokazano to w państwowej telewizji, nigdy wcześniej nie było. Nagle stało się to legalne.

Dlaczego?

– Mimo że sprawa dotyczy zamachu, to tak naprawdę sygnał, który władze wysyłały wszystkim przeciwnikom. Chcą zastraszyć Rosjan, pokazać im, że mogą spodzie-

wać się podobnego traktowania, jeśli ośmielą się sprzeciwić.

Zgodzi się pani z diagnozą, którą po zamachu zachodni eksperci postawili rosyjskim służbom? Wielu podkreślało, że nieudolność ich działań świadczy o wewnętrznym rozkładzie.

– Nie należy porównywać rosyjskich służb z zachodnimi. Rosyjskie nie są w żaden sposób kontrolowane z zewnątrz, nawet przez prokuraturę. Są skorumpowane, nie przestrzegają prawa. Może i nie są tak efektywne, jak francuskie czy brytyjskie, ale mają jedną znaczącą przewagę: są bardzo liczne. Rosyjskie MSW tworzy milion osób. Sama miejska policja w Moskwie to sto tysięcy funkcjonariuszy. A jeszcze jest Rosgwardia, OMON, OMSN i wiele innych. Biorąc pod uwagę ich liczebność oraz fakt, że w państwie autorytarnym można sobie na wiele pozwolić, nie da się mówić o ich nieefektywności. Zamach w Crocus City Hall służby przegapiły przez Putina. System, w którym wszyscy podporządkowani są jednemu przywódcy, ma to do siebie, że wszyscy czują przed nim strach.

A co ci ludzie myślą o wojnie z Ukrainą?

– Nie podoba im się, że nie ma zwycięstwa i że Ukraińcy okazali się być tak silni. Wierzą w nową doktrynę, że rosyjska armia walczy z całym Zachodem i NATO. Przeciagająca się wojna bardzo ich denerwuje. Na średnich i niższych szczeblach krytykują przede wszystkim ministra obrony Siergieja Szojgu, Putin jest dla nich tym metaforycznym „dobrym carem”.

Czyli na przewrót nie ma co liczyć?

– W tym momencie nie widzę żadnych przesłanek. Ci ludzie są bardzo dobrze opłacani, wygodnie im się żyje, dostają od państwa mieszkania i wysokie premie za delegacje.

Co więcej, w Rosji nie ma kryzysu, na który liczył Zachód, nakładając sankcje. Gospodarka sobie poradziła, w Moskwie jest wszystko, co było przed wojną: i francuskie perfumy, i włoskie ubrania. Jasne, kosztują więcej, ale nie można mówić o deficycie, klasę średnią stać. A klasa niższa żyje biedniej, gorzej, ale w Rosji od zawsze ma wysoki poziom tolerancji na niewygody i życiowe trudności. Głodu nie ma.

Pamiętajmy jednak, że sytuacja może się zmienić, wszystko zależy od rozwoju wypadków na froncie.

Czyli może pani sobie wyobrazić sytuację, w której FSB występuje przeciwko Putinowi? Ufff.

– To myślenie życzeniowe, którego głodny jest Zachód. Nie należy się tym zajmować, trzeba patrzeć na rzeczy realnie. Mam w sobie ogromny sprzeciw, jeśli chodzi o myślenie życzeniowe, bo wyrosłam w kraju, w którym kłamstwa, brak krytyki i wyolbrzymienia były na porządku dziennym i do niczego dobrego nie doprowadziły.

Zachodnie media donosiły, że jednym ze skutków napaści na Ukrainę jest osłabienie rosyjskich sieci szpiegowskich.

– W pierwszych miesiącach po rozpoczęciu pełnowymiarowej wojny doszło do masowych odesłań pracowników rosyjskich ambasad w Europie. Z Unii Europejskiej do Rosji wróciło wtedy około 600 osób – i to byli przede wszystkim pracownicy służb specjalnych i agenci wywiadu. Po największym wpływowym przedstawicielu rosyjskich sił wywiadowczych z Europy w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Wydawać by się mogło, że to ogromny cios, prawda? Tylko że służby okazały się sprytnie i zaczęły wykorzystywać inne źródła.

Jakie?

– Ogromną sieć agentów w całej Europie tworzą różni ludzie o bardzo różnych możliwościach. Przede wszystkim to zwerbowani agenci albo osoby zaufane, z którymi współpraca pogłębiała się ze względu na sprzyjające okoliczności, np. w krajach, w których od lat rozwijał się rosyjski biznes, choćby gazowy czy naftowy.

Prócz tego w Europie Wschodniej wciąż przebywają byli pracownicy służb, którzy w czasach radzieckich tworzyli sieć wywiadowczą i są w stanie ją dzisiaj odnowić. Ogromny potencjał tworzy też rosyjska diaspora. Rosjanie, ludzie, którzy mają rosyjskie korzenie albo czują się Rosjanami, czyli choćby radzieccy emigranci, są wszędzie.

Gdzie najczęściej?

– Bardzo wielu mieszka w Czechach czy Niemczech. Najczęściej mają w Rosji krewnych, często prowadzą biznes w Rosji. Takich ludzi łatwo zwerbować. Widzimy, że to się odbywa.

Spójrzmy choćby na jeden z niedawnych przypadków: w lutym w Wielkiej Brytanii zatrzymano grupę obywateli Bułgarii, którzy szpiegowali na rzecz Rosji. Ci ludzie tu mieszkali od lat, ich dzieci w pełni zintegrowały się z brytyjskim społeczeństwem, a oni sami wykonywali absolutnie zwyczajne prace, przez lata nie wzbudzając podejrzeń. Jak się okazało, ci zwykli ludzie byli jednocześnie zaangażowani w trudne operacje.

Ale chyba to przekłada się na jakość? Wykształconego, doświadczonego szpiega trudno zastąpić nowicjuszem.

– Oczywiście, to nie są profesjonaliści, ale mogą być niezwykle przydatni. Nie zawsze chodzi przecież o specjalistyczną, ryzykowną operację. Niekiedy potrzebny jest ktoś, kto kogoś gdzieś zakwateruje albo coś mu przekaże w odpowiednim czasie i miejscu. Taka pomoc w logistyce operacyjnej jest nieoceniona.

Dlatego daleka jestem od stwierdzeń, że rosyjskie służby bezpieczeństwa nie dają sobie rady. Wręcz przeciwnie, zjednoczyły się, skonsolidowały i zaczęły wykorzystywać zupełnie nowe możliwości.

Co motywuje ludzi, którzy od lat mieszkają w Europie, korzystają z bezpieczeństwa, wolności, komfortu, a mimo to decydują się na współpracę ze służbami bezpieczeństwa?

– Powodów jest mnóstwo. Po pierwsze, nie zapominajmy, że wbrew pozorom nie tak mało – z punktu widzenia werbujących – jest w Europie ludzi, którzy lubią Puti-

na. Nie potrzeba przecież tysięcy osób, wy-
starczą setki, a nawet dziesiątki. Kolejne ar-
gumenty są bardziej prozaiczne: pieniądze,
kontakty, możliwości, ale też szantaż, zastra-
szania.

Rosyjscy emigranci często czują się na
obczyźnie źle, niepewnie, nie zawsze sobie
radzą. Jeśli służby dostrzegą w takim czło-
wieku potencjał, to będą starały się go „za-
opiekować” i wesprzeć w sposób, którego
dana osoba akurat potrzebuje.

Celem mogą być też osoby z przeciwnego
bieguna, czyli osiągający sukcesy biznesme-
ni, którzy chcą nadal prowadzić, dajmy na
to, rosyjsko-niemieckie interesy.

Na jakich zadaniach koncentrują się dzisiaj rosyjskie służby?

– Lista jest długa: gromadzenie informacji,
sianie dezinformacji, przeprowadzanie róż-
nego rodzaju operacji, działania dywersyj-
ne i likwidowanie wrogów reżimu, żyjących
obecnie na emigracji. Niedawno w Wilnie
napadnięto Leonida Wolkowa, który przez
lata był współpracownikiem Aleksieja Na-
walnego. Sprawcy nie zostali schwytani, ale
nie ma wątpliwości, że za atakiem stoją ro-
syjskie służby.

Kremlowi nie wystarczy, że opozycjoniści wyjechali z kraju?

– Dla rosyjskich władz bardzo ważne jest, by
rozpoznawalnych, wyraźnych opozycjoni-
stów zlikwidować, a pozostałych zastraszyć.

Putin boi się rewolucji. Kreml interpre-
tuje historię tej październikowej tak: gru-
pa rewolucjonistów żyjących na wygnaniu
wróciła do kraju dzięki pomocy finansowej
z Niemiec i dokonała przewrotu. To oczy-
wiście bardzo płytkie postrzeganie historii,
nieuwzględniające nastrojów wewnątrz im-
perium carów, ale Putinowi ono wystarczy.
Dla niego Wolkow i inni znani opozycjoni-
ści to współczesny Lenin czy Trocki, którzy
w dowolnym momencie mogą wrócić, oczy-
wiście finansowani przez Zachód, by oba-
lić reżim.

Z Andriejem Soldatowem opisywaliśmy
to już przed laty: im bardziej władze będą
w strachu, tym łatwiej i więcej będą zabijały.
Nasze prognozy okazały się prorocze.

Już dawno mówiła pani, że Rosja i Iran to jedyne państwa, które mają w tradycji likwidowanie opozycjonistów, nawet jeśli przebywają za granicą.

– To się zmieniło. Kiedyś władze innych
państw ograniczały się do zastraszania
przeciwników politycznych, ale brutaliza-
cja eskaluje. Przypomnijmy Dżamala Kha-
shoggiego, saudyjskiego dziennikarza i ko-
mentatora politycznego, który został zabity
i poćwiartowany w ambasadzie Arabii Sau-
dyjskiej w Turcji, dokąd przyszedł po doku-
menty. Mimo szumu medialnego nie było
stosownej reakcji na to zabójstwo, więc pań-
stwa takie jak Chiny, Indie i wiele innych po-
traktowały to jako sygnał: można tak postę-
pować ze swoimi oponentami.

Bardzo często słyszę od zaprzyjaźnionych opozycjonistów i aktywistów, którzy musieli wyjechać z Rosji, że obawiają się pójść do ambasady. Wiele przechowuje paszporty w specjalnych opakowaniach, by nie dopuścić do ich zniszczenia, co z kolei część osób na Zachodzie postrzega jako paranoję.

– A to żadna paranoja, to zupełnie ade-
kwatny i uzasadniony strach. Mnóstwo ro-
syjskich emigrantów jest poszukiwanych
w Rosji listem gończym ze względu na anty-
wojenne poglądy, część została już nawet za-
ocznie skazana w pokazowych procesach.
Ci ludzie są celem. Mogą spodziewać się
wszystkiego: i tego, że zostaną zlikwidowa-
ni, i porwania. Te osoby nie powinny zbliżać
się do rosyjskich ambasad.

Rzadko jednak słyszymy o takich przy- padkach.

– Przedstawiciele opozycji są regularnie za-
straszani. Mowa nie tylko o politykach, ale
i o niezależnych dziennikarzach, aktywi-
stach. Przebywające w Europie dziennikar-

FSB to już nie jest mentalność

sowiecka. W czasach ZSRR

funkcjonariusze nie brali na

każdym kroku łapówek ani nie

zmuszali prywatnych firm do

płacenia haraczy, a teraz jest to na

porządku dziennym

ki niezależnego portalu śledczego Ważny-
je Istorii otrzymały jednoznaczny sygnał, że
służby bardzo dokładnie je obserwują i wie-
le o nich wiedzą. Tuż przed wyjazdem w de-
legację dostały od nieznanych osób z Ro-
sji skany swoich biletów, kopie rezerwacji
mieszkań i hoteli, w których miały się za-
trzymać.

Dziennikarka innego portalu śledczego,
która relacjonowała m.in. wojnę w Ukrainie,
dostała na komunikatorze nagranie, na któ-
rym zarejestrowano rozmowę jej rodziców.
Miała ona miejsce w ich mieszkaniu w Mo-
skwie. Służby zademonstrowały jej, że śle-
dzą jej rodzinę.

Kilka miesięcy temu niezależne rosyj- skie media ujawniły, że co najmniej trzy opozycjonistki zostały w Europie zatrute nieznaną substancją chemiczną.

– Otrucia czy zatrucia mają silniejszy efekt
psychologiczny od pobicia.

Jak oni trują?

– Nie ma jednego ani nawet kilku scenariu-
szy. Jest tylko jedna reguła – każdego czło-
wieka, do którego jest dostęp, można otruć.

Można nasypać substancji do picia czy je-
dzenia. Albo zostawić ją na przesyłce kurier-
skiej czy pocztowej. Siergiejowi Skripalowi,
byłemu oficerowi służb, który w latach 90.
szpiegował dla Brytyjczyków, posmarowano
trucizną długopis.

Na przestrzeni lat służby usiłowały otruć
wiele osób. To, że nie zawsze im się uda-
wało, zależy od różnych czynników: za ma-
łą porcją trucizny albo ktoś nie dopił zatra-
tej herbaty. Nawalnego uratowali niemiec-
cy lekarze, Władimira Kara-Murzę rosyjscy.
Podobnie było w przypadku Anny Politkow-
skiej i Dmitrija Bykowa. Oboje, jak Nawalny,
źle poczuli się w samolocie, co również jest
nieprzypadkowe: w powietrzu trudno jest
szybko uzyskać pomoc medyczną, ryzyko
śmierci rośnie.

Pamiętam wywiad, którego rosyjskim mediom rządowym udzielili agenci usiłujący zabić Skripala. Trudno było nie zauważyć, że nie odznaczali się specjalną inteligencją, jakiej można by oczekiwać od agentów działających na taką skalę i to poza granicami Rosji.

– Kreml ma inne cele. Oczywiście, idealnie
byłoby, gdyby operacja likwidacji przebie-
gła tak, by nikt się nie zorientował, kto za nią
stoi, a przynajmniej – by nie miał 100 pro-
cent pewności. Ale najważniejszy jest efekt
końcowy: zniszczenie wroga i zasianie stra-
chu.

Agenci, z którymi wywiad przeprowadzi-
ła Margarita Simonian, przy okazji ich de-
anonimizując, zawalili operację, jeśli chodzi
o imidż. Ale odnieśli też sukces: Skripał zo-
stał odratowany, ale znacznie podupadł na
zdrowiu, ucierpiała też jego córka – i strach
wśród krytyków Kremla znacznie wzrósł.
Krótco po tym wydarzeniu regularnie od-
bierałam telefony od różnych Rosjan, nawet
od dziennikarzy piszących o kulturze, któ-
rzy pytali, czy to możliwe, że to bezpieka. By-
li przerażeni, choć sami zupełnie nie mieli
do czynienia z władzami.

Ludzie tacy jak Wadim Krasikow, który w berlińskim parku zastrzelił byłego czeczeńskiego dowódcę, który zaszedł Rosjanom za skórę podczas agresji na Czeczenie, są gotowi spędzić resztę życia w więzieniu?

– Nie sądzę, by Krasikow uważał, że spędzi
resztę życia w więzieniu. Jest przekonany, że
wróci do Rosji i jeszcze zostanie nagrodzo-
ny. Sam Putin mówił przecież, że to prawdzi-
wy rosyjski patriota.

Od początku wojny na pełną skalę wła-
dze zajmują się także braniem zakładników,
obywateli innych państw, którzy z różnych
powodów znaleźli się na terytorium Rosji.
Robią to z myślą o tym, by traktować ich ja-
ko przedmiot targu. Jedną z takich osób jest
amerykański dziennikarz „Wall Street Jour-
nal” Evan Gerschkovich.

Rozumiem, że teraz władzom jeszcze mniej zależy na zachowaniu jakichkol- wiek pozorów?

– Rosja stała się pariasem, Putin jest ścigany
międzynarodowym listem gończym. Wła-
dze i służby pozwalają sobie na coraz więk-
szą brutalność i dlatego, że nie mają już po-
trzeby udawania, i dlatego, że nie mają do-
kład się wycofać.

Skutkuje to nie tylko zwiększoną prze-
mocą, ale i angażowaniem wszystkich moż-
liwych sił. Wcześniej trudno było sobie wy-
obrazić, by od dzieci gubernatorów albo
oligarchów wymagano jakichś działań na
rzecz państwa, a tym bardziej – działalności
szpiegowskiej. A teraz wiemy, że syn byłego
gubernatora Kraju Krasnodarskiego, boga-
ty biznesmen, po inwazji na Ukrainę był wy-
korzystywany jako szpieg i człowiek, które-
go zadaniem było ułatwianie obchodzenia
sankcji. Został aresztowany we Włoszech,
potem władze z pomocą serbskich gangste-
rów go odbiły i sprowadziły do kraju. Podob-
nych, choć może mniej efektywnych histo-
rii jest więcej.

Co tymi ludźmi kieruje?

– Nie mają innego wyjścia. Nikt ich nie pyta
o zdanie, nie prosi. To rozkaz. Albo bierzesz
udział w „specjalnej operacji wojennej” i po-
magasz władzom, jak możesz, albo oddajesz
to, co wcześniej od tych władz dostałeś.

Nie jest tajemnicą, że funkcjonariusze FSB są obecni w Rosji w każdej ważniej- szej instytucji. Jak to działa?

– To cały aparat oficerów działających pod
przykrywką. FSB oddelegowuje swoich ludzi
do wszystkich strategicznie ważnych insty-
tucji: przedsiębiorstw, banków, uczelni, fa-
bryk, zakładów pracy, firm, organów władzy.
W dużym, ważnym banku taką osobą naj-
częściej jest ktoś w stopniu generała, który
formalnie pracuje w na jakimś eksponowa-
nym stanowisku. Jego zadaniem jest rzecz
jasna śledzenie, co dzieje się w danej firmie.

A przeciętny Rosjanin, który ogląda pań- stwową telewizję, jest świadomy tego, że nieustannie znajduje się pod lupą?

– Przeciętny Rosjanin bardzo dobrze wie,
że lepiej nie zabierać głosu na pewne tema-
ty. Ma świadomość, że jeśli napisze za du-

żo w mediach społecznościowych, to mo-
że nawet zostać zamknięty. W latach 90. ten
strach przed władzami osłabł, ale Putin go
przywrócił. Fraza „to nie jest rozmowa na te-
lefon” znów jest żywa. Ludzie rozumieją, że
mogą być podsłuchiwani i szpiegowani.

Przypomniała mi się historia kobiety, sa-
motnej matki dwójki dzieci, która chciała
pójść na pogrzeb Nawalnego, który oficjal-
nie nie był przecież zabroniony. Ona miała
jednak świadomość, że władze mogą zatrzy-
mać i aresztować, kogo tylko chcą, oskar-
żyć o działalność terrorystyczną albo ekstre-
mistyczną. A już na pewno kogoś, kto idzie
okazać żal i cześć najsłynniejszemu Rosja-
ninowi z takimi zarzutami. Więc przed wyj-
ściem z domu zapakowała do plecaka ter-
mos z herbatą, jedzenie, bieliznę na zmią-
nę, leki, które przyjmuje na stałe, podpaski,
bo wiedziała, że do aresztu w takiej sytuacji
można trafić nawet na miesiąc. Upředzi-
ła krewnych, by w razie czego zaopiekowa-
li się dziećmi.

To jaki w końcu Rosjanie mają stosunek do służb bezpieczeństwa?

– Policji się obawiają, bo wiedzą, do czego
jest zdolna i oburza ich bezprawie, jakiego
dopuszczają się funkcjonariusze.

A o FSB zbyt wiele nie myślą. Nie tylko
ze strachu. Świadomość, że „ktoś na pewno
słucha”, każdy ma w tyle głowy od pokoleń,
natomiast świadomie mało kto zastanawia
się nad służbami, bo przeciętny Rosjanin
może nigdy nawet nie zetknąć się osobiście
z pracownikiem służb bezpieczeństwa.

Jeśli coś o nich wie, to tyle, ile od lat mó-
wi stereotyp – że to ludzie, którzy odpowia-
dają za bezpieczeństwo w państwie, ale ze
skłonnością do korupcji.

Służby nie tylko szpiegują, kradną infor- macje, korumpują, zdobywają agentów wpływu – również dezorganizują i wywie- rają na społeczeństwa, a więc na politykę, wpływ pośredni, poprzez dezinformację. Jak się przed nią chronić?

– To bardzo trudne. Rosyjska dezinformacja
to nigdy nie jest stuprocentowe kłamstwo,
które można obnażyć. Do tworzenia dezin-
formacji wykorzystywany jest jakiś realny
negatywny fakt z życia Zachodu, istotny dla
społeczeństwa, który jest rozdmuchiwany
do niemożliwych rozmiarów. Np. migranci
czy uchodźcy z Syrii.

Siewcy dezinformacji wynajdują jakiś in-
cydent, np. zabójstwo, którego rzeczywiście
dokonał w Europie jakiś Syryjczyk. Rozpo-
wszechniają tę informację na ogromną ska-
łę, ale już okraszoną własną interpretacją,
teoriami konspiracyjnymi, opiniami, z któ-
rych wynika na przykład, że to wszystko
efekt zмовy między politykami, którzy chcą
sprowadzić jak największą liczbę migran-
tów do kraju.

Służby są sprytne. Nie wymyślają proble-
mów, uderzają w te, które są realne. ●



Irina Borogan

• starszy pracownik Centrum Analiz Polityki
Europejskiej, rosyjska dziennikarka śled-
cza, współzałożycielka portalu Agentura.ru,
zajmującego się monitorowaniem działal-
ności rosyjskich służb specjalnych, autorka
książek „The Restoration of Russia’s Security
State and the Enduring Legacy of the KGB”
(2010), „The Red Web: The Kremlin’s Wars on
the Internet” (2015), „The Compatriots: The
Brutal and Chaotic History of Russia’s Exiles,
Émigrés, and Agents Abroad” (2019).

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Gilles Kepel:

„GLOBALNE POŁUDNIE”
TO IDEOLOGICZNA MISTYFIKACJA

7 października 2023 i jego dające się zaobserwować konsekwencje już zaowocowały próbą całkowitej przebudowy moralnego porządku świata. To data ważniejsza nawet niż 11 września 2001.

Alexandre Devecchio,
Martin Bernier

LE FIGARO



przez armię izraelską (IDF) w Gazie. Czy wolno lub należy określić tym samym słowem oba te wydarzenia? Gilles Kepel: Nie chcę w ogóle zrównywać masakry w Gazie z pogromowym rajdem Hamasu – po arabsku jest słowo to określające: „razzia” – tylko wykazać, że 7 października i jego dające się zaobserwować konsekwencje już zaowocowały próbą całkowitej przebudowy moralnego porządku świata.

Eksterminacja Żydów z rąk nazistów wytworzyła pewien konsensus między dawnym blokiem wschodnim a Zachodem, którego dobitnym przykładem były procesy norymberskie w drugiej połowie lat 40. Jednak dziś w wielu krajach „globalnego Południa”, a nawet w niektórych środowiskach europejskich i w kręgach badaczy z nowej generacji, pamięć o 7 października ulega względnie łatwemu wymazaniu z powodu późniejszej hekatombi w Strefie Gazy.

Etycznym fundamentem porządku światowego przestaje być hasło „nigdy więcej”, oparte na pamięci o hitlerowskim koszmarze, tylko walka z kolonizacją, zredefiniowaną z czasem jako ludobójstwo. Geopolityczny ład zmienia się wraz z zastąpieniem konfrontacji między Zachodem a blokiem wschodnim przez pojmovany esencjalistycznie konflikt Północy, będącej stopniowo nosicielem wszelkiego moralnego zła, z „globalnym Południem”, które staje się uosobieniem wszelkich cnót.

Do epistemologicznego – a przede wszystkim ideologicznego – odwrócenia ról wykorzystano właśnie Holokaust. Republika Południowej Afryki wniosła przeciwko Izraelowi do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze oskarżenie o ludobójstwo, co oznacza, że Izrael, państwo żydowskie powołane do życia dzięki decyzji ONZ z 1947 roku właśnie dlatego, że Żydzi padli ofiarą nazistowskiego ludobójstwa, stał się sam ludobójcą – a więc nie jako utracił legitymację.

Pisze pan o nowej zimnej wojnie między „globalnym Południem” a Zachodem. Ale czy koncepcja „globalnego Południa” nie budzi wątpliwości, zwłaszcza po ataku dżihadystów w Rosji?

– Istotnie, „globalne Południe” to pojęcie-worek, które nie uwzględnia też faktu, że wieloma tymi państwami, mającymi uosabiać wspólne progresywne dobro i przyszłość, rządzą nieliberalne, depczące wolność reżimy, a przede wszystkim pomija to, że duża część mieszkańców Południa, o którym tu mowa – uciskanych przez autorytarne władze ofiar ich upadku



• Demonstracja domagających się natychmiastowego zakończenia izraelskich ataków w Gazie, przed gmachem nowojorskiej giełdy, 15 kwietnia. FOT. REUTERS/SHANNON STAPLETON

i zepsucia – pragnie zamieszkać na rzekomo zniechęconej, ale demokratycznej i zamożnej Północy. Najnowszym tego przykładem jest decyzja Ursuli von der Leyen i szefów państw Unii Europejskiej o zaplaceniu prezydentowi Egiptu as-Sisiemu 7,5 mld euro, by zapobiec potencjalnemu napływowi Palestyńczyków do Egiptu, a stamtąd, oczywiście, nielegalnie do Europy, wskutek spodziewanego izraelskiego ataku na Rafah przy granicy Strefy Gazy.

Mamy tu do czynienia nie tylko z wielką ideologiczną mistyfikacją, ale też z geopolityczną brednią, bowiem używane coraz powszechniej termin „globalne Południe” po prostu skupia dawny tzw. trzeci świat i znaczną część dawnego bloku wschodniego, która nie zintegrowała się z Unią Europejską, tj. Chiny Xi Jinpinga oraz putinowską Rosję.

Nawiasem mówiąc, Władimir Putin próbował bezskutecznie pogodzić Palestyńczyków, chcąc jednoczyć Hamas z Fatahem i rozwijając czerwony dywan przed przywódcą antyizraelskiej „osi oporu”, najwyższym przywódcą Iranu Chameneim. Jednak ciousem w plecy okazał się dla niego zamach w Moskwie, do którego przyznało się Państwo Islamskie Prowincji Chorasam, ugrupowanie skupiające ultraradykalnych sunnitów z muzułmańskiego pasa od południowej Rosji po Azję Środkową, Afganistan i sunnicką, północno-wschodnią prowincję Iranu, Beludżystan.

Doświadczenie zdobywali w Syrii, walcząc w szeregach Państwa Islamskiego z Baszarem al-Asadem i wspierającymi go Rosjanami. Stąd obsesja Rosjan na punk-

cie własnego „globalnego Południa”. Kreml, mieniający się liderem alternatywnej wobec Zachodu grupy BRICS+, stanął w obliczu dżihadystycznego zagrożenia na własnym podwórku. Przyrost naturalny w grupie etnicznych Rosjan jest niezwykle niski, niższy niż w Unii Europejskiej, podczas gdy populacja muzułmańska w Federacji Rosyjskiej, od Kaukazu po Azję Środkową, stanowi obecnie 20 proc. ogółu i za dziesięć lat sięgnie 30 proc. Zakłóci to równowagę sił, z czym Moskwa nie radzi sobie najlepiej. Paradoksalnie, aspirujący lider „globalnego Południa” ma wszelkie cechy kraju Północy!

Mówi pan o „zderzeniu cywilizacji à rebours” jako dziele wrogów Zachodu. Jakiego rodzaju cywilizacji chce bronić demaskowane przez pana „globalne Południe”?

– Nie ma jednej cywilizacji „globalnego Południa”, to czysta fantazja. W swoim artykule z 1993 roku „Zderzenie cywilizacji” Samuel Huntington zacytował moją książkę „Zemsta Boga”. Kiedy spotkał się potem w Harvardzie, przyznałem, że nie kupuję jego esencjalistycznej wizji cywilizacji i religii, m.in. dlatego, że na przykład we Francji mamy mnóstwo obywateli ze środowisk muzułmańskich i imigranckich, którzy uznają nasze wspólne republikańskie wartości, ba, należą do ekonomicznej, kulturalnej i politycznej elity kraju. Brzydzą się separatyzmem islamistów, ci zaś piętnują ich jako „zdrajców”.

Dziś powraca esencjalistyczna wizja Huntingtona, tym razem w wydaniu patrzących w drugą stronę doktrynerów „globalnego

Południa”. Dla nich każdy, kto jest z „globalnego Południa”, reprezentuje moralne dobro, a Północ nosi etyczną skazę kolonialnego zła. To przecież Huntington postawiony na głowie! A wszystko razem jest ideologicznym blefem, czego klinicznym przykładem wydaje się RPA, gdzie rządzący Afrykański Kongres Narodowy tonie w kłopotach i hipokryzji.

Czy po oskarżeniu Izraela przez RPA o ludobójstwo wolno uznać, że także ONZ przejmuje tę retorykę?

– ONZ przechodzi poważny kryzys. Państwa, które ogłosiły się „globalnym Południem”, chcą, żeby przeżywające demograficzną zapaść, winne najstraszliwszej zbrodni kolonializmu stare mocarstwa, Francja i Wielka Brytania, zostały usunięte z Rady Bezpieczeństwa – by zastąpiły je ludniejsze kraje wschodzące, takie jak Indie i Brazylia. ONZ jest bezsilne jak nigdy dotąd wskutek niedopasowania jej instytucji do tych aspiracji.

Dobitnym tego przykładem jest UNWRA, Agencja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie – skandal wybuchł, kiedy Izraelczykom udało się ustalić, że wśród napastników 7 października było 12 jej pracowników. Szeffa UNWRA Philippe’a Lazzariniego przesłuchano w tej sprawie w tym samym dniu, w którym inny organ ONZ, Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, wydał wyrok w sprawie wniosku RPA – nie orzekając co prawda, jak chciała Pretoria, że Izrael jest „winnym ludobójstwa”, ale wnioskując, by państwo żydowskie „podjęło stosowne kroki celem zapobieżenia wszelkim

swojej nowej książce, „Holocaustes”, Gilles Kepel – jeden z najlepszych arabistów wśród politologów – opisuje nową sytuację geopolityczną po 7 października i wybuchu wojny w Strefie Gazy. Kepel (ur. w 1955 r.) to autor m.in. bestsellerowej książki przełożonej na 20 języków „Zemsta Boga. Religijna rekonkwista świata” (wyd. pol. 2010). Jest jednym z czołowych ekspertów od radykalnego islamizmu, zajmuje się też ruchami ekstremistycznymi w innych religiach. Wykładał m.in. w London School of Economics, na Uniwersytecie Columbia, obecnie jest profesorem w Université Paris Sciences et Lettres.

●●●
Tytuł pana książki, „Holocausty”, może sugerować, że chce pan zestawić pogrom 7 października z wojną prowadzoną

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

ludobójczym praktykom”. W ten sposób Izrael – w chwili, gdy Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości wydawał w jego sprawie werdykt, który nie mógł mu się podobać – mógł wykazać słabość ONZ, która nie panuje nad własną agencją, UNWRA.

Ale rekonfiguracja światowego porządku moralnego to nie tylko kwestia ONZ – to także Stany Zjednoczone. Amerykańską politykę bliskowschodnią dyktowało przede wszystkim proizraelskie lobby – w obu partiach. Dziś jednak amerykańskim Arabom, którzy zebrali się w Dearborn w stanie Michigan, udało się sformować ogólnostanowe antyizraelskie lobby, które dzięki swoim elektorom wpłynie na wynik wyborów prezydenckich w listopadzie. Michigan to „swinging state”, gdzie w demokratycznych prawyborach Joe Biden wziął ledwie 150 tys. głosów, bo aż 100 tys. zagłosowało jako „uncommitted”, czyli niezaangażowani, karcąc w ten sposób ubiegającego się o reelekcję prezydenta za dostarczanie Izraelowi broni, która pozwoliła równać z ziemią Gazę.

Biden jest więc w pułapce – albo ulegnie arabsko-afrykańskiej mniejszości i młodym Demokratom i straci głosy amerykańskich Żydów, którzy w większości wciąż głosują na niego, albo nie ulegnie – i straci młody i mniejszościowy elektorat. To zupełnie nowe zjawisko. Dlatego, jak sądzę, 7 października 2023 to data o wiele ważniejsza niż 11 września 2001.

Po „błogosławionej podwójnej razzii” Osamy bin Laden na Nowy Jork i Waszyngton Zachód nie podzielił się, wszyscy stanęli po stronie Amerykanów. Dziś, przeciwnie, Harvard i francuska SciencesPo podzieliły się pół na pół, a École Normale Supérieure zdecydowała się nauczać „doktryny Południa”, zamykając mój fakultet bliskowschodni i śródziemnomorski.

Judith Butler oświadczyła na forum Indigènes de la République, że „7 października był aktem oporu” – a wszak nie mówiła tego po 11 września, ani po zamachu na Bataclan. Mamy do czynienia z aksjologią na opak, do czego – trzeba przyznać – bardzo przyczyniła się krótkowzroczna polityka Benjamina Netanjahu.

Uważa pan, że reagując na islamski terroryzm Hamas rząd Netanjahu zabarwia swój polityczny dyskurs mesjaniistycznymi podtekstami. Czy także to uniemożliwia wywikłanie się z tego konfliktu?

– 7 października był kulminacją mistycyzmu i polityki – po obu stronach. Dla ofiar masakra była najgorszym pogromem, jakiego Żydzi doznali od Szoa, podczas gdy dla napastników była to „razzia”, jak te, które armie Proroka poprowadziły na Żydów w 628 roku po Chrystusie. Praktykę „razzii” ceni wielu kaznodziej, którzy bez żadnego historycznego dystansu, na mocy świętych tekstów, usprawiedliwiają wszelką przemoc wobec Żydów.

Ale zamach 7 października należał też do nacjonalistycznego rejestru – na nagraniach z ataku słychać, że hamasowscy napastnicy krzyczą: „Jesteśmy u siebie!”.

Hekatomba, jaką izraelska armia w odwecie zgótowała Gazie, to prawdziwy punkt zwrotny. Netanjahu jest iście szekspirowskim bohaterem – musi prowadzić wojnę, żeby nie trafić za kraty. Jeszcze przed wojną wszystkie zarzuty składały mu się łącznie na 16 lat więzienia. Zarzucono mu jednak więcej: brak czujności, bo w rozumieniu Izraela okazał się złym liderem, takim, który sprokurował swojemu ludowi klęskę. Unikałby tego, gdyby odniósł militarne zwycięstwo. Jednak w Gazie, po pół roku walk, to się nie udało. W 1973 roku wojna trwała 19 dni. Obecna sytuacja sugeruje, że czeka nas długa konfrontacja.

Ilustruje to zwłaszcza atak IDF na irański konsulat w Damaszku – zabito m.in. dowódcę irańskich sił w regionie, który kontrolował Hezbollah i część Hamasu. Netanjahu myśli też o zadaniu silnego ciosu Hezbollahowi. Pozwoliłoby mu to zasiąść do negocjacji i zgodzić się na zawieszenie broni z pozycji siły.

Jednak klucz do rozwiązania kwestii państwa palestyńskiego dzierży dziś Arabia Saudyjska, która zgodzi się na sfinansowanie sprawy tylko wtedy, gdy będzie pewna, że to nie Iran z Hezbollahem kontrolują całą sytuację.

Rzecz w tym, że Izraelczycy, skądinąd bardzo skuteczni w ukie-
runkowanych atakach w Syrii, w Gazie ostrzelali konwój humanitarny World Central Kitchen, która wycarterowała łódź z 400 tonami żywności z Cypru – zabili obywateli Unii Europejskiej, obywateli brytyjskich, Amerykanina, Australijkę. Wizerunkowo było to fatalne dla Izraela, ale pokazało też, że Netanjahu nie przeliczytuje przeciwnika, że musi brać pod uwagę uwikłania regionu. Rodzi to ogromne międzynarodowe napięcie.

Konflikt ten, zważywszy masową imigrację z regionu, przenosi się też na zachodnie społeczeństwa...

– Paradoks polega na tym, że w odróżnieniu od „globalnego Południa”, państwa Północy są wielokulturowe. Są w tym samym stopniu etnicznym melanżem jak cała nasza planeta. Może politycznie to bez większego znaczenia, ale premier Wielkiej Brytanii jest z pochodzenia Hindusem, a burmistrz Londynu i premier Szkocji – Pakistańczykami. To, że Rachida Dati ma szansę wygrać wybory na burmistrzynie Paryża, dowodzi też, że społeczeństwa europejskie potrafią integrować osoby pochodzące z Południa.

Rozprawa z Północą jest więc głównie ideologiczna. Nie przeszkadza to wprowadzać bardzo niebezpieczne podziały w europejskich społeczeństwach, np. poprzez zachęcanie do separatyzmu.

We Francji, zważywszy nadchodzące Igrzyska Olimpijskie, sytuacja w zakresie bezpieczeństwa jest szczególnie napięta. Pamiętamy wszak Igrzyska w Monachium w 1972 roku i izraelskich sportowców zamordowanych przez Palestyńczyków z komanda Czarny Wrzesień.

Dziś znów widzimy, jak globalne zjawiska i procesy stają się zakładnikami takich niby regionalnych konfliktów. ●
tłum. Sergiusz Kowalski

Powrót Trumpa to nie wszystko

Wyobraźmy sobie NATO bez Ameryki. Bez paniki!

Reorientacja polityki obronnej i przemysłu zbrojeniowego to procesy zajmujące lata, zwłaszcza w UE. Ale Europa dała właśnie kilka przykładów, że potrafi być niebywale skuteczna w sytuacjach kryzysowych.

Ian Bremmer

Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego, najbardziej udany sojusz wojskowy w historii, jest silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Pełnowymiarowa inwazja Rosji na Ukrainę w lutym 2022 podkreśliła niezmienny cel i wartość NATO, a od tego czasu Sojusz pozyskał dwóch nowych członków o dużym potencjale przemysłowo-militarnym: Finlandię i Szwecję. Ponadto gdy Rosja codziennie traci żołnierzy, broń i swoją długoterminową odporność gospodarczą, to Ukraina, a nie NATO, przyjmuje na siebie ciosy wroga.

Tylko co dalej? Europejscy liderzy wiedzą, że Trump ma realne szanse na zwycięstwo w listopadowych wyborach prezydenckich w USA i że jego powrót do władzy oznacza zakwestionowanie trwałego zaangażowania podstawowego członka NATO, a przede wszystkim wiarygodności gwarancji bezpieczeństwa, które czynią Sojusz tak potężnym.

Z tym że Trump wyraził pewne uzasadnione pretensje wobec sojuszników. Po inwazji Rosji na Krym w 2014 r. każde państwo członkowskie zobowiązało się wydatki na obronność na poziomie co najmniej 2 proc. PKB. Dwa miesiące temu sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg ogłosił, że po raz pierwszy od narodzin Sojuszu w 1949 r. europejscy członkowie wspólnie osiągną ten cel. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że niektóre państwa, zwłaszcza te położone najbliżej granic Rosji, wydają sporo więcej niż wynosi limit.

Aż 13 spośród 31 państw członkowskich NATO nadal nie osiąga magicznego progu 2 proc., a Trump w kampanii wyborczej ponownie kwestionuje ich wiarygodność jako sojuszników. Jeśli tak bardzo boją się Rosji, pyta, dlaczego nadal nie chcą przeznaczać wymaganej wspólnie kwoty na własne bezpieczeństwo?

Niemal wszyscy europejscy przywódcy uznają potrzebę zwiększenia nakładów na armie, a niedawna wypowiedź Trumpa o tym, że Rosjanie powinni „móc robić, co im się żywnie podoba” z państwami NATO, które odpuszczają własne nakłady na obronność (to oczywiście głównie te położone względnie daleko od Rosji) sprawia, że wielu Europejczyków zastanawia się, co dokładnie może oznaczać dla nich druga kadencja Trumpa. Czy NATO może nadal istnieć bez wyraźnego i wiary-

godnego amerykańskiego zaangażowania?

Podczas fety zorganizowanej na początku tego miesiąca z okazji 75. rocznicy Sojuszu, Stoltenberg zaproponował rozpisany na pięć lat specfundusz dla Ukrainy w wysokości 100 miliardów euro, którego użycie nie byłoby uzależnione od wyniku amerykańskich wyborów w 2024 r.

Ale szersze się po Europie obawy o brak gotowości Unii na zagrożenie skłoniły też szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen do postulatu, by powołać nowego komisarza, który miałby zająć się koordynacją europejskiego przemysłu zbrojeniowego.

Nie byłby to pierwszy ambitny plan, jaki europejscy przywódcy podjęli w ostatnich latach. Skutecznie nadzorowali przecież szybkie wprowadzenie szczepionek podczas pandemii, zapewnili pomoc w sytuacjach kryzysowych rządów, które jej potrzebowały, a po lutym 2022 uruchomili kosztowny i złożony program mający na celu uniezależnienie się od Rosji w zakresie dostaw energii. A wszystko to zrobili, przyjmując największą w historii UE liczbę uchodźców.

Jeśli są w stanie osiągnąć to wszystko, dlaczego nie mogą skonstruować trumpoodpornego systemu europejskiego bezpieczeństwa, tworząc niezależną, silnie skoordynowaną europejską politykę przemysłową w zakresie obronności, wspieraną przez budżet UE i jednolity rynek?

Niestety, istnieją trzy powody, by być co do tego sceptycznym – przynajmniej w najbliższym czasie.

Po pierwsze, zwiększenie roli Komisji w polityce obronnej i przemysłowej wymaga zgody politycznej i czasochłonnego wdrożenia. Sam proces jest skomplikowany, a po drodze na pewno napotka opór ze strony władz krajowych, które zwykle nie chcą dzielić się kontrolą nad tymi obszarami. Dotyczy to zwłaszcza państw, które obawiają się, że Francja – wieloletni orędownik zbiorowej obrony europejskiej i jedyny obecny członek UE posiadający broń jądrową – zyska w ten sposób największy wpływ na kształt polityki bezpieczeństwa kontynentu.

Po drugie, UE pozostaje głęboko uzależniona od amerykańskich systemów uzbrojenia, dostępu do amerykańskich danych wywiadowczych oraz roli Ameryki jako czynnika zapewniającego interoperacyjność poszczególnych armii NATO.

Utrzymujące się zagrożenie ze strony Rosji zapewne przekona większą niż kiedykolwiek liczbę Europejczyków do zwiększenia wydatków na obronność, wzmocnienia zdolności wywiadowczych i rozbudowy swoich sił zbrojnych – ale te procesy potrwają dekadę lub nawet dłużej. Obecne zagroże-

nie nie oferuje aż tyle czasu na tak długą transformację.

Wreszcie, co najmniej kilka europejskich rządów dziś chętnie wybrałoby sojusz z Trumpem zamiast coraz ściślejszych relacji z innymi członkami UE. Węgierski premier Viktor Orbán i słowacki premier Robert Fico są tu oczywistymi przykładami, ale trzeba się liczyć z tym, że w nadchodzących latach inni, ważniejsi dla całego systemu członkowie UE wybierają populistyczne, przyjazne Rosji rządy.

Premier Włoch Giorgia Meloni niezłomnie wspiera Ukrainę, ale skoro jej priorytetem są relacje transatlantyckie, to może się to zmienić, jeśli Trump powróci do Białego Domu. A jeśli Marine Le Pen ostatecznie zostanie prezydentką Francji w 2027 r.? W Pałacu Elizejskim od dawna tli się pragnienie bardziej niezależnej europejskiej polityki zagranicznej i w zakresie bezpieczeństwa – w to Trumpowi i jemu podobnym graj.

Bez względu jednak na wynik listopadowych wyborów w USA należy rozważyć zasadniczą kwestię długoterminową.

Nawet jeśli Trump przegra, to czy dążenie do bardziej izolacjonistycznej i transakcyjnej amerykańskiej polityki zagranicznej umrze wraz z jego karierą polityczną?

A może nowe pokolenia amerykańskich wyborców, które nie będzie już pamiętać międzynarodowej roli, jaką Stany Zjednoczone odgrywały, na dobre i na złe, w latach 1945-2008 – zmieniają nastawienie amerykańskiej opinii publicznej do „globalnego przywództwa”, które niegdyś było tak drogie zarówno Demokratom, jak i Republikanom? Jeśli tak, to nawet zwycięstwo Bidena nie może zakończyć zabiegów Europy o jej własne bezpieczeństwo według całkiem nowego projektu. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski
Copyright: Project Syndicate, 2024;
project-syndicate.org

Ian Bremmer

• założyciel i dyrektor Eurasia Group i GZERO Media, jest członkiem komitetu wykonawczego Organu Doradczego ONZ ds. Sztucznej Inteligencji.



Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE finansowany jest ze środków UE wspierających instytucje społeczeństwa obywatelskiego w działaniach na rzecz edukacji oraz promocji uczestnictwa w wyborach do Parlamentu Europejskiego 2024. Teksty przedstawiają poglądy ich autorów. PE nie odpowiada za ich treść.

Paryż chce się pozbyć z ulic bezdomnych. Oficjalnie nikt nie powie, że chodzi o przygotowania do letnich igrzysk olimpijskich

Anna Wyrwik

Gołębie wyjadają śmieci z resztek kartonów między szmatami i butelkami po wodzie, beżowym butem w afrykański wzór, reklamówkami i powyginanymi puszkami po napojach, między połamanym parasolem, koszulką w paski i trójką śpiących mężczyzn, których nogi wystają spod kocy. Wokół zmienia się sygnalizacja świetlna, jadą samochody, idą piesi, bo tu krzyżują się ulice.

Gołąb dziobie w kartonie. Ja stoję kawalek dalej i patrzę w dół na kanał, gołębie biją się o kruszyny na koszulce w paski, a woda w kanale jest brudna i mętna. Wiaduktem po torach nad nami jedzie metro linii numer 5. Nad kanałem siedzi chłopak i patrzy przed siebie, drugi obok śpi na kurtce. Przylatują kolejne gołębie. Schodzę na dół, wzdłuż muru w graffiti, woda śmierdzi, nad nią w knajpianym ogródku chłopak z dredami rozkłada stoliki.

- Cemu jest tu tylu bezdomnych? – rznę głupią, bo jestem ciekawa, co powie.
- Nie wiem – wzrusza ramionami. – Ja tu nie mieszkam.
- Pracujesz tu?
- Tak.
- Często tu jesteś?
- Codziennie.
- I nie zastanawia cię, dlaczego tak dużo ludzi śpi tu na ulicy?
- Nie wiem – wzrusza ramionami. – Nie jestem z tej dzielnicy. Nie wiem, co oni tu robią.

No one’s land

Stalingrad znajduje się w 19. dzielnicy Paryża. Jeśli popatrzeć na mapę, jest to północny wschód miasta, pół godziny piechotą do Sacré-Cœur. Jeśli popatrzeć na turystyczne porady, to jest na szczycie miejsc, których należy unikać. Nazwa jest hołdem dla Armii Czerwonej za zwycięstwo pod Stalingradem w II wojnie światowej. Od 1903 r. istnieje tu stacja metra, a od kilku lat przestrzenie pod wiaduktem z nadziemnymi torami są popularnym miejscem noclegowym dla ludzi, którzy przybyli do Paryża po lepsze życie, tyle że na razie jeszcze nie mają gdzie mieszkać.

Przybywa ich co roku coraz więcej. Z raportu INSEE (Państwowy Instytut Statystyki i Badań Ekonomicznych) wynika, że w 2022 r. we Francji mieszkało 7 mln imigrantów, co stanowi 10,3 proc. ogółu ludności. Dla porównania w 1946 r. imigranci we Francji stanowili 5 proc. ludności, a w 1975 – 7,4 proc. Statystyki pokazują, że jest wśród nich więcej kobiet niż mężczyzn, a najwięcej imigrantów jest z Afryki (33 proc.), potem z Europy (14 proc.) i z Azji (6 proc.). Dziś w 11-milionowym Paryżu stanowią oni 20 proc. mieszkańców.

– O, tam śpi Afganistan – mówi Shalin, który pod wiaduktem sprzedaje owoce, i wskazuje palcem namioty kawalek dalej. – Bezdomni. Ja jestem legalnie! – zaznacza i wyjmuje z kieszeni papier z pozwoleniem na pobyt.

Shalin ma że 20 lat, promienny uśmiech i radosne spojrzenie. Proponuje mi awokado, morele i opowiada, że przyjechał do Paryża dwa lata temu. Z Bangladeszu. Dobrze mu tutaj i nigdy, przenigdy nie chciałby wracać.

Pod wiaduktem metra śpią ludzie nie tylko z Afganistanu, ale też z Syrii, Libii i połowy Afryki, a za chwilę dojdzie jeszcze pewnie Palestyna. Śpią pod kocami na materacach, pod foliami na kartonach, śpią w namiotach z Decathlonu. Niektórzy z nich mają pracę, dorywczą albo na etat, niektórzy

uczą się zawodów, inni szukają, żadnego nie stać na wynajem mieszkania. Śpią albo siedzą w grupach i dyskutują. Wszystko tu jest szare i zakurzone, oni są ciemni i wiadukt jest ciemny, i powietrze jest ciemne, a po ulicy jedzie na rowerze biała staruszka w różowej sukience z motylem na plecach, jak postać w kreskówki wklejona Photoshopem.

Na dole kamienic po obu stronach są sklepy z afrykańskimi ubraniami, chustami we wszystkich kolorach palety, biżuterią, po chodnikach chodzą ludzie w afrykańskich szatach, jedzą kebaby, pizze albo w afgańskiej restauracji. Kamienice ledwo dźwigają tony szyldów tak różnych i tak wielu, że Podhale przy tym to skromna kuzynka. Ogólnie jest jednak syf, jest ten camp, zgiełk, przewrócone kosze i dziesiątki butelek, głównie po białym winie, bo jeszcze jest ciepło, oraz tony innych śmieci, bo, zdaje się, nikt tu nie sprząta. Gdzieś z tego kurzu wylania się para białych turystów ze spojrzeniami, jakby ich ktoś wrzucił w środek kibolskiej ustawki. Lekko ugięci pod wielkimi plecakami stawiają ostrożne kroki, jakby szli po kamienistej plaży, a w głowach już pewnie planują pozwanie Booking.com.

Rozmawiam z rudym chłopakiem za ladą jednego z okolicznych sklepów.

– Cemu tu jest tylu bezdomnych? – pytam.

– Po prostu. Mieszkają tu pod wiaduktem. To imigranci. Jest przez nich wiele problemów – mówi. – Bywa, że zaczepiają cię na ulicy. Niektórzy zażywają narkotyki i potrafią wejść do sklepu i krzyczeć, by coś im dać. To jest takie miejsce niczyje, *no one’s land*. Są imigranci, czasem jakaś organizacja przywozi jedzenie, czasem przyjeżdża policja, zgarnia ich do autobusów i zawozi do noclegowni. Ale i tak ciągle jest ich więcej, bo przyjeżdżają nowi.

Już po moim pobycie w Paryżu dowiaduję się z mediów, że policja przyjeżdża coraz częściej. Końcem września CNN donosiło ze Stalingradu: „Według rządu od 50 do 150 osób jest tygodniowo przewożonych do jednej z 10 lokalizacji na terenie Francji”. Miasto chce się pozbyć z ulic bezdomnych. Będąc w styczniu w Paryżu, widzę, że mu się to udaje. Przy stacji Stalingrad pustki. Ostatnio dziennik „Le Monde” donosił o masowych eksmisjach osób w kryzysie bezdomności, nieposiadających dokumentów, z rodzinami, z dziećmi i to do miejsc oddalonych o kilkaset kilometrów od Paryża. Oczywiście oficjalnie nikt nie powie, że chodzi o przygotowania do letnich igrzysk olimpijskich w 2024 r.

A co do przywożenia jedzenia, to wygląda to tak. Pod wiadukt przyjeżdża bus organizacji pozarządowej. Otwierane są drzwi, z których będą wydawane ciepłe posiłki. Bezdomni tworzą kolejkę, ale jakoś tak między barierkami, trochę jakby wchodziłi na stadion. Wszystkim kierują wolontariusze w zielonych kamizelkach i z kijami w rękach. Bezdomni się przepychają, czasem któremuś zdarzy się ze ścisku wyskoczyć do góry jak na rockowym koncercie, a wolontariusze ich zaganiają kijami, ci się drą na siebie, ci na nich i kijami układają kolejność. Biorąc pod uwagę, że wokół jest dużo przestrzeni, a jedzenia starczy pewnie dla wszystkich, to wygląda to dość komicznie, a przynajmniej wyglądałoby, gdyby nie było tak straszne. Ci, co dostali jedzenie, siadają gdzieś w okolicy na krawężniku, murku, trawie – i jedzą.

A my stoimy i patrzymy, tzn. ja i kobieta, która się tu znalazła przypadkiem i zatrzymała, by dowiedzieć się, o co chodzi. Jest po osiemdziesiątce, ma jasne włosy i wielkie okulary, dzinsowe spodnie i dzinsową katanę. Opowiada mi, że przez całe życie pracowała w filmie, we Francji i Nowym Jorku, z nazwiskami znanymi stałym bywalcom przeglądów filmowych.

– To jest problem ogólnoświatowy – mówi, patrząc na to, co się dzieje pod wiaduktem. – W dzisiejszym świecie najważniejsze jest, by być humanistą, ale politycy nie są humanistami, bo im zależy tylko na władzy. W ogóle nie chodzi im o to, by pomagać ludziom. Ja prawicy nie popieram i nigdy nie



zagłosuję na Marine Le Pen. Zresztą dziś już nie ma lewicy czy prawicy. Te pojęcia są mylące. Francuską lewicę zniszczył François Hollande. Premierka Élisabeth Borne, która kiedyś była socjalistką, dziś jest makronistką. A Emmanuel Macron zachowuje się, jakby był królem. Nikogo nie słucha! – kobieta zamyśla się i wskazuje na kolejkę. – To jest poważny problem i ważne jest, by być humanistą. Ale nikt tych ludzi nie chce w Paryżu.

Lato jest dobre, gdy jesteś bogaty

Schodzę do parku przy Sekwanie. To jedno z tych miejsc, w którym wszystko jest naraz. Bo Paryż taki jest, że wszystko jest naraz. Mieszają się kolory, kierunki, orientacje, dane i statusy. Wzdłuż Sekwany idą kobiety w dyskrecie eleganckich kostiumach, jadą rowerzyści na elektrycznych rowerach, biegną ludzie z telefonami przytwierdzonymi do ramion, jedni piją drinki w wygodnych fotelach na barkach, drudzy tańczą do karaibskiej muzyki z boomboxa.

- Zatańcz z nami!
- Nie, dzięki – mówię i idę dalej, mając daleko przed sobą katedrę Notre-Dame w odbudowie.

Wielkie dźwigi, wielkie słońce, z namiotu pod mostem bucha dym, a wokół urządzony jest dom, szafka, czajnik, mikser, leżak, książki, dzbanek na herbatę i reklamówka na śmieci. Nad namiotem po drugiej stronie rzeki wisi sznurek z praniem. Ktoś ostatnio napisał, że w Krakowie pranie na sznurkach to już tylko w Nowej Hucie, jak wspomnienie dzieciństwa. A tu proszę! Wiś w centrum miasta niedaleko najslawniejszej katedry świata. Dalej nad Sekwaną też siedzą wszyscy, wszyscy ci, którzy teraz nie są w restauracjach, bo słońce zachodzi, więc to czas spotkań. Siedzą na krawężnikach, na ławkach, na gazetach i jedzą coś azjatyckie albo sery, piją wina, piwa, soki. Spośród kocy i szmat oddzielających od świata czy-

jeś mieszkanie pod mostem wystaje niebieski, uśmiechnięty miś. Pod drzewem gra jazzowy zespół. Chłopcy-imigranci sprzedają wodę, piwo i papierosy. Gdy tu siedziałam w 2005 r., też sprzedawali. Dziewczyny palą, chłopak czyta książkę, turysta robi zachodzącemu słońcu zdjęcie, ludzie idą, jadą i wracają.

To miasto można próbować opisać na wiele sposobów, ale czasem mam wrażenie, że jest ono nie do opisanie. Przez to, że jest tak różne. Białe-czarne, stare-młode, tradycyjne-nowoczesne, bogate-biedne. Tyle że te różności, poza kilkoma wyjątkami w stylu tych chłopców handlujących nad Sekwaną, nie spotykają się ze sobą. Są w jednej przestrzeni, ale obok siebie. Tory równoległe bez możliwości przecięcia i tylko czasem – jak mówi mi przy winie paryska znajoma – jakiś amerykański turysta pochylił się nad kimś i wrzucił coś do kubka. A gdy jej mówię, że widziałam bezdomnego leżącego na ulicy we własnych rzygach, nad którym pochyliła się dziewczyna z chłopakiem, i dzwonili po karetkę, odpowiada, że pewnie Amerykanie. A gdy mówię jej, że rozmawiali po francusku, to się dziwi. Bardzo rzadko dochodzi do spotkania, nawet do spojrzenia jeden na drugiego, nie mówiąc już o tym, by ktoś na to spojrzenie spojrzeniem odpowiedział.

Według raportu Fundacji Abbe Pierre w 2022 r. we Francji żyło 330 tys. bezdomnych (w tym osoby żyjące na ulicy – 27 tys., przebywające w schroniskach – 200 tys. i ośrodkach dla azylantów – 110 tys.). To dwa razy więcej niż w latach 2017-2020, kiedy liczba ta nie przekraczała 144 tys. Ponad 40 proc. z nich przebywa w Paryżu. Kobieta przy stacji Stalingrad powiedziała, że nikt tych ludzi tu nie chce i to objawia się na ulicach nie tyle niechęcią, co totalną obojętnością.

W 18. dzielnicy przy rue Lamarck spotykam Senegalczyka, który mieszka we wnętrzu między schodami i ścianą kamienicy.



SAMUEL ARANDGE/TITIMAGES

NICZYJA

Ma namiot z Decathlonu, wokół dużo kwiatów w donicach, na ścianie przykleił Audrey Hepburn, na kamiennej półce położył zmiotkę i worki na śmieci. Oprócz tego urządził siłownię, więc jest ławka ze sztangą, kilka hantli, a on w sportowym stroju zasuwa w rytmie reagge na rowerku treningowym. Na kierownicy umieścił kartkę z napisem: „Merci de respecter le lieu de vie” [“Proszę uszanować miejsce do życia” – dop. red.]. A wokół ludzie siedzą po kawiarniach, piją kawę, piją wino i czytają „Le Monde”, a turyści człapią schodami w kierunku Montmartre, gdzie w turystycznych restauracjach zamiaszt Edith Piaf, leci Bryan Adams i „Roll Over Beethoven”. Niedaleko ktoś na ścianie budynku napisał: „Summer is cool, if u are rich” [“Lato jest dobre, gdy jesteś bogaty” – dop. red.]. Senegalczyk wydaje się być do wodom na to, że wcale nie, ale to wyjątek, bo Paryż potwierdza to zdanie.

Przy Boulevard des Capucines człowiek leży na kratce wentylacyjnej, kawałku kartonu i koca, ma lekko kręcone, siwe włosy, odchyła głowę i patrzy na chodzące wokół gołębie. Ludzie idą z telefonami, rozmowami, zakupami. Na moście Bir-Hakeim człowiek mieszka w namiocie. Ludzie idą z napojami, kolegami, para młoda pozuje fotografce do zdjęć. Na rue du Faubourg Poissonnière człowiek leży w śpiworze, głowa na plecaku, na kratce wentylacyjnej suszą się wkładki do butów. Ludzie idą do restauracji, do barów, jadą na skuterach, uprawiają jogging. Do metra wchodzi człowiek z powyginanymi nogami o lasce i z kubkiem w dłoni, a ten kubek podkłada pod twarz pasażerów. Ludzie idą z telefonami i oczami zwróconymi w drugą stronę albo nawet nie, nawet na niego, ale jak powietrze. Na Quai d’Austerlitz leży człowiek, włosy i wąs trochę jak u Astriksa, adidas, dres, prawa ręka pod głową, ciało na śpiworze. Ludzie wsiadają do autobusu, jadą na rowerach, idą z telefonami, mijają go jak w traktacie filozoficznym o mi-

łosierdziu. Niedaleko ktoś na ścianie budynku namalował czerwone serce z imieniem „Nahel” w środku.

Justice pur Nahel

Nahel Merzouk był Francuzem algierskiego pochodzenia i 27 czerwca 2023 r., gdy zginął, miał 17 lat. Stało się to podczas kontroli drogowej. W skrócie było tak, że policjanci na motorach polecili kierowcy samochodu, który jechał za szybko, by się zatrzymał. Nie zrobił tego. Rozpoczęli pościg. Gdy w końcu stanął, zeszli z motocykli, celując w niego bronią. Samochód znowu ruszył. Wtedy jeden z policjantów strzelił kierowcy w głowę. Kierowcą był Nahel. Wskutek postrzeżenia zmarł. Policjanci twierdzili, że działali w samoobronie, ale nagranie video pokazało co innego. Strzelający został postawiony w stan oskarżenia. Wydarzenie potępił prezydent, liczni politycy, ludzie kultury, sportowcy, celebryci. A przez Francję przetoczyła się fala zamieszek.

Zdarzenie miało miejsce w Nanterre na przedmieściach Paryża. Miasteczko schowane jest za wieżowcami La Défense, głównej dzielnicy biznesowej Francji, i wygląda trochę tak, jakby ktoś tym ludziom zasłonił niebo i świat. Na ulicach jest spokojnie, jasno, czysto, mało osób, mało aut, Wielki Meczet Ibn Badisa, gdzie odbył się pogrzeb

**Ma namiot z Decathlonu,
wokół dużo kwiatów
w donicach, na ścianie
przykleił Audrey Hepburn,
na kamiennej półce położył
zmiotkę i worki na śmieci**

Nahela, zdaje się być pusty. Szukam miejsca, gdzie zabili Nahela. Idę w kierunku Avenue Pablo Picasso, mijam napisy „Justice pour Nahel” i „Fight the power” [“Sprawiedliwość dla Nahela” i „Walcz z władzą” – dop. red.]. Osiedle Tours Aillaud wygląda, jakby ktoś blokom wstrzyknął halucynogeny na bazie postmodernizmu. Tworzy je 18 odrapanych wieżowców, które kiedyś pokrywały freski chmur, więc widać resztki niebieskiego, bez balkonów, za to z oknami w kształcie łez, kółek czy prostokątów, małymi jak na statkach. Z niektórych zwisają brudne szmaty.

Podchodzę do trzech chłopaków przed blokiem. Jeden jest młody, drugi trzyma głośnik grający muzykę, trzeci godzi się na rozmowę. Ale gdy mówię, że jestem dziennikarką, ten z głośnikiem przerywa akcję:

- Nie, nie, nie! Żadnych dziennikarzy!
- Jestem z Polski, nie z Francji – mówię.
- Żadnych dziennikarzy. Już wystarczy!
- Dlaczego?
- Nie, nie! Koniec! Au revoir madame!

[Żegnam panią – dop. red.]

Zachodzę do barbera, a tam brodaty facet koło pięćdziesiątki mówi mi, że to wszystko był przypadek.

- Gdyby Nahel nie uciekał, to by go nie zabili. On bał się ich, a oni jego.
- Czy tutaj ludzie boją się policji?
- Nie, nie jest tak, że się boją. Policja ma autorytet. Tak samo jak wszędzie.
- To skąd te zamieszki?
- Moim zdaniem one nie były przeciwko policji. To był po prostu punkt zapalny, po którym wyb uchl gniew tych wszystkich dzieciaków. Oni dziś nie mają żadnych autorytetów i to nie tylko we Francji, ale na całym świecie. Nie mają wartości, sentymentów, dlatego tak się zachowują.

O tym, że to były dzieciaki lansujące się potem na Instagramie i Tik Toku filmikami na tle palonych aut, mówi wielu ludzi w Paryżu. Wiele też o tym pisało. Piotr Moszyński w artykule po zamieszkach w „Wyborczej” przytoczył dane: „Średnia wieku zatrzymanych to 17 lat. Najmłodszy aresztowany ma 11 lat, najstarszy 59. Ponad 30 proc. zatrzymanych mieści się w przedziale wiekowym od 12 do 18 lat, a w nocy z niedzieli na poniedziałek wskaźnik ten sięgnął prawie 55 proc. (...) 60 proc. aresztowanych nie było nigdy notowanych przez policję ani za cokolwiek skazanych”.

Brodaty facet kieruje mnie w stronę parku. Park im. André Malraux jest wielki, zielony, trawa skoszona, spory staw, spacerują matki w chustach z dziećmi w wózkach z bloków osiedla i biegają pracownicy korporacji z biurków La Défense. W tym parku mogą się spotkać. Więc się spotykają i na siebie nie patrzą, bo tu też życia wydają mi się płynąć równolegle i osobno. Mija mnie grupka kobiet, które sprzątają.

- Co tu robicie?
- Zbieramy śmieci – odpowiada blondynka w średnim wieku. – Firma raz w tygodniu daje nam godzinę, byśmy mogły posprzątać.
- Mieszkacie tu?
- Nie, ale korzystamy z tego parku, więc chcemy, żeby było czysto.
- Wiecie, gdzie jest miejsce, w którym zabili Nahela?
- Nie wiem. On tu chyba gdzieś mieszkał i to wszystko chyba się tutaj gdzieś wydarzyło, ale nie wiem, gdzie.

Podchodzę do chłopaków, którzy jedzą kanapki na ławce. Pokazują, że do miejsca zabicia Nahela jest 800 m. Wszyscy są młodzi, wszyscy mają czarne kręcone włosy i wszyscy, gdy pytam ich, skąd są, na pierwszym miejscu wymieniają Francję, bo tu się urodzili, a na drugim Wybrzeże Kości Słoniowej, Kongo, Gujanę Francuską i Mauritius, bo tam urodzili się ich rodzice albo dziadkowie.

- My Nahela nie znaliśmy, ale był przyjacielem naszych znajomych. Mieszkał tam, w Nanterre-Préfecture – mówi ten z Kongo.
 - To, co się wydarzyło, jest bardzo nie fair – mówi ten z WKS.
 - Boicie się policji? – pytam.
 - Nie – i patrzą na mnie trochę zdziwieni.
- Z parku wchodzi w świat biurowców i korporacji, z daleka widać wieżowce La

Défense, z bliska – pracowników, którzy palą papierosy, idą na lunch albo biegną. Nikt nie wie, gdzie jest miejsce, w którym zabili Nahela. Nie wiedzą nawet dwie kobiety, które palą dokładnie 100 m od niego. Bo w końcu je znajduję. Jest na Placu Nelsona Mandeli. Poczta, bank, napis „Justice Pour Nahel”, a do latarni ludzie powtykali kwiaty w celofanach.

Okolice polega na tym, że wszyscy chodzą tu w równym tempie, nieważne, gdzie idą, no chyba że biegną, to wtedy robią to w równym tempie biegania. Jakby oni i całe to miejsce było zaprogramowane. Nic tu nie sprzęga, nie charczy, nie zgrzyta, samochody suną jednostajnie. Śmierć Nahela po prostu tu nie pasuje.

Przed biurowcem ze 100 m od latarni stoi grupka korpopracowników. Są biali i palą, a ja pytam ich, co o tym myślą.

- To nie moja sprawa – mówi chłopak w jasnym garniturze, z kilkudniowym zarostem.
- Ale wiesz, co się stało?
- Tak.
- Masz może jakąś opinię na ten temat?
- Nie, nie bardzo.
- A może coś czujesz, jakieś emocje po tym wydarzeniu?
- Nie, nie.
- Czyli tak, jakby nic się stało?
- Nie. Po prostu nie mam zdania.
- A co sądzisz o demonstracjach, które były potem?
- Nic. To nie moja sprawa.

59 rue de Rivoli

Artysta Luigi La Ferla stoi w oknie i pali papierosa. Z głośników leci amerykański country rock, turyści fotografują jego pracownię, biurko, on patrzy przed siebie na Paryż, zaciąga się papierosem, a turyści patrzą na wszystko, tylko nie na jego oczy.

1 listopada 1999 r. Kalex, Gaspard i Bruno, w skrócie KGB, weszli do budynku po upadłym banku Crédit Lyonnais przy ulicy Rivoli w 3. dzielnicy, niedaleko Sekwany, Luwru i Notre Dame. Zeskłotowali go i otworzyli tu przestrzeń z wystawami, koncertami i spektaklami. Po prawnych perturbacjach skłot został zalegalizowany. Dziś nazywa się „59 rue de Rivoli”, a jego kręte, drewniane schody, prowadzące na kolejne piętra, uginają się pod butami turystów. Mieści się tu 30 pracowni artystycznych, wszystko okraszone jest plamami po farbach, ściennymi malowidłami, wymyślnymi rzezbami i artefaktami.

Miejsce jest widowiskowe, pewnie ja-koś tam unikatowe i ma swój styl, tyle że to styl przypadkowo pochłapanej farby i bynajmniej nie ma nic wspólnego z chlapaniem abstrakcyjnych ekspresjonistów, bo mniej w tym sztuki i alternatywy, a więcej popu. Brak lekkości i znaczeniowej ciężkości, więc jest to miejsce na pozór pełne, przez co jednak pustawe. Miejsce dla turystów, którzy fotografują i filmują, udając, że nie przeszkadzają artystom i że w ogóle ich nie widzą, podczas gdy artyści pracują i udają, że tych turystów tu nie ma. Tu też życia dzieją się równolegle.

I gdy tak stoję sobie wśród turystów i gapię się na obrazy na ścianach, myśląc o tym, jak można żyć obok siebie i się nie spotykać, zauważam wielkie biurko, za którym kobieta buja się na wielkim fotelu. Ma wielkie okulary i krótką, awangardową fryzurę krytyczki sztuki. Przed nią stoi młody, czarny chłopak w brudnej czerwonej koszulce, sportowych spodniach, brudnych adidasach. Jak do odstrzału stoi. Ona przegląda jego prace i mówi: „Mmm”, „Uuu”, „Ooo” i „Brawo!”. I buja się w tym fotelu. On delikatnie się uśmiecha, speszony, a ona mówi: „No nieźle”. Jemu oczy błyszczą, ona pokazuje coś na kartkach, tłumaczy, rozmawiają, on słucha, ścisnąc mocno w rękach pusty raczej plecak. A ja patrzę na nich i myślę sobie, że to jest właśnie ten moment, kiedy te dwa światy jednak się ze sobą spotkały. Myślę sobie, że może to jest dla tego chłopaka szansa i może coś z tego będzie. Myślę też jednak, że nie ma się co oszukiwać, kto w tym dealu kogo wyrucha. ●

**Adam Michnik poleca
Splin u zarania nowoczesności**

HISTORYCY NIE CZYTAJĄ POETÓW. A SZKODA

Od masowych nakładów gazet i masowej produkcji coraz bliżej było do masowej zagłady ludzi.

Zbigniew Machej*

Nie chcąc lub nie mogąc naśladować krwawych szaleństw swych poprzedników, rewolucjoniści 1848 r. wynagrodzili to sobie, naśladowując ich szaleństwa śmieszne. Wpadli więc na pomysł, żeby obdarzyć lud wielkimi, alegorycznymi uroczystościami” – drwi we „Wspomnieniach” Alexis de Tocqueville, opisując paryskie Święto Zgody zorganizowane w maju 1848 r. przez Rząd Tymczasowy (przekład Aleksandra Wita Labudy). Obchody na Polu Marsowym przybrały rozmiary gigantycznego widowiska, masowego spektaklu na niespotykaną skalę, zakończzonego defiladą, w której wzięło udział co najmniej 200 tys. gwardzystów i żołnierzy, a ich postawione na sztorc bagnety tworzyły – jedyne co olśniło wtedy Tocqueville’a – wielkie jezioro płynnej stali.

Przedtem jednak rozpętała się metodycznie zaplanowana orgia alegoryczności. „Wedle wcześniej ogłoszonego i potem ściśle wykonywanego programu – opisywał autor „Dawnego ustroju i rewolucji” – Pole Marsowe miało wypełnić się figurami wyobrażającymi wszelkiego rodzaju osobistości, cnoty, instytucje polityczne, a nawet publiczne urzędy. Francję, Niemcy i Włochy podające sobie ręce; Równość, Braterstwo i Wolność również podające sobie ręce; Rolnictwo, Handel, Armię, Marynarkę i zwłaszcza Republikę, tę ostatnią kolosalnych rozmiarów. 16 koni roboczych miało ciągnąć wóz. Na owym wozie, prostym i wiejskim w swej formie, jak głosił program, przewidywano umieścić trzy drzewa – dąb, laur, oliwkę – symbole siły, honoru i obfitości, a ponadto plug pośród pęków kłosów i kwiatów. Wóz miał być otoczony wieśniakami i młodymi dziewczętami w białych sukniach, śpiewającymi patriotyczne pieśni. Przyrzeczono nam również woły z połączanymi rogami, ale obietnicy nie dotrzymano”.

W obchodach Święta Zgody, sfinansowanych, mimo pustek w państwowej kasie, przez powstały po rewolucji lutowej Rząd Tymczasowy, wzięły udział nieprzebrane tłumy. W obawie przed napaścią i rozruchami

mi członkowie Zgromadzenia Narodowego brali w nich udział z bronią ukrytą po kieszeniach i za pazuchą. Do rozruchów jednak nie doszło.

„Tego dnia – pokpiwał dalej Tocqueville – lud zdawał się dość chętnie uczestniczyć w fikcji swego szczęścia, zapominając na chwilę o swych cierpieniach i nienawiściach, był ożywiony, ale nie buntowniczy. Wedle programu, w pomieszaniu stanów dojść miało do zbratania. Do pomieszania doszło zaiste niebywale, choć nie było żadnych wybryków. Dziwnymi jesteśmy ludźmi: potrzebujemy policji, gdy panuje porządek, a staje się ona zbędna, gdy zaczyna się rewolucja”.

A paryska rewolucja 1848 r. miała krwawy dalszy ciąg. Dokładnie miesiąc po Święcie Zgody na ulicach stały barykady, a miasto w dużej części opanowane było przez robotników, którzy domagali się republiki „demokratycznej i socjalnej”.

Przeciwko ludowi Paryża rząd wysłał wojsko. Ówczesne statystyki i gazetowe sprawozdania podawały liczbę 12 tys. zabitych powstańców. Później historycy skorygowali te doniesienia. Wedle zweryfikowanych informacji walki uliczne i egzekucje pochłonęły blisko 5 tys. ofiar, z czego prawie półtora tysiąca po stronie rządowej. 24 tys. powstańców zostało aresztowanych, 4 tys. spośród aresztowanych robotników deportowano do Algierii.

„Potworności Czerwca. Szaleństwo ludu i szaleństwo burżuazji. Naturalna miłość do zbrodni” – skwitował lakonicznie owe wydarzenia Charles Baudelaire w „Moim obnażonym sercu” (przekład Andrzeja Kijowskiego).

Baudelaire uczestniczył w paryskich wydarzeniach 1848 r., lecz niezbyt aktywnie, jakby siłą społecznego nacisku i zbiorowego rozpędu. Jego udział w rewolucji był epizodyczny i dwuznaczny, motywy politycznego zaangażowania ambiwalentne.

W lutym, kiedy republikanie przejmowali władzę, podobno widziano go, jak zaoźnie wygrażał karabinem wyniesionym ze splądrowanego sklepu z bronią przede wszystkim swojemu ojczymowi, gen. Aupickowi, obrońcy starego reżimu. Potem zgłosił się do socjalistów Augusta Blanqui, jednak nie uczestniczył w ich zebraniach, lecz tylko współpracował z ich gazetą, chyba mniej dla idei, a bardziej dla marnej zapłaty. W kwietniu zaś zatrudnił się jako sekretarz redakcji jakiegoś pisma konserwatywnego.

Kilkakrotnie zaczynał współpracę z różnymi gazetami, ale w żadnej redakcji nie zagrzał miejsca dłużej niż parę tygodni. Adoruje wtedy i utrzymuje ciemnoskórą ak-



• **Charles Baudelaire** FOT. DOMENA PUBLICZNA

toreczkę Jeanne Duval, która go zdradza, okłamuje i cynicznie wykorzystuje.

Wyobrażam sobie, że ogromne, plenerowe widowisko Święta Zgody obserwował w nastroju jadowitego szyderstwa. Z perspektywy czasu, w warunkach życiowej rozpaczki pogłębiającej się od 1860 r., wydarzenia roku 1848 określał lakonicznie jako „śmieszne”. Mówią o tym dwa zdania z „Mojego obnażonego serca”. „Rok 1848 był zabawny tylko dlatego, że każdy tworzył wtedy utopie jak zamki na piasku. Rok 1848 był uroczy tylko przez sam nadmiar śmieszności”.

To drugie, sarkastyczne zdanie należałoby może odnosić przede wszystkim do jego własnego postępowania, które kilka zdań wcześniej nazwał odurzeniem. Zamach stanu Ludwika Napoleona na początku grudnia 1851 r., kiedy wojsko, aby zastraszyć Paryż, oddało salwę do tłumu przechodniów na bulwarach, definitywnie uodpornił Baudelaire’a na pokusy politycznego zaangażowania. Zajmował się wtedy przede wszystkim przekładem opowiadań Edgara Alla-

na Poe. A przy tym wolał się odurzać haszyszem i zwiedzać sztuczne raje, wyznając przy tym reakcyjny arystokratyzm Josepha de Maistre’a.

Na stan jego umysłu wpływała długo tłumiona, nieprzewyciężona nienawiść i urazy po upokorzeniach. Po klęsce 1848 r. i zamachu stanu Ludwika Napoleona pokolenie Baudelaire’a, zastraszone represjami, zniesmaczone politycznymi faktami dokonanymi, przez jakiś czas ponownie szukało pocieszenia w nastrojach romantycznych, w marzeniach, w egzotyce, samotności, zakazanych rozrywkach, chciało żyć poza czasem i miejscem, jak w „Paryskim splinie” – „anywhere out of the world”.

Obywatele, którzy zaznali już rządów republikańskich i reżimu odnowionego cesarstwa, jednak nie ulegli szerzącemu się w Europie wirusowi nacjonalizmu. Zmieniały się reżimy, ale ciągle istniało francuskie państwo, które nadal miało ekspansywny, imperialny charakter i właśnie zaanektowało Algierię.

Intelektualne elity, które szczyt gorączki republikańskiej przeżyły w 1848 r., nie musiały walczyć o odzyskanie niepodległości i bardziej interesowały się ideami socjalistycznymi niż manifestowały nacjonalizm. Ale właśnie z powodów politycznych, po klęsce rewolucji 1848 roku, wielu zwolenników rewolucji i republiki musiało emigrować.

Baudelaire na tle tego bogatego w wybitne indywidualności pokolenia jaskrawo się wyróżniał. Dandys i zadłużony po uszy literat, po 1848 r. dekadенcki, wielkomiejski postromantyk, uchodził jednak za dziwaka i ekscentryka, a nawet szaleńca. Tak, a nawet jeszcze bardziej dosadnie – „sadystycznym cyganem” – nazwali go w swoim dzienniku Goncourtowie, uznając przy tym genialność „Kwiatów zła”.

Tymczasem dokładnie rok po zamachu stanu Ludwik Napoleon ogłosił się cesarzem i proklamował II Cesarstwo. Jako Napoleon III chciał być władcą nowoczesnego imperium z nowoczesną stolicą, bardziej nowoczesną niż Londyn, gdzie w 1851 r. oglądał Great Exhibition, czyli pierwszą wystawę światową o uniwersalnym, globalnym znaczeniu.

Już samo imię Napoleon zobowiązywało do rozmachu, a przy tym było synonimem megalomanii. Napoleon III, podobnie jak pierwszy cesarz Francuzów pół wieku wcześniej, przede wszystkim uważał się za stwórcę. Aby przyćmić autokratyczny charakter swoich rządów, niebawem po objęciu władzy zainicjował wielką przebudowę i modernizację Paryża. Urbanistyczna rewolucja, której przeprowadzenie powierzył baronowi Haussmannowi, wkrótce zupełnie zmieniła charakter i oblicze stolicy Francji.

Napoleon III patronował cywilizacyjnej metamorfozie Paryża w światową stolicę nowoczesności. Wyburzono stare, częściowo jeszcze średniowieczne dzielnice i otwarto miasto na przestrzał. Powstały szerokie aleje, bulwary, wielkie gwieździste place, tysiące nowych budynków, w tym nowy gmach opery, dworce, mosty, wodociągi, kanalizacja, parki, oświetlenie gazowe, konne tramwaje, hale targowe, pasáže handlowe. Ciemny, śmierdzący, brudny Paryż został wywieziony na taczkach i na wozach w otchłań przeszłości, na śmietnik historii.

Taka gruntowna, wszechstronna modernizacja przez wiele lat generowała ogromne koszty i skutkowało kapitalistycznym wyziskiem, ale widmo rewolucji, brutalnie stłumionej w czerwcu 1848 r., wydawało się odległe i wyblakłe. Gigantyczna przebudowa Paryża była jednak czymś w rodzaju robót publicznych. Komerccjalizacja i urbanizacja sprzyjała spekulacjom finansjery i monstualnemu rozwojowi mieszczaństwa. Paryż zaludnił nowy tłum, głównie robotników, którzy w końcu, na nowych, szerokich, panoramicznych ulicach też wybudowali barykady.

Komuna Paryska była nieuchronna, ale przedtem, przed upadkiem II Cesarstwa, prymat i splendor Paryża jako stolicy nowoczesności Napoleon III przedstawił światu poprzez dwie wystawy światowe zorganizowane w latach 1855 i 1867. Gigantyczna, megalomańska transformacja Paryża zmieniła relacje społeczne, wykorzeniła i wyobcowala mieszkańców, którzy nie od razu przystosowali się do zmian, ale za to wywołała podziw i fascynację przyjezdnych.

Unowocześniająca się, wielkomiejska sceneria stopniowo modernizowała styl życia mieszkańców stolicy słodkiej Francji i oferowała na co dzień, a zwłaszcza od święta, niewyczerpane możliwości permanentnego, zadziwiającego spektaklu. „Przyjemność oglądania terażniejszości nie zależy tylko od piękna, które ją stroi, ale także od jej cechy zasadniczej – że jest terażniejszością”. To już spostrzeżenie Baudelaire’a z jego eseju „Malarz życia nowoczesnego” poświęconego Constantinowi Guysowi, akwareliście,

który współpracował z francuskimi i angielskimi gazetami jako ilustrator (przekład Joanny Guze).

Guys, swego czasu korespondent wojenny, rejestrował styl życia i atmosferę II Cesarstwa w realistyczny, nieakademicki, zwiewny sposób, jakby podkreślając efemeryczność nowoczesnego życia.

Gdyby nie esej Baudelaire’a, napisany od listopada 1859 do lutego 1860 r., dziś Guys byłby artystą zapomnianym. W jego akwarelach trudno teraz znaleźć coś, co moglibyśmy kojarzyć z tym, co zwykliśmy uznawać za nowoczesne w XX wieku, zwłaszcza od czasów Wielkiej Wojny.

W „Dictionnaire Baudelaire” – Słowniku Baudelaire’owskim – Claude Pichois i Jean-Paul Avice zaznaczają, że autor „Kwiatów zła” używał słowa „nowoczesność” ostrożnie, ale nie podają, kiedy i w jakim tekście poeta zastosował je po raz pierwszy. Przed nim używali go Balzak i Gautier, termin jednak jeszcze w latach 50. XIX wieku nie upowszechnił się i nie skompromitował aż tak bardzo, by znaleźć się w szyderczym „Słowniku munciałów” Flauberta, który odnotowywał mieszczańskie stereotypy i bzdury powielane w okresie II Cesarstwa. Znamienne, że w tym samym słowniku „wystawy” określane są jako „oblęd XIX wieku”.

Baudelaire używa pojęcia „nowoczesność” – podobnie jak innych ważnych dla niego pojęć – niejednoznacznie, często wy-miennie z pojęciem „współczesność”, a czasem, zwłaszcza kiedy pisze o sztuce czystej, nawet pogardliwie.

Pichois i Avice wyraźnie podkreślają, że Baudelaire nadal „nowoczesności” obecne znaczenie i jako pierwszy użył tego pojęcia w znaczeniu kategorii literackiej i artystycznej. Niemniej jednak w „Kwiatach zła” trudno się doszukać nowoczesnych tematów czy nowoczesnych rozwiązań poetyckich. Domeną poezji Baudelaire’a jest współczesność. Co do tego można się zgodzić z Walterem Benjaminem, którego bardzo nieraz arbitralnych sądów nie należy traktować w sposób dogmatyczny.

Autor „Paryskich pasaży” twierdzi np., że sztuka Baudelaire’a ma charakter alegoryczny. Owszem, gdzieś tam tak, ale jest to sztuka niejednorodna, wielowymiarowa, mroczna i jasna zarazem, patetyczna i satyryczna, migotliwa, paradoksalna, tu alegoryczna, ówdzie symboliczna, tam zaś romantyczna, a w innym miejscu brutalnie realistyczna. Melanż elementów różnych stylów zdarzają się czasami w obrębie jednego utworu.

Baudelaire’owi nie zależało na nowoczesności, nadążaniu za cywilizacyjnymi nowinkami, cywilizacyjnym postępem. Nie był postępowcem, lecz wielkomiejskim dandysem, któremu się nie powiodło w życiu. Roztrwonil spadek po ojcu, uzależniony od używek i pięknych kobiet o wątpliwej reputacji popadł w długi, chorował wenerycznie i przedwcześnie zmarł w rozpaczliwych warunkach.

Zależało mu na takiej sztuce, która wzniesie się ponad tę mizериę, ponad aktualność i współczesność. Chciał poezji, która przetrwa wiecznie, ale chyba nie był do końca pewien, jaka to ma być sztuka, jaka to ma być poezja. Opanował doskonale tradycyjne formy wierszowe i to go też zmierzilo. Uznał poemat prozą za gatunek lepiej wyrażający jego pogląd, uczucie i nastrój.

Następne pokolenia dostrzegały w jego twórczości elementarne środki dla zrozumienia kultury wielkich metropolii w czasach przełomu lub kryzysu i znalazły odtrutkę na mieszczańskie jady. Ale ta odtrutka też była toksyczna. Z czasem, paradoksalnie, stał się najważniejszym, najbardziej intrygującym i malowniczym symbolem mieszczańskiego przełomu w kulturze XIX wieku, którego stolicą był właśnie Paryż.

Dla uchwycenia poglądów Baudelaire’a o nowoczesności ważna jest nie jego poezja, lecz publicystyka, krytyka literacka i artystyczna, sprawozdania z paryskich Salonów, a także dzienniki poufne. Większość

wierszy z „Kwiatów zła” to pamiątki oduzeń i namiętności zamienione w wierszowane, błyskotliwe bibeloty.

W tekstach publicystycznych pisanych przez niego dla gazet sporo jest felietonistycznej beczelności, kontrowersyjnych sądów, kabotyństwa i retorycznej brawury tak mile widzianej przez czytelników już „nowoczesnej” prasy. W okresie II Cesarstwa, mimo cenzury, liczba samych tylko dzienników wydawanych w Paryżu wzrosła dwukrotnie. W 1870 r. wychodziło ich tam 36.

Baudelaire, w nieustannym poszukiwaniu jakichkolwiek dochodów, oferował teksty publicystyczne rozmaitym czasopismom, które głównie relacjonowały aktualności, a przy tym, w gwałtownie i wszechstronnie modernizującej się metropolii, zainteresowane były nowoczesnością. Już wtedy szczególnie chętnie opowiadały sensacyjne historie. Kultura permanentnego, wielowymiarowego, wielkomiejskiego spektaklu sprzyjała nieustannej stymulacji mediów i rozwojowi widowisk na niemal przemysłową skalę.

Klientem i konsumentem nowych wielkomiejskich atrakcji było przede wszystkim mieszczaństwo. Kiedy więc Baudelaire pisze, że coś jest „nowoczesne”, słuchać w tym ironiczny pogłos, który się narzuca z ironicznego czy wręcz szyderczego, antymieszczańskiego kontekstu. Sytuacja jest bardzo dynamiczna, tempo zmian wynikające z „haussmanizacji” Paryża powoduje wrażenie chwiloowości i ulotności stanu świata. To sprzyja już impresjonistycznemu widzeniu.

Tocqueville: Dziwnymi jesteście ludźmi: potrzebujemy policji, gdy panuje porządek, a staje się ona zbędna, gdy zaczyna się rewolucja

Baudelaire nie dożył impresjonizmu, ale załázky impresjonistycznego widzenia są obecne w „Paryskim splinie”. Poeta pisze i zachowuje się tak, jakby zależało mu na pobudzaniu efemeryczności i nieuchwytności sensu swojej poezji, podobnie jak zależało mu na niejednoznaczności i zmienności własnego wyglądu. To wybitnie kreatywny narcyz, wielbiciel twórczości Edgara Allana Poe i Richarda Wagnera, kolekcjoner bizarnych nastrojów, który bezustannie koloryzuje i dekadенcko romantyzuje własną niedolę, podczas gdy świat wielkiego miasta wokół niego gwałtownie się zmienia.

Poeta paryskiego splinu przejawia więc ambiwalentny stosunek do fotografii, która w połowie XIX wieku była wynalazkiem nowym, o jeszcze nierozpoznanych możliwościach. Pierwszą ekspozycję fotograficzną przedstawiono na paryskiej wystawie światowej w 1855 r. To właśnie fotografia, podobnie jak oświetlenie gazowe czy elektryczne, wówczas nowe, „nowoczesne” i postępowe wynalazki techniczne, zmieniały świadomość wzrokową przechodniów i publiczności, która w Paryżu masowo odwiedzała organizowane przez Akademię doroczne salony sztuki.

Baudelaire w imię sztuk plastycznych krytykował i kwestionował dagerotypię, dystryb przeciwko fotografii zawarł w „Salonie 1859”, a przy tym znacznie częściej niż inni ówcześni literaci fotografował się i to w wykreowanych przez siebie, narzuconych fotografom pozach.

Takie kreowanie własnego wizerunku poprzez nowe, jeszcze nieoswojone me-

dium, można by uznać za coś bliskiego naszej ponowoczesnej mentalności, gdyby nie to, że podobne kreacje są znane co najmniej od czasów renesansu. Literaci pisali do gazet sprawozdania ze wszystkich spektakularnych paryskich wydarzeń, choć zazwyczaj nie byli krytykami czy historykami sztuki. Było dużo gazet i wielkie zapotrzebowanie na tego rodzaju artykuły, ale przez to literaci stali się klientami wydawców i redaktorów, którzy teraz decydowali o ich powodzeniu, o ich wartości w życiu publicznym.

Dosadnie i bez złudzeń skonstatowali to w dziennikach bracia de Goncourt. Pod datą 11 maja 1859 Juliusz de Goncourt zapisał:

„Z ustaleniem się mieszczaństwa i ogłoszeniem równości skończyło się zainteresowanie osobą pisarza i awanse czynione autorowi. Pisarz nie należy już do towarzystwa, nie włada nim, a nawet się w nim nie zjawia. Żaden ze znanych mi pisarzy nie bywa w tak zwanym świecie.

Wiele jest przyczyn tej zmiany. Kiedy w społeczeństwie panował ład i hierarchia, wielki pan, świadom zajmowanego miejsca i dumny z niego, niczego nie zazdrościł pisarzowi; spoufalał się z nim, ponieważ talent nie zagrażał jego własnej pozycji i nie szkodził jego próżności.

Potem w epoce spleenu, w epoce, której wzór dawał Ludwik XV, szlachta, mając życie urządzone i gotowe, nużyła się nim szybko; pustka w głowach była dostatecznie wielka, by przyjemność rozmowy z człowiekiem inteligentnym ceniono i nagradzano. Pisarz był zjawiskiem wyjątkowym, je-

go werwa i bystrość pobudzały wydelikacenie i zblazowane umysły. Serdeczna gościnność, przyjazne przyjęcie, oznaki życzliwości nie zdawały się zapłatą nazbyt wygórowaną za jego towarzystwo.

Mieszczaństwo przekreśliło to wszystko. Namiętnością mieszczaństwa jest równość. Pisarz rani mieszczaucha, bo jest więcej znany od niego. Stąd skrywana uraza, utajona zawiść. Poza tym mieszczaństwo – wielka rodzina ludzi aktywnych, robiących interesy i dzieci – nie potrzebuje wymiany myśli: gazeta mu wystarcza” (przekład Joanny Guze).

Gazeta coraz częściej zastępowała literaturę, a literatura, aby jeszcze jakoś przyciągnąć uwagę czytelnika prasy, musiała poszukiwać drogi na szpalty gazet. Literat był już stałym klientem wydawcy gazety, uzależnionym od jej redaktora, który starał się zaspokajać potrzeby mieszczańskiego czytelnika. To już bezwzględnie nowoczesna tendencja.

W 1859 r., 11 lat po stłumionej rewolcie paryskiego proletariatu w czerwcu 1848, w Paryżu nie było wątpliwości, że mimo restauracji cesarstwa, mieszczaństwo zwyciężyło, a widmo socjalnej, antykapitalistycznej rewolucji udało się na dłuższy czas oddalić.

Ale właśnie wtedy, na przełomie lat 50. i 60. XIX wieku, w Paryżu, nazwanym przez Waltera Benjamina stolicą XIX wieku, załázky nowoczesności takiej, jak ją rozumiały następne pokolenia, zaczęły gwałtownie się rozwijać, aby już niedługo, w różnych miejscach świata, mutować i w straszliwej dy-

namice przeobrażać się w nowy, wspaniały świat i rajsco piekielną cywilizację, która nas osacza dzisiaj.

Wiele wydarzeń 1859 r. w Europie wytworzyło – jak się okazało z późniejszej perspektywy – sekwencję znaków zapowiadających cywilizacyjny, kulturowy i polityczny przełom. Można by uznać, że właśnie przez ten rok przebiega już wyraźna cezura między epokami, które historycy kultury nazywają romantyzmem i pozytywizmem, a nawet więcej: między starymi i nowymi czasami.

Jednak jasne, jednoznaczne cięcia w mglistej, gęstej, a przy tym zwiewnej materii czasu nigdy nie rozdzielają epok według widzimisię historyków, którzy zazwyczaj są krótkowzroczni. A ich interpretacje są wrózeniem z fusów przy użyciu niepewnej, często stereotypowej, zmistyfikowanej i konwencjonalnej wiedzy o przeszłości.

Ze szczątków, zachowanych źródeł i artefaktów, przypadkowych fragmentów budują swój nieruchomy obraz przeszłego świata. Spekulują na ruinach, rozkopanych cmentarzach, odczytują popioły, ciemniejsze warstwy osadów, wysnuwają teorie z żużlu i spalin czasu, ale tylko w swojej, wąskiej dyscyplinie, ograniczeni dogmatami historiograficznej metodologii lub wytycznymi polityki pamięci.

Nie są polihistorami, nie są w stanie przebrnąć przez archiwa i stare księgozbiory, ogarnąć przeogromnej masy spadkowej przeszłości, którą zapomnienie odsuwa w ciemną otchłań. Można powiedzieć, że są skromnymi wyrobnikami historii, jej sekretarzami i kronikarzami. Filozofowanie i opracowanie teorii wszystkiego pozostawiają innym. A poetów już nie czytają.

Rewolucję 1848 r. wywołało ostatnie pokolenie czytelników poezji, epigoni romantyzmu. Ale wierszy nie pisze się na barykadach. „Tworzymy dziś coś lepszego niż sztukę i poezję, tworzymy dziś żywą historię” – napisał wtedy Théophile Thoré-Bürger, francuski krytyk sztuki i republikański publicysta polityczny, odkrywca świetności Vermeera. I adresował to zdanie do czytelników gazet. Odtąd „żywą historię” tworzyli przede wszystkim czytelnicy gazet, których nakłady wzrastały.

Od masowych nakładów gazet i masowej produkcji coraz bliżej było do masowej zagłady ludzi. Ale w 1859 r. nie śniło się o tym jeszcze ani filozofom, ani nawet poetom. „Albowiem – jak sto lat później, w 1960 r., napisał Hans Magnus Enzensberger w eseju „Światowy język poezji nowoczesnej” – bezgłośnie katastrofy w języku nie wydarzają się z dnia na dzień ani z pokolenia na pokolenie. Szykują się długo” (przekład Andrzeja Kopackiego).

W „Kwiatach zła” można wyczuć zapach opium pomieszany z dymem z kominów, woń perfum i smród padliny. Między wierszami zalatuje odorem krwi nieuchronnej masakry, tej niedawnej i tej, która znowu się zbliża. Zaiste nowoczesna to mieszanina. ●



FOT. RAFAŁ KOMOROWSKI

*Zbigniew Machej

ur. w 1958 r. w Cieszynie. Poeta, eseista, tłumacz poezji. Wydał kilkanaście zbiorów wierszy. Był m.in. wicedyrektorem Instytutu Polskiego w Pradze i dyrektorem Instytutu Polskiego w Bratysławie.

• Juliusz de Goncourt, 1859: „Z ustaleniem się mieszczaństwa i ogłoszeniem równości skór czyło się zainteresowanie osobą pisarza”

Kiedy poznałem historię prześladowanych Żydów, zrozumiałem lepiej ucisk wobec Czarnych.

W.E.B. Du Bois*

Byłem w Polsce trzy razy. Pierwszy raz 59 lat temu [tekst pochodzi z 1949 r.] jako student Uniwersytetu Berlińskiego. Rozmawiałem z moim kolegą Stanisławem Estreicherem. Opowiadał mi o kwestii rasowej w Ameryce, która wydawała mi się wówczas jedynym prawdziwie rasowym problemem i największym problemem społecznym świata.

Nie zgodził się z tym: „Tak naprawdę nic nie wiesz o prawdziwych problemach rasowych”. Zaczął mi opowiadać o problemach Polaków, zwłaszcza tej ich części, która znalazła się pod panowaniem imperium niemieckiego: o tym, jakie ograniczenia spotykają ich w edukacji, o tym, że nie mogą używać własnego języka i jak rzadko robią kariery; i o tym, jak tępi się ich kulturę.

Byłem zdumiony, ponieważ problemy rasowe w tamtym czasie były dla mnie wyłącznie problemami koloru skóry, a przede wszystkim niewolnictwa w Ameryce i w Afryce. Obiecałem, że kiedy najbliższego lata przyjadę na wakacje, zatrzymam się w jego domu w Krakowie, gdzie jego ojciec był bibliotekarzem na uniwersytecie.

Pojechałem do południowych Niemiec i przez Szwajcarię do Włoch, a następnie przez Wenecję i Wiedeń do Polski. I po drodze miałem nowe doświadczenie z kwestią rasową.

Jechałem z Budapesztu przez Węgry do małego miasteczka w Galicji, gdzie planowałem spędzić noc. Dorożkarz zapytał, czy chcę się zatrzymać „wśród Żydów”. Byłem trochę zdziwiony, ale powiedziałem mu, że tak. Pojechaliśmy więc do małego żydowskiego hoteliku położonego na uboczu.

Tam zdałem sobie sprawę z kolejnego problemu rasowego lub religijnego, który dotyczył segregacji dużej liczby istot ludzkich. Potem pojechałem do Krakowa, coraz bardziej świadomy istnienia już dwóch problemów grup ludzkich. Stopniowo uświadamiałem sobie istnienie kwestii żydowskiej i nauczyłem się czegoś o jej historii. Spotykałem się z tym problemem w Niemczech, choć tam sprawa ta była tłumiona i rzadko wspomniana.

Pewnego razu byłem z wizytą towarzyską w małym niemieckim miasteczku. Był ze mną niemiecki student i nagle się zorientowałem, że coś jest nie tak w zachowaniu jego znajomych. Uspokoił mnie, mówiąc szep-

tem: „Myślą, że mogę być Żydem. Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie”.

Byłem zdumiony. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jakikolwiek przejaw uprzedzeń rasowych może być spowodowany czymś innym niż kolor skóry. Wiedziałem, że ten młody człowiek jest czystym Niemcem, ale jego ciemne włosy wzbudziły podejrzenie znajomych.

Wiele lat później ponownie znalazłem się w Polsce, w Warszawie. Były to już ponure czasy. Hitler rządził w Niemczech, gdzie spędziłem pięć miesięcy, i przeczuwałem nadciągającą burzę. Przyjechałem do polskiej stolicy zaledwie trzy lata przed horrorem, który na nią spadł.

W Berlinie wyczułem, że kwestia żydowska nabrzmiała od moich czasów studenckich. Pewnego dnia wszedłem do księgarni w dzielnicy żydowskiej. Było pusto. Po pewnym czasie do pomieszczenia wszedł mężczyzna i cicho zapytał mnie, czego szukam. Wymieniłem tytuły kilku książek i przeglądałem potem te, które przyniósł. Nic więcej nie powiedział, ja też nie. Wyczułem w nim podejrzliwość.

Tego wieczora poszedłem do domu pewnego nauczyciela. Było tam kilku Amerykanów i kilku Niemców. Zasłony były starannie zaciągnięte i wtedy przemówił nauczyciel. Zasadniczo bronił nazistowskiego programu – w sferze zatrudnienia, mieszkalnictwa czy budowy dróg. Ale też szczerze wyznał, że wstydzi się tego, jak w Niemczech traktowani są Żydzi. Miał wśród nich przyjaciół.

Później, koło północy, wjeżdżałem do Polski. Było ciemno – nie tylko z powodu dymu, ale także w duszach ludzi, którzy rozmawiali ze sobą szeptem, gdy jechaliśmy powoli przez mrok, mijając kolejne stacje.

Kilka lat temu znowu znalazłem się w Warszawie. Widziałem już w swoim życiu różne rzeczy: zamieszki rasowe w Atlantcie, wśród krzyków i strzałów; marsze Ku Klux Klanu; groźby ze strony sądów i policji; niszczenie ludzkich siedzib. Ale nic z tego wszystkiego nie mogło się równać z tym, co zobaczyłem w powojennej Warszawie.

Wcześniej powiedziałbym, że to niemożliwe, by cywilizowany naród [niemiecki], religijny, tworzący wielką literaturę i sztukę, potraktował innych tak, jak potraktował Warszawę. Dokonał zaplanowanego i total-

Byłem zdumiony. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jakikolwiek przejaw uprzedzeń rasowych może być spowodowany czymś innym niż kolor skóry

81. rocznica powstania

GETTO OTWOR



nego zniszczenia. Niektóre ulice zostały zniszczone tak, że tylko dzięki dawnym fotografiom można było stwierdzić, gdzie dana ulica się znajduje.

I nikt się nie skarżył na ogromną liczbę zabitych, nie epatował historiami ludzi okaleczonych fizycznie i psychicznie, wdów i sierot. Dodatkowo rzucił się w oczy niewiarygodny entuzjazm, z jakim pośród wspomnień o wojnie i wśród ruin ludzie odbudowywali miasto. Miasto i naród dosłownie powstawały z martwych.

Pewnego popołudnia zostałem zabrany do byłego getta. Mało wiedziałem o jego historii, chociaż odwiedziłem getta w niektórych częściach Europy, przede wszystkim w Niemczech. Tutaj nie było zbyt wiele do oglądania. Były tylko ruiny oraz pomnik.

Jego widok przywołał w moim umyśle kwestię rasy i religii, która tak długo była moim własnym, szczególnym i odrębnym problemem. Stopniowo, oglądając to miejsce i poprzez lekturę, odtwarzałem historię tego niezwykłego oporu wobec ucisku i zła w czasach, kiedy wrogów można było spotkać wszędzie. Oporu, który pociągnął za sobą śmierć tysięcy istot ludzkich i był świadomym poświęceniem życia w imię wielkich ideałów, przy świadomości, że ta ofiara może być całkowicie daremna.

Rezultatem moich trzech wizyt w Polsce, zwłaszcza tej w warszawskim getcie, było nie tyle lepsze zrozumienie kwestii żydowskiej na świecie, ile rzeczywiste i pełniejsze zrozumienie kwestii Czarnych.

w getcie warszawskim

ZYŁO MI OCZY



• **Warszawskie getto, rok 1941. Chłopiec pomaga mężczyźnie, który upadł** FOT. GETTY IMAGES

Problem niewolnictwa, emancypacji i istnienia grup uprzywilejowanych w USA przestał być w moim umyśle czymś odrębnym i wyjątkowym, tak jak to sobie przez długi czas wyobrażałem. Przestała to dla mnie także być wyłącznie kwestia koloru skóry, cech fizycznych i rasowych. Dochodziłem do tego powoli, bo dotąd to kolor skóry właśnie był dla mnie głównym źródłem nieszczęścia.

Przestała to też dla mnie być wyłącznie kwestia religii. Przeglądałem się funkcjonowaniu wielu religii: w świątyniach wyznawców szintoizmu w Japonii, w kościołach baptystów w Georgii, w katolickiej katedrze w Kolonii i w Opactwie Westminsterskim. Teraz zacząłem zwracać uwagę na sprawę wzorców kulturowych, błędów w edukacji czy nienawiści i uprzedzeń, obecnych wśród wszystkich społeczności ludzkich i powodujących niekończące się zło dla wszystkich.

Zatem wizyta w warszawskim getcie pomogła mi wyjść z pewnego prowincjonalizmu i dojść do szerszej koncepcji tego, czym jest walka z segregacją rasową, dyskryminacją religijną i nierównym podziałem bogactwa.

Wracam do postaci mojego kolegi Stanisława. Nie żyje, zginął, nie chcąc współpracować z nazistami w okupowanej Polsce. Oddał życie za wielką sprawę. Nie wiem, na ile był świadomy tego, że za kwestią polską kryje się kwestia żydowska. I że w obu przypadkach chodzi o zbrodnię przeciwko cywilizacji.

Mój przyjaciel Gabriel D'Arbousier, Afrykanin, odwiedził niedawno Warszawę. Napisał:

„Przy wjeździe do miasta widać imponujące mauzoleum wzniesione ku pamięci żołnierzy Armii Czerwonej, którzy polegli, walcząc o wyzwolenie Warszawy, i którzy są tam pochowani. To nie jest cmentarz odcięty od żywych, ale ostatnie miejsce spoczynku tych, którzy zginęli. Żywi mogą tu przyjść, aby usiąść i zastanowić się nad ofiarą tych, którym zawdzięczają życie.

Z 32 mln mieszkańców Polski przedwojennej zginęło 6 mln. Warszawa została zniszczona w ponad 80 proc. Przejmujący jest widok zrównanego z ziemią getta”.

Dokąd zmierzamy? Dokąd dryfujemy? Stoimy w obliczu rosnących podziałów w naszych społecznościach. Czarni dzielą się na klasy społeczne i sprzedają swoje dusze tym, którzy dążą do wojny i kolonializmu. Chcą stać się częścią plutokracji i zachęcać swoich synów do zabijania „żółtków”.

Wśród Żydów istnieje podobna dychotomia i wewnętrzne podziały. Wielu z nich zapomina o odwadze mieszkańców warszawskiego getta i kościołach tysięcy ludzi, którzy w nim zginęli.

Wszystko to powinno służyć zarówno te grupy, jak i inne, do przeformułowania problemów naszych czasów. Trzeba zatrzymać wojnę i przygotowania do niej; zwiększyć wydatki na szkoły, by były lepsze niż te,

które mamy; ograniczyć swobody przemysłu dla dobra publicznego.

Musimy zagwarantować prawo do myślenia, mówienia, studiowania, bez obawy przed głodem lub więzieniem. Jest to dzisiaj problem wszystkich Amerykanów, który staje się palącym problemem całego cywilizowanego świata. ● **przeł. arp**



FOT. JAMES E. PURDY/NATIONAL PORTRAIT GALLERY/DOMENA PUBLICZNA

*William Edward Burghardt Du Bois

1868-1963 – amerykański pisarz, socjolog, historyk. Urodził się w rodzinie wyzwolonych czarnych niewolników. obrońca praw Czarnych, czołowy działacz przeciwko dyskryminacji i segregacji rasowej w USA.

Tekst to jego przemówienie wygłoszone w 1949 r. w Nowym Jorku podczas uroczystości ku czci bojowników warszawskiego getta. Ukazał się trzy lata później w magazynie „Jewish Life”. Tytuł – „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tadeusz Różewicz Żywi umierali

*Zamurowani żywi umierali
czarne muchy składały jaja
w mięsie ludzkim.*

*Z dnia na dzień
jakby ulice brukowali
obrzękłymi głowami.*

*Ojciec Aron
miał brodę z pleśni i mchu
a głowę z białego światła
które gasło drżąc,
nim skonał jadł z dłoni
wiednącymi wargami
i otwierał turkusowe oczy.*

*W małej izbie
puchły potwornie ciała.*

*Jeszcze Salcia sprzedawała jabłka
srebrne i pachnące sadem
u wylotu bramy
która była z błękitu
i powietrza która
wybuchala nagle na wskroś
spiętrzonego domu.
Między belkotem
i rudą plwociną
między liszajem ściany
i trupem przechodnia
z porcelanowym okrutnym okiem
między kamieniem
i wyciem obłąkanej
stała Salcia w czerwonej sukni
a barwy nasiąkały jadami
i jabłko gnilo w dłoniach
śniadych. Z zapachu
wykręcał się biały czerw.
Jabłka wędły jabłka gniły
umierała matka*

*Nikt już jabłek do ghetta nie nosił
nikt już jabłek w ghetcie nie kupował.
Z dnia na dzień
ciała spadały w dół
z przestrzelonymi
jak róże piersiami.*

Utwór za: „**Pieśń ujdzie cało... Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką**”, opracował i szkicem wstępnym poprzedził Michał M. Borwicz, Warszawa - Łódź - Kraków 1947, reprint Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”, Lublin 2012.

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

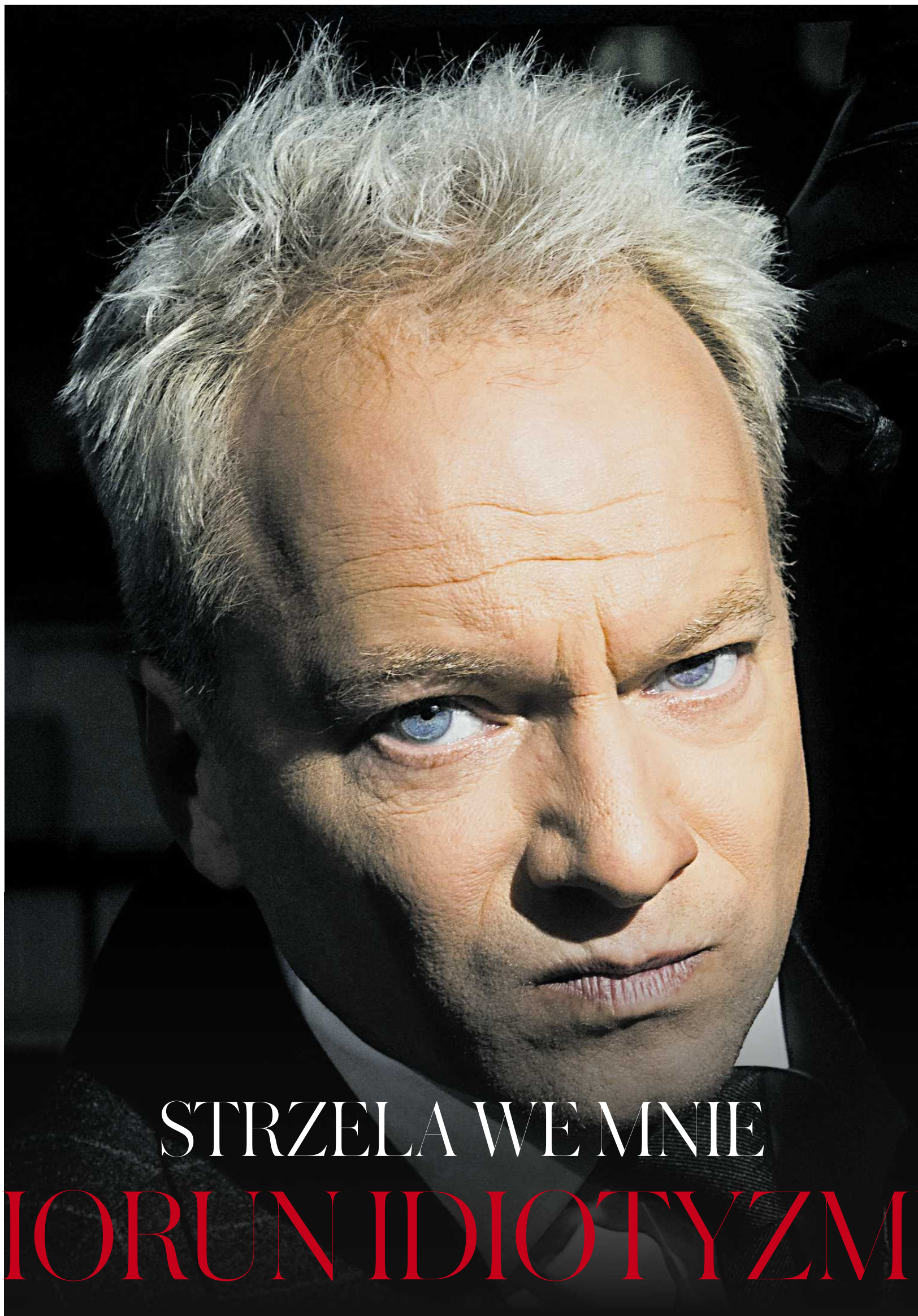
REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejewska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



FOT. FOT. MAREK ZIMAKIEWICZ / TEATR KOMEDIA

STRZELA WE MNIE PIORUN IDIOTYZMU

Każdy, kto pomyśli o „Zemście”, od razu widzi kontusz, szable i polskie swary.
A my wylądowaliśmy w klimatach rodziny Soprano

Z **MACIEJEM STUHREM** ROZMAWIA
MAGDALENA DUBROWSKA

Od jakiegoś czasu jeździ pan po Polsce ze swoim stand-upem. Z czego się dzisiaj śmieją Polki i Polacy? Co nas bawi?

– O nie, nie dam się pani wpuścić w te ma-liny. Ja jestem, jak mówił doktor Astrow z Czechowa, stary wróbel, i jak słyszę „Pola-cy”, to mi się po pierwsze zapalają wszyst-kie lampki awaryjne, a po drugie wiem, że o Polakach nic nie można powiedzieć jedno-znacznie i wszystkie tego typu stwierdzenia są uproszczeniami. Jedni Polacy się śmieją z tego, drudzy z tamtego. I owszem, zajmuję się rozśmieszaniem od 30 lat, jak sobie poli-czyłem w tym roku, ale jedyne, czego się na-uczyłem, to żeby nigdy nie odpowiadać na pytanie, z czego się śmieją Polacy, bo to jest pytanie bez odpowiedzi.

Ale mogę pani powiedzieć, z czego się śmieje moja widownia, bo ostatnio wró-ciłem w ogóle do rozśmieszania. Po la-tach różnych bojów na różnych frontach stwierdziłem, że potrzebuję trochę beztro-ski i zrobiłem wspomniany program stan-d-upowy, z którym peregrynuję po Pol-sce. I muszę powiedzieć, że wbrew temu, z czym stand-up się kojarzy, to ten mój wieczór jest bez napinki, bez obrazobur-stwa. To dwie godziny niczym nieskrępo-wanej zabawy i dobrego spotkania.

I jakie tematy pan podejmuje? Z pa-na życia?

– Głównie nastawiłem się na pure nonsen-se, bardzo mi zależało na tym, żeby to był program beztrojski, oparty właściwie na absurdzie, czyli na czymś, co mnie zawsze najbardziej śmieszyło.

Improwizuje pan?

– Ponieważ występuję ze stand-upem dość często, program obrasta w przeróżne nowe dowcipy, które mi przychodzą danego wie-czoru do głowy i jeśli się żart przyjmie, to zostaje. Pół roku temu mój program trwał godzinę dziesięć minut, a dziś dobija do dwóch godzin i zaczynam go skracać, bo za chwilę będzie za długi.

I jakie żarty zostają w programie?

– Tak jak wspominałem, najbardziej śmie-szy mnie absurd. Więc jeżeli mówię: „pro-sta lub prostacka, jak powiedziałaby, ktoś zło-śliwy” i wpada mi nagle do głowy: „a jak po-wiedziałby Włoch — prosciutto”, to nie je-stem pani tego żartu w stanie wytłumaczyć i powiedzieć, skąd on się bierze. Po prostu strzela we mnie piorun idiotyzmu, wypo-wiadam takie słowa, ludzie z niewiadomych przyczyn bardzo się z tego cieszą, i ja rów-nież. I taki żarcik zostaje w programie.

Czy są tematy, które zawsze działają? Związki międzyludzkie, polityka, seks?
– Każdy temat, byłem tego niejednokrotnie świadkiem, można koncertowo spieprzyć i nawet najśmieszniejszą rzecz, przedsta-

wić tak okrutnie nieśmiesznie, jak to tyl-ko premier Morawiecki potrafi, ale oczywi-ście są pewne wytrzychy, którymi niejeden kabareciarz i stand-uper się posługuje, bo są wdzięczne. Oczywiście, że w tematach damsko-męskich zawsze się coś trafi.

Z polityką miałem pewnego rodzaju dy-lemat, ponieważ chciałem uniknąć wspo-minania o niej w moim programie. Ale czułem, że właśnie ta publiczność, która na mnie przychodzi i kupuje bilety, może być trochę rozczarowana, jeśli zupełnie nie o polityce nie powiem.

Więc może ze trzy nazwiska polityczne padają w moim programie i to daje posmak realności. I rzeczywiście reakcja publiczno-sci, gdy wspominam pana Jacka Sasina na przykład, jest niezwykle żywiołowa.

A czy są tematy, które kiedyś nas śmie-szyły, a teraz nie, albo na odwrót?

– Chyba na odwrót. Przygotowując się do tego programu, pooglądałem trochę pol-skiego stand-upu, i szczerze mówiąc, by-łem solidnie zszokowany, jak bardzo po-szerzyły się granice tego, z czego publicz-ność dopuszcza śmianie się. 30 lat temu w ogóle nie śmielibyśmy popatrzeć w stro-nę większość z tematów, które dzisiaj stan-d-uperzy poruszają.

Publiczność, która stand-up polubi-ła, jest gotowa na wszystko. I teraz już tyl-ko od talentu rozśmieszającego zależy, czy to będzie udany wieczór, czy nie. A nie od tematu. Amerykańscy i brytyjscy stand-uperzy nauczyli nas też, że nie ma tem-ałów tabu. Liczy się tylko jakość żartu. Je-żeli będzie na najwyższym poziomie, to te-mat może być nawet z półki najbardziej za-kazanych. Pod warunkiem że rozśmieszysz ludzi, bo jeżeli nie rozśmieszysz, to mar-ny twój los.

Zdarza się to panu? Że nikt się nie śmieje?

– Mówi pani o jakimś koszmarze kabaretow-ca. Nie chciałbym zabrznieć nieskromnie, ale myślę, że ci ludzie, którzy przychodzą na mój stand-up, zapewniają mi unikanie tego koszmaru. Choć oczywiście wśród 500-oso-bowej widowni zawsze się znajdzie jedna osoba, która siedzi jak kamień. I taka oso-ba na występującego, który widzi tylko część twarzy widowni, niestety działa jak magnes. Przynajmniej na mnie. Zamiast się skupić na ludziach, którzy się zaplakują ze śmiechu, to cały czas się zerka na tego jednego mruka, czy on wreszcie się rozluźni, czy ten wieczór jest dla niego kompletnie stracony. Jest to ro-dzaj hazardu, czy w końcu takiego osobnika uda się rozśmieszyć, czy nie. Co ciekawe, ta-kie osoby, jak wynika potem z różnych zaku-lisowych rozmów, wcale nie są niezadowolone, tylko po prostu w ten sposób przejawiają spazmatykę śmiechu.

Inspiruje się pan innymi stand-uperami czy stand-uperkami?

– Naśladowanie jakiegokolwiek działalno-sci artystycznej byłoby samobójstwem,

ale wielu komików rzeczywiście dostarczy-ło mi wiele radości. Jest na przykład prze-cudowny Fin, który się nazywa Ismo i któ-ry łamanym angielskim opowiada o różni-cach między Finlandią a Ameryką i Anglią, i to jest przeżabawne. I było to inspiracją do jednego z moich skeczów.

A jak pan tak podróżuje, jeździ po Pol-sce, to ma pan jakieś obserwacje, wra-żenia?

– Zadanie, którego się podjąłem, jest dość karkołomne, bo jestem sam na scenie dwie godziny, bardzo często gram dwa razy dziennie, więc moje wrażenia często ogra-niczają się do tego, żeby przeżyć taki dzień w dobrej formie i dać z siebie wszystko podczas występu na scenie.

Najwięcej chłonę zawsze z tego miejsca, w którym jestem, a przede wszystkim z lu-dzi. I np. mniejsze miasta, w których daw-no nie byłem, albo nigdy, np. Łomża czy Krosno, bardzo mnie ciekawią. Oczywi-ście moja ciekawość nie jest zaspokojona, bo w zasadzie głównie słucham, jak ludzie się śmieją — a śmieją się podobnie wszę-dzie, ale też mam miłe wymiany spojrzeń z tą widownią i się tam dobrze czuję. Ja się za tym stęskniłem. Kabaret robiłem 30 lat temu, a potem się zamknąłem w teatrach, na planach filmowych, otoczony dużą gru-pą ludzi. Los stand-upera jest losem bar-dzo samotniczym, ale jednak ma się be-zpośredni kontakt z publicznością i jest du-ża wymiana energii podczas takiego wie-czoru.

Przez te lata grania w filmach, serialach czy pielgrzymek teatralnych na najwyż-szym poziomie z reżyserem Krzysztofem Warlikowskim, najbardziej stęskniłem się właśnie za tym kontaktem z publicznością, który bym porównał w metaforze kulinar-nej do mięsa z kością.

Na pana Instagramie możemy oglądać selfie z publicznością w tych różnych miastach. Na jednym takim zdjęciu z Ko-szalina odnalazłam nawet moją mamę.

– O, miło mi! Selfie jest częścią progra-mu, tego małego przedstawienia, bo sta-ram się myśleć o tym wydarzeniu nie tyl-ko jak o stand-upie, ale o przedstawieniu, w którym są i piosenki, i scenografia, opra-wa świetlna, a nawet robię różne sztucz-ki iluzjonistyczne. I w pewnym momencie łączę się z widownią wirtualnie na Insta-gramie i widzowie na żywo mogą mi zadać pytania, na które staram się odpowiedzieć. Uwieczniamy to właśnie na zdjęciu.

Wkrótce premiera „Zemsty” w Teatrze Komedial, w której zagra pan Papkina. Przyznam, że kiedy oglądałam zdjęcia z tego spektaklu, to bardziej mi się sko-jarzyły z kadrami z serialu „Sukcesja” niż z zaściankową szlachtą. Co to będzie za klimat?

– Kiedy z reżyserem Michałem Zadara i ko-legami i koleżankami, zaczęliśmy na pró-

bach czytać sobie ten dramat, który prze-cież wszyscy znamy jeszcze z podstawów-ki, to podczas przerzucania się tymi fazami mieliśmy ogromną frajdę. A potem zaczęli-smy rozmawiać o różnych inscenizacjach, które widzieliśmy w życiu i o tym, co nas w tych „Zemstach” drażniło. Doszliśmy do wniosku, że na genialność tej komedii po-łożyła się cieniem sprawa polska. Że każ-dy, kto pomyśli o „Zemście”, od razu widzi kontusz, szable i polskie swary.

Jeżeli ktoś się bierze za „Zemstę”, to na pewno będzie o polskich wojnach, podzia-lach itd. Kargul, Pawlak, Smoleńsk. Więc na-tychmiast wszyscy stwierdziliśmy, że w ża-dnym wypadku nie chcemy zrobić przedsta-wienia o tym. To nas kompletnie nie intere-suje, bo nie pozwala cieszyć się tym, co na-pisał Fredro, tylko powoduje, że wpada się w jakąś rynnę. Zaczęliśmy coraz bardziej se-rio traktować tę intrygę i psychologię boha-terów. A co by było, gdyby to nie byli Pola-cy w kontuszach? W ten sposób wylądowa-liśmy w klimatach rodziny Soprano — mafij-nych układów włoskiego pochodzenia.

I zaczęło nas to bardzo bawić. Zaczęli-smy słyszeć ten tekst na nowo. Oczywiście z pełną świadomością, że przecież nie takie realia Fredro miał na myśli, ale pozwolili-smy sobie odrzec „Zemstę” z polskości, że-by ją usłyszeć na nowo.

Czyli Pana Papkin jest gangsterem?

– Papkin w ogóle jest gangsterem czy tego chcemy, czy nie. To już nie tylko interpre-tacje, ale chyba rzeczywiście Fredro coś ta-kiego napisał. Przecież Cześnik już w pierw-szych scenach powierza mu misję wojenną przeciwko swojemu wrogowi ze skłóconego rodu, a jednocześnie ma rozgrywać intrygę miłosną, to jest jego drugie oblicze.

W kreowaniu tej komicznej postaci wykorzystuje pan swoje doświadczenie stand-upera?

– Oczywiście „Zemsta” to komedia i nie zapo-minamy o tym, ale wygląda na to, że nie bę-dzie to wielka szarża farsowa czy nawet ko-mediowa. Jeżeli chcemy tę „Zemstę” odczy-tać troszkę inaczej i dotrzeć do jakiegoś daw-no zapomnianego sedna i psychologii, to trze-ba zrezygnować z popisów aktorskich w celu rozbawienia publiczności. Będzie to troszeczkę bardziej psychologicznie umotywowany Papkin od tego, którego zazwyczaj się widuje, czyli błazna. Nie będzie to błazenada. ●

Rozmawiała Magdalena Dubrowska

„Zemsta” Aleksandra Fredry, reżyseria:

Michał Zadara, scenografia: Robert Rumas, kostiumy: Pola Gomółka, reżyseria światła: Artur Sienicki, choreografia i ruch sceniczny: Ewelina Adamska-Porczyk, walki: Dawid Fa-jer. Występują m.in. Maciej Stuhr, Arkadiusz Brykalski, Bartosz Porczyk, Barbara Wysocka, Filip Lipiecki, Paulina Szostak. Premiera: 19 kwietnia 2024, Teatr Komedial, Warszawa.

REKLAMA

Kraj/34313770



Kraków

PROJEKT WSPÓLFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA



mastercard



OFF
C A M E R A

**International Festival
of Independent Cinema**
26.04 – 5.05.2024, Kraków



PARTNER TYTULARNY



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY



WSPÓLFINANSOWANIE



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER TECHNOLOGICZNY



MECENAS



ORGANIZATOR



eprasa.pl 1b26bb021a

weekendówka
99

RZYMSKIE URODZINY

AUC, A.U.C. – łaciński akronim od zwrotu Ab urbe condita lub anno urbis conditae, który oznacza „od założenia miasta”. Jakiego miasta? Rzymu rzecz jasna. Cezura ta służyła starożytnym historykom do obliczania dat, a jej twórcą był Marek Terencjusz Warron. On to wykoncypował, że Romulus, uważany zgodnie z legendą za fundatora miasta, dokonał tego w 753 roku p.n.e., dokładnie 21 kwietnia. Na 21 kwietnia przypadało święto Parilia, organizowane na cześć bóstwa Pales, opiekującego się pasterzami i ich trzodą. Dopiero potem Rzymianie przyjęli je jako święto upamiętniające właśnie założenie Rzymu.

Nie bez znaczenia był fakt, że Romulus i jego brat bliźniak Remus trudnili się właśnie pasterstwem. Zresztą powstaniu miasta towarzyszyły oczywiście dramatyczne wydarzenia (jakżeby inaczej?!). Otóż kiedy bliźniacy obalili już króla miasta Alba Longa, Amuliusza, swego stryjecznego dziadka (który notabene rozkazał braci zgładzić), i zwrócili tron swemu dziadkowi rodzonemu, Numitorowi, postanowili założyć nowe miasto. Jako że byli bliźniakami, nie obowiązywała zasada starszeństwa, nie wiadomo było zatem, kto powinien zostać nowym władcą. Romulus i Remus, każdy na własną rękę, postanowili zdać się na wyrok bogów. Romulus swoje auspicjum – czyli wywnioskowanie woli bogów z lotu ptaków, głównie orłów i sępów – zorganizował na wzgórzu Palatyn, Remus zaś na nieodległym Awentynie.

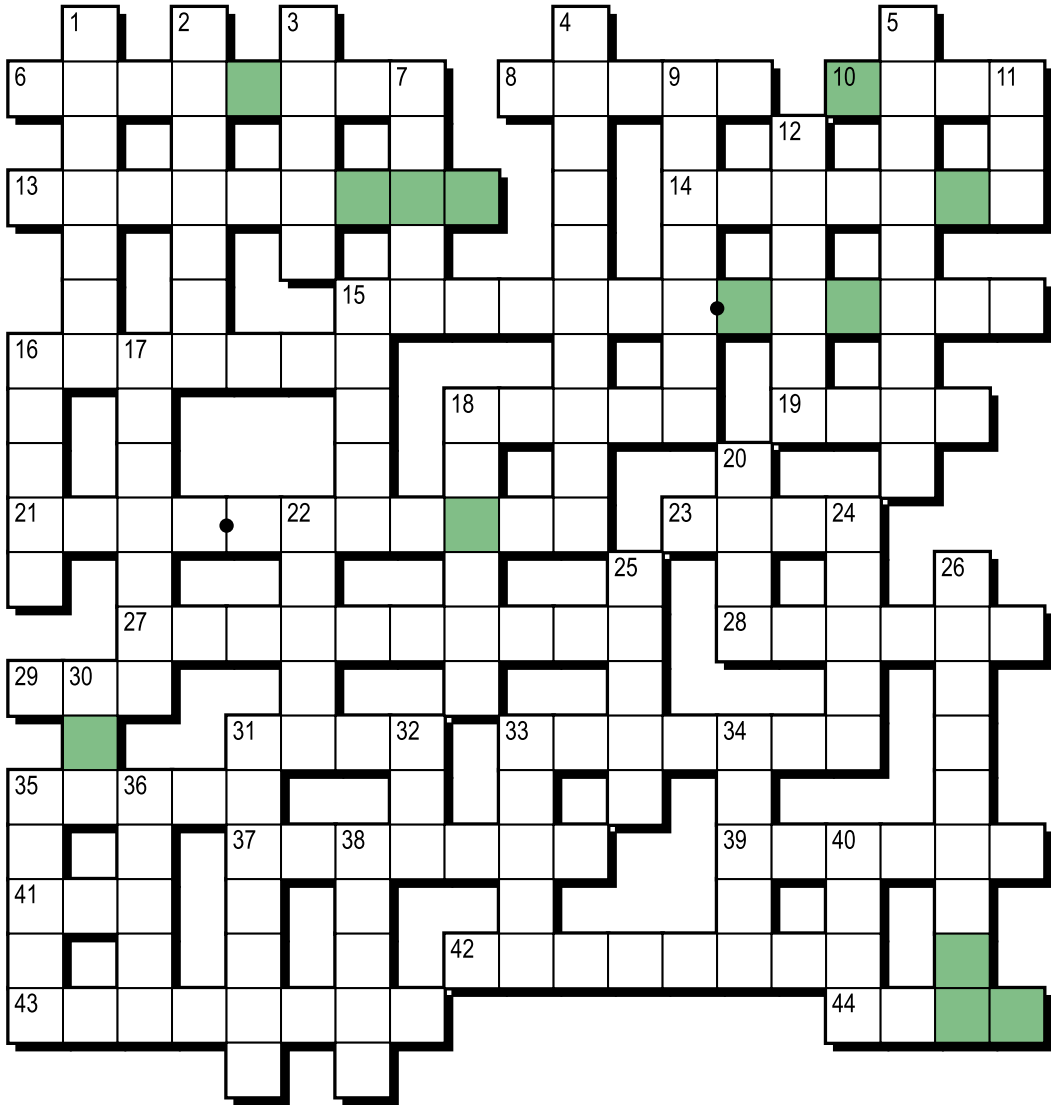
Podobnie to właśnie Remusowi najpierw ukazało się sześć sępów, ale kiedy już witał się z sępem, to znaczy z gąską (uznajmy dla dobrej sprawy, że kapitolijną), Romulus dojrzał na niebie sępów okrągły tuzin.

Wróżba wskazała więc Romulusa, ale Remus nie chciał pogodzić się z porażką. Przekroczył więc wyrytą w ziemi bruzdę, mającą wyznaczyć granicę przyszłego miasta. Wściekły Romulus zabił brata, wykrzykując znamienne słowa: Sic deinde, quicumque alius transiliet moenia mea!, czyli: „niechaj tak zginie każdy, kto przez mury moje przejść się odważy!” (za „Dzieje Rzymu od założenia miasta” Tytusa Liwiusza, Ossolineum 1955, w przekładzie Władysława Strzeleckiego).

Tak oto powstał Rzym, choć, co ciekawe, Awentyn, który upodobał sobie Remus, długi czas nie był uważany za część miasta – ciążyła na nim zła sława, której kres położył dopiero cesarz Klaudiusz.

Ale z Awentynem czy bez – dzisiajszą „Weekendówkę” poświęcamy właśnie Wiecznemu Miastu, stolicy świata, które jutro obchodzić będzie 2776. urodziny. Tylko jak tu żyć w takim razie sto lat?

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 98
z 13.04:

Poziomo:

- 4) Mars, 9) Toblerone, 10) kasiarz, 11) mleczko, 12) ciasto, 16) Wonka, 17) fabryka, 19) Turnau, 20) kakao, 22) krew, 23) Bieg, 24) Willy, 25) Kylie, 27) Leopold, 31) serial, 32) kolor, 33) krowa, 34) kuwertura, 36) Tom Waits, 38) powieść, 39) piosenka, 40) lody, 41) cynamon

Pionowo:

- 1) Goplana, 2) ulica, 3) Kolonia, 4) Merci, 5) ryba, 6) jajo, 7) pijalnia, 8) przyjaciele, 13) Stanek, 14) wyroby, 15) pudełko, 16) wuzetki, 18) bakali,e 20) kawa, 21) Wedel, 26) lwowianki, 27) Lagerfeld, 28) pokarm, 29) dawstwo, 30) przysmaki, 31) smak, 35) Wawel ,37) mleko, 39) psy

HASŁO:
TABLICZKA RADOŚCI

WIECZNE MIASTO

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6) Amfiteatr Flawiuszów
8) wszystkie prowadzą do Rzymu?
10) dzieło takie jak „Eneida” Wergiliusza
13) „... w Rzymie” (Sztynwny Pal Azji)
14) zespół pałacowo-kościelny z bazyliką św. Jana
15) autor wiersza zaczynającego się słowami: „W Rzymie na Campo di Fiori kosze oliwek i cytryn, bruk opryskany winem i odłatkami kwiatów”
16) „Rzymskie ...”, film z Audrey Hepburn

- 18) ptaki, które ciągnęły rydwan bogini Junony
19) np. spotkanie AS Roma – Lazio
21) jego łacińska nazwa to Campus Martius
23) rzymska – to bezmian (ze stałym odważnikiem)
27) dowodzili stuosobowymi oddziałami w starożytnym Rzymie
28) chłopci uzależnieni od właściciela majątku w starożytnym Rzymie
29) ... Appia, najstarsza bita droga rzymska
31) gdzie Rzym, gdzie ...
33) jedno z siedmiu wzgórz, dawna dzielnica bogatych obywateli
35) rzymska – np. V
37) świątynia zlokalizowana na 21 poziomo
39) Lukrecja ..., córka papieża Aleksandra VI

- 41) ... Aureliana, otaczał starożytny Rzym
42) wysocy urzędnicy sądowi w starożytnym Rzymie
43) kształt niecki fontanny na Piazza della Madonna del Monti
44) Rzym – kamery, Grecja – ?

Pionowo:

- 1) oddział, który stanowił dziesiątą część legionu
2) Alberto, autor powieści „Rzymianka”
3) jeden z synów Rei Sylwii
4) być w Rzymie i papieża nie widzieć
5) najlepszy rywalizujący na igrzyskach (np. w 1960 r. w Rzymie)
7) gladius to krótki ... dawnego żołnierza rzymskiego

- 9) Asterix i Obelix (często powtarzają: „Ale głupi ci Rzymianie!”)
11) „Zaginiony ... Rzymu”, powieść Roberta Fabbriego
12) centralne pomieszczenie starożytnego domu rzymskiego
15) Gajusz Juliusz ...
16) ... Tyberyjska, z bazyliką św. Bartłomieja
17) ... Sykstyńska
18) ... rzymski (klasyczne rysy twarzy)
20) ... Akweduktów
22) Horacy – ... wielu pieśni
24) nazwisko reżysera filmu „Zakochani w Rzymie”
25) ... Borghese, malowniczy park
26) Marek, wódz rzymski, kochanek królowej Kleopatry

- 30) ... marcowe 44 r. p.n.e., zapamiętane dzięki Brutusowi
31) wzgórze kojarzone z gęsiami, które uratowały Rzym
32) np. opowieść o powstaniu Rzymu albo o Eneaszu
33) święty, pierwszy biskup Rzymu
34) szemrze rzymianom
35) zabytkowy cmentarz ... Verano
36) ... Romanum, najstarszy plac miasta
38) nie miał czym się zająć, to i Rzym się zajął...
40) „...”, miasto otwarte”, film Roberta Rosselliniego

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY
wysokieobcasy
extra

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA



TEMAT NUMERU:
Sekrety rodzinne, czyli
o czym nie rozmawia
się w domu

CO ONA ROBI
Z PIENIĘDZMI:
Czy inwestycje są
dla kobiet?